ROZMOWA „DO RZECZY”

Krzysztof Bosak o tym, co łączy go, a co dzieli z Mentzenem i z Braunem

Gdzie się podział PiS? – głowi się Rafał A. Ziemkiewicz

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 7/667 9–15 LUTEGO 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

AFERA EPSTEINA – KTO CHCIAŁ DZIĘKI KOMPROMATOM KONTROLOWAĆ ELITY USA? IZRAELSKI MOSAD? CIA?

Polscy katolicy nie chcą ekumenizmu

WIELKA PODMIANA LUDNOŚCI W EUROPIE

Lewica zdradza, jak chce z migrantów zrobić swoich wyborców

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 97a3749d10

REPUBLIKA

Danuta Holecka zaprasza na główne wydanie serwisu informacyjnego Republiki – program **„DZISIAJ" – prawdziwe polskie wiadomości.**

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 97a3749d10

Awantura ambasadora USA

PAWEŁ LISICKI

Gdybym chciał zaszkodzić dobrym relacjom Polski ze Stanami Zjednoczonymi, zrobiłbym dokładnie to, co uczynił ambasador Thomas Rose. Pomysł, żeby publicznie besztać najpierw marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, a następnie przywoływać do porządku premiera Donalda Tuska – to przejaw braku roztropności. I to całkiem niezależnie od komunistycznej przeszłości obecnego lidera Nowej Lewicy. Tom Rose zapomniał, że w tym przypadku chodzi o marszałka polskiego Sejmu – kimkolwiek by on był, reprezentuje polskie państwo i dlatego nie jest rzeczą właściwą używanie w stosunku do niego tonu pogardliwego, właściwego wobec wasala czy giermka.

Ambasador USA napisał najpierw: „Nie będziemy już utrzymywać kontaktów ani komunikować się z Marszałkiem Sejmu Czarzastym, którego oburzające i nieuzasadnione obelgi pod adresem prezydenta Trumpa stały się poważną przeszkodą dla naszych doskonałych relacji z premierem Tuskiem i jego rządem […]". Muszę przyznać, że to wypowiedź wielce osobliwa. Próbowałem sprawdzić, co takiego „oburzającego i obelżywego" pod adresem Trumpa powiedział pan Czarzasty.

Kilka dni temu został on poproszony przez USA o wsparcie dla kandydatury Donalda Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla. Po jakie licho Amerykanie zwrócili się o to do Czarzastego, nie wiem. Można było przecież być pewnym, że postkomunistyczny polityk urządzi demonstrację i wykorzysta nowe, nieprzychylne Amerykanom nastroje. Jak kania dżdżu potrzebuje on popularności, więc można było przewidzieć, że sprawy Nobla dla Trumpa użyje do jej zdobycia. Jest zresztą prawdą, że w dużej mierze sami Amerykanie za zmianę nastrojów odpowiadają – na pewno nie buduje ich autorytetu uporczywy postulat owej nieszczęsnej nagrody dla prezydenta Trumpa. Tak samo trudno uznać, że właściwą formą kontaktów z innymi przywódcami jest okazywanie im swej wyższości.

Jak można było zatem przewidzieć, marszałek Czarzasty stwierdził, że Donald Trump „nie zasługuje" na pokojowego Nobla, ponieważ według lidera Nowej Lewicy „amerykański przywódca destabilizuje sytuację w organizacjach międzynarodowych, reprezentuje politykę siły i prowadzi politykę transakcyjną". Cóż, to opinia pana Czarzastego. Nie zgadzam się z nią, ale trudno powiedzieć, że jest ona obraźliwa i obelżywa.

Co gorsza, po tym pierwszym zbeształaniu marszałka Sejmu Tom Rose zabrał się do debatowania z Donaldem Tuskiem, który stanął w obronie Czarzastego. „Szanowny Panie Premierze. Zakładam, że Twoja przemyślana i dobrze sformułowana wiadomość została do mnie wysłana przez pomyłkę, ponieważ z pewnością chciałeś ją skierować do Marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego, którego haniebne, lekceważące i obraźliwe komentarze na temat prezydenta Trumpa mogły potencjalnie zaszkodzić Twojemu rządowi" – napisał ambasador USA. Rose podkreślił, że „Tusk był prawdziwie wzorowym sojusznikiem i wielkim przyjacielem Stanów Zjednoczonych". Dodał: „Wiem, że zgodzisz się, że obrażanie i poniżanie Donalda Trumpa, największego przyjaciela, jakiego Polska kiedykolwiek miała w Białym Domu, jest ostatnią rzeczą, jaką powinien zrobić jakikolwiek polski przywódca".

Doprawdy, nie wiem, kto ambasadorowi USA takie rzeczy dyktuje, ale ktokolwiek by to był, wpuszcza go w maliny. To nie jest właściwy sposób komunikacji między ambasadorem a premierem. I to nawet jeśli ten pierwszy reprezentuje supermocarstwo, a ten drugi średniej wielkości państwo europejskie. Po co w ogóle ambasador Rose się w tę awanturę wdawał, dalibóg nie pojmuję.

Szkoda, że nie są tego w stanie dostrzec politycy prawicy i obozu prezydenckiego, którzy zamiast go ostrzec, zdają się zachęcać do eskalacji. Czy to faktycznie marszałek Sejmu „demoluje relacje polsko-amerykańskie" – jak powiedział rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz? Dodał on, że Włodzimierz Czarzasty „nie dość, że ma problemy z wyjaśnieniem wschodnich kontaktów towarzysko-biznesowych, to dodatkowo demoluje relacje polsko-amerykańskie". „W czasach PRL dla komunistów Stany Zjednoczone były największym wrogiem. Czasy się zmieniły, ale mentalność postkomunisty Czarzastego nie uległa zmianie. Takiego Marszałka Sejmu wybrała rządząca obecnie koalicja, człowieka, który nie rozumie wagi i znaczenia sojuszy". Czy z tego wynika, że zrozumienie dla wagi sojuszy ma oznaczać bezwzględne podporządkowanie się każdemu żądaniu strony amerykańskiej? Można to samo powiedzieć inaczej: Czy dla fanaberii amerykańskiego prezydenta, który z bliżej niejasnych przyczyn zapałał wielce gorącą miłością do Nagrody Nobla, warto się wdawać w awanturę z ludźmi pokroju Czarzastego? Obawiam się, że większość Polaków, nawet zgadzając się z krytyczną oceną polityka Nowej Lewicy, uzna, że tym, który przekroczył granice dobrego smaku, jest ambasador USA. W jego wypowiedziach dostrzegą butę i arogancję.

Nie wykluczam, że cała afera jest wspólną intrygą Tuska i Czarzastego, którzy chcieli sprowokować ambasadora USA, w ten sposób próbując przedstawić się w roli obrońców polskiej suwerenności. Jeśli nawet tak było, to nie da się ukryć, że ambasador Rose w tę pułapkę wpadł na całego. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
WIELKA PODMIANA PO HISZPAŃSKU
Lewica liczy na przypływ elektoratu

18 JAN FIEDORCZUK
RECEPTA LEWICY NA SUKCES

20 JAN BOGATKO
KLĘSKA NIEMIECKIEJ POLITYKI MIGRACYJNEJ

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GDZIE SIĘ PODZIAŁ PIS?
Prawo i Sprawiedliwość zniechęca wyborców prawicowych

24 PIOTR SEMKA
SUPER-EUROPEJKA, „RAZEMKA" CZY ŻOŁNIERZ HOŁOWNI?

27 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
TWORZYMY KONTRELITĘ

30 RADOSŁAW WOJTAS
SĄD NAD SZCZEPIONKĄ

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
POTĘGA ŚWIATŁA, TAJEMNICA ŻYCIA
Sekret sławy La Toura

35 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BABY, ACH TE BABY

36 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
SUPERBOHATERKI, ANTYBOHATEROWIE

38 PIOTR GOCIEK
JAK OGRAĆ WSZYSTKICH?

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 ADAM WIELOMSKI
NEOLIBERALIZM W DOMU I ZAGRODZIE
Pełzająca katastrofa Zachodu

48 WOJCIECH GOLONKA
AFERA EPSTEINA – CO KRYJĄ ODTAJNIONE AKTA

52 FILIP MEMCHES
PSYCHOLOGIA W SŁUŻBIE LEWICY

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
POLSCY KATOLICY NIE CHCĄ EKUMENIZMU

HISTORIA

56 ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM NOWAKIEM
PRZYCZYNY UPADKU RZECZYPOSPOLITEJ
Wada ustroju i wojskowości naszego państwa

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
NA PRAWO OD PUTINA
Kim są nowi rosyjscy nacjonaliści

64 PIOTR WŁOCZYK
OWOCNA KATASTROFA DELTA FORCE

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
JASTRZĄB, GOŁĄB CZY MARIONETKA?
Kim jest nowy najpotężniejszy bankier świata

72 JAKUB WOZINSKI
ISKRA BUNTU Z CZECH

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
INTELIGENCJA WEŁNY
Ma właściwości, których syntetyki nie potrafią skopiować

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 97a3749d10

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Carl Court/Getty Images**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Przekupiona sztuka", Monika Małkowska, „DRz" nr 44/2025

Z opóźnieniem czytam numery tygodnika „Do Rzeczy". Pytana, czy sprawdzam, czy napisano prawdę, odpowiadam: jak coś do rzeczy, to się nie starzeje! Tak w istocie jest z wieloma artykułami czy felietonami. Do takich należy artykuł Moniki Małkowskiej na temat artystów na usługach współczesnej władzy. Można się nie tylko z nią zgodzić, ale przede wszystkim zasmucić. Tendencja, że sztuka ma służyć władzy, sprawia, że obniża się jej poziom. Tak było od zawsze, gdy tendencyjność brała górę.

Obecnie nawet dobry film poruszający zagadnienie starzenia się i przygotowania do odejścia z tego świata ni stąd, ni z owąd ma wtręt, nie aluzję, wtręt o kochających inaczej czy modnym innym temacie, np. o molestowaniu. Walory estetyczne programów, zwłaszcza rozrywkowych, zostały pogrzebane na amen. O ich roli edukacyjnej nie ma co wspominać. Przed chyba 20 laty zrobiono nagonkę na jednego z dyrektorów placówki muzealnej w Poznaniu, gdy negatywnie wyraził się o wernisażu artystki, która – zaprosiwszy oficjalnie gości – przyjęła ich, kucając czy siedząc plecami do widzów i obierając wiadro ziemniaków! Dyrektor śmiał wyrazić się z dezaprobatą, co myśli o tego rodzaju artyzmie. Myślę, że podobnie jak pan B. wiele osób ma wątpliwości, czy taką czynność należy podnosić do godności sztuki. Wiemy, wiemy, bo to przerabialiśmy w szkole, był taki nurt jak turpizm. Ale pod opisywaniem codzienności kryły się treści uniwersalne. Patrz: utwory Stanisława Grochowiaka.

Przy okazji aż prosi się, by zapytać, czemu nie ma dbałości o wygląd artystów, którzy występują za niemałe pieniądze na takich imprezach jak „Sylwester z Dwójką". Jeśli jedna z drugą diwa (nie gwiazda, nie) jest bezkrytyczna wobec swojego wyglądu, to czemu nikt z organizatorów nie przypomni, że stając przed publicznością, a zwłaszcza przed kamerami telewizyjnymi, należałoby się po prostu ubrać? Czy to nie Sztaudynger napisał: „Przykryj ciało, by działało"?

Kolejny problem to ubóstwo językowe prowadzących. Czy obce są im określenia subtelniejsze niż np. gacie? Czy nie znają innych, mniej prostackich słów, które pasowałyby do uroczystej gali, jaką miała być ta impreza? A jeśli nie znają, to może powinni wziąć przed podjęciem się dobrze płatnej pracy (może aż za dobrze) kilka korepetycji od mistrzów starej, dobrej szkoły konferansjerów. Póki ci jeszcze są!

K. Dudziak, Katowice

Brzytwa Ockhama

Szanowni Państwo,
właśnie minęła pierwsza rocznica spektakularnej inauguracji prezydentury pana Trumpa, podczas której podpisał sto ustaw, stosując klasyczną „brzytwę Ockhama" i redukując zbędne podmioty. W ciągu ostatniego roku dodatkowo wypisał Stany Zjednoczone z 66 organizacji, co bez amerykańskich pieniędzy oznacza właściwie ich likwidację.

Tymczasem Unia Europejska, niepomna ostrzeżeń średniowiecznego filozofa, mnoży byty ponad konieczność i w nieskończoność. Tylko w latach 2019–2024 przyjęła 13 tys. regulacji, w tym tak istotne, jak automaty do skupu opakowań, za które płaci obywatel, a zarabia siedem tajemniczych firm, podatek od opakowań, który obciąża ich producenta, a następnie klienta, system e-Faktur, podatek tłuszczowy, badanie składu kosmetyków. A przecież to jeszcze nie jest ostatnie słowo unijnych biurokratów. Idzie oszaleć, co też posłusznie czynimy.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Siły Zdemoralizowane Ukrainy", Maciej Pieczyński, „DRz" nr 6/2026

Wywołany tekstem „Siły zdemoralizowane Ukrainy" dołączam spojrzenie z samego dołu. Moja opiekunka domowa ma syna w wojsku. Dostaje on żołd 30 tys. hrywien miesięcznie. Był rok na froncie, należy mu się urlop, ale jego „kamandir" powiada, że urlopu udzieli, jak dostanie 50 tys. hrywien... Są przepisy, że rodziny poległych mają dostawać wsparcie finansowe, ale władze księgują poległych jako „zaginionych", żeby tego nie płacić. Takie życie...

Tomasz Umiński

eprasa.pl 97a3749d10

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czołgi jak mamuty

Wydawany w Moskwie dziennik „Kommiersant" opublikował niedawno tekst, który zainteresował wielu speców od prognoz na temat przyszłego pola walki. Jak się okazało, także Rosjanie potrzebują miejsca na dyskusję o wnioskach ze starcia z Ukrainą. Autorem tekstu jest rosyjski ekspert wojskowy Rusłan Puchow, który wcześniej już parę razy zwrócił uwagę zagranicznych obserwatorów niekonwencjonalnymi poglądami. W Polsce na myśli Rusłana Puchowa zwrócił uwagę Marek Budzisz – analityk ośrodka Strategy and Future.

Do jakich przemyśleń Puchow zachęca dowódców rosyjskiej armii? Wskazuje, że czołgi, szczególnie te najdroższej klasy, skutecznie straciły swoją wartość operacyjną jako pojazdy mające przełamywać linię wroga i spełniać funkcje manewrujące. Przestały też mieć znaczenie jako samobieżne nośniki prowadzenia ognia bezpośredniego.

Puchow pisze: „Kryzys czołgu wynika nie z jego podatności na drony czy broń przeciwpancerną, ale z faktycznej utraty jego opłacalności jako pojazdu bojowego". Jak wskazuje Rosjanin, te niekorzystne tendencje dowódcy i konstruktorzy próbują załagodzić przez zwiększanie „przeżywalności czołgu" poprzez wyposażanie go w systemy aktywnej ochrony. Ale to nic nie daje. Czołg na polu walki jest zbyt wrażliwy i zwiększanie jego szans na przetrwanie prowadzi do sytuacji, w której budowa takiego skomplikowanego monstrum zbliża koszty jego produkcji do wydatków na myśliwiec. Na dodatek wysoki jednostkowy koszt i złożoność najbardziej zaawansowanych tanków sprawiają, że czołg staje się możliwy do produkcji dosłownie w pojedynczych egzemplarzach.

Równie bezlitosny jest Puchow w kwestii dalszego stawiania na szturmowe śmigłowce. Jak pisze: „Sama idea takiego środka bojowego łączy się z kosztami zbliżonymi ceną do samolotu myśliwskiego i na dodatek wymaga dwóch wysoko wyszkolonych członków załogi". Tymczasem doświadczenia wojny na Ukrainie przekonały Puchowa, że rozpowszechnienie się niedrogich dronów przechwytujących powoli niweczy wszelkie perspektywy tradycyjnego wykorzystywania takich maszyn. Rosyjski ekspert pyta: „Czy nie nadszedł czas, by uznać śmigłowiec szturmowy za wymierający system uzbrojenia?".

Gdy czytam te słowa, przypomina mi się historia drugiej wojny światowej, kiedy to niemieccy konstruktorzy budowali coraz bardziej wyrafinowane wersje Tygrysów i Panter. Te pancerne cacka były doskonałe techniczne, ale dawało się ich produkować niewiele i na dodatek przy byle problemach się psuły. Sowieci za to tłukli masowo mało wyrafinowany czołg T-34, który zwyciężał prostotą wykonania i masową produkcją.

Coś podobnego obserwujemy teraz. Ukraińcy zaczęli produkować masowo drony, które coraz skuteczniej eliminują czy to rosyjskie czołgi, czy śmigłowce bojowe.

Pytanie, czy takie nowinki śledzą nasi generałowie wydający się żyć wciąż w epoce fascynacji czołgami Abrams i polską kawalerią powietrzną ze szturmowcami Apache? ©℗

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

SĄD: ZIOBRO MA TRAFIĆ DO ARESZTU

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa zdecydował 5 lutego o zastosowaniu tymczasowego aresztu wobec byłego ministra sprawiedliwości i posła PiS Zbigniewa Ziobry. Jego obrońcy (na zdjęciu) zapowiedzieli już zaskarżenie tej decyzji do Sądu Okręgowego w Warszawie. Według prokuratury Ziobro jako minister miał popełnić łącznie 26 przestępstw, w tym kierować zorganizowaną grupą przestępczą i wykorzystywać stanowisko do działań o charakterze przestępczym. Ziobro zaprzecza zarzutom. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, Stany Zjednoczone zerwały relacje z Włodzimierzem Czarzastym. Nie będziemy ronić łez. Nasz stosunek do komunistów jest mniej więcej taki, jak do krajów komunistycznych typu Korea Północna albo Kuba: przyjmujemy do wiadomości fakt ich istnienia, ale nie akceptujemy stanu, w jakim się znajdują.

Zerwanie relacji USA – Czarzasty zmusza do zadawania pytania „Co dalej?". Czy będzie eskalacja? Czy Ameryka planuje wysłać na Czarzastego desant, jak na Grenlandię? Otóż nie. Wyjaśniamy. Ameryka chciała zabezpieczyć Grenlandię, bo obawiała się, że wpadnie ona w rosyjską strefę wpływów. W przypadku Czarzastego, jak się wydaje, już to mogło nastąpić, więc desant jest bezprzedmiotowy. Pozostaje tylko zerwanie.

Tym, których dziwi porównanie Czarzastego do Grenlandii, tłumaczymy, że Wydawnictwo Muza towarzysza Czarzastego przyniosło prawdopodobnie więcej dochodu brutto niż cała gospodarka Grenlandii w XXI w. Wszystko dlatego, że komunistom i postkomunistom ciężko wiodło się w III RP. Gdyby nie te prześladowania, mówilibyśmy o dochodzie brutto Danii, a nie Grenlandii.

Tymczasem PiS wkracza śmiało na arenę międzynarodową. A dokładnie to wkracza na nią walka frakcyjna maślarzy z morawianami. Na początku lutego odbyła się w Brukseli ważna konferencja Transatlantic Summit, na którą przybyło mnóstwo ważnych figur z Ameryki Łacińskiej. Wśród mówców znalazł się Mateusz Morawiecki. Maślarze ostentacyjnie zbojkotowali jego wystąpienie. Ale wysyłali pod drzwi czujki, żeby sprawdzić, kto z PiS jednak przyszedł. Pomożemy maślarzom, bo wiemy: Buda, Złotowski i Rzońca.

Pamiętacie, jak pisaliśmy, że wedle węgierskich wiewiórek w przypadku przegranej Orbána premierem ma zostać nie lider opozycji Péter Magyar, ale niejaki Zoltán Tarr, pastor kalwiński? To już nieaktualne. Im bliżej wyborów, tym bardziej maski opadają. Nowym kandydatem na premiera jest Istvan Kapitany, przez 10 lat wiceszef koncernu Shell. Nie dość, że plutokrata, to jeszcze gość, który publicznie mówił, że priorytetem dla jego firmy jest rosyjski gaz. Czekamy na materiał na ten temat w TVN. Oraz wyrazy oburzenia z Europejskiej Partii Ludowej, do której należy węgierska opozycja.

Zły Donald z Sopotu polecił, a Waldemar „Krokodyl" Żurek wykonał – i powstał w Polsce zespół do wyjaśnienia polskich śladów w aferze Epsteina. Z zaciekawieniem czekamy na ciąganie po przesłuchaniach wszystkich modelek, które lubiły i pieniążki, i Epsteina oraz jego kolegów. No bo chyba nie chodzi o sprawdzenie, do jakich europejskich fundacji i których europejskich polityków trafiały dolary oraz przysługi Epsteina, prawda?

Od razu podpowiadamy też Donaldowi i Waldemarowi pomysł na następny specjalny zespół. Czy nie czas zacząć przesłuchania polskich modelek, które lubiły pieniążki bogatych Arabów z Dubaju, gdzie oddawały się, hm, niekonwencjonalnym praktykom uważanym przez niektórych za seksualne? Sporo książek o tym powstało. Następnie można cofnąć się do PRL i słynnej piosenki Rudiego Schubertha „Dziwex, dziwex, to interes złoty / jadą dziewczyny do Włoch, na roboty".

W Krakowie robi się coraz goręcej. I to do tego stopnia, że włodarz miasta, niejaki Miszalski, poczuł się gorzej. Choć ta informacja nie jest dokładna. Nasze wiewiórki twierdzą, że o tym, że Miszalski czuje się źle, poinformował go sam premier i kazał mu się udać na leczenie.

Widać, że w Platformie dojrzewa myśl, że referendum może się jednak udać i Krakusy odwołają Miszalskiego. Szukają więc kogoś, kto mógłby stanąć w szranki z Łukaszem Gibałą i ewentualnym kandydatem PiS. Pisaliśmy już, że w grze pojawił się Bogdan Klich, który pod nieobecność pełnoprawnego ambasadora pilnuje ambasady w Waszyngtonie. Ale pojawił się też nowy pomysł – Paweł Kowal. Co prawda, z Rzeszowa, ale jego ambicji nie wyczerpuje sprawowana funkcja szefa Komisji Spraw Zagranicznych.

Skoro już o paradzie kandydatów. Takiego pasma nieszczęść Kraków nie przeżywał od czasu najazdu tatarskiego. Dość powiedzieć, że swojego kandydata wystawia także były prezes NIK, Marian Banaś. Obawiamy się, że na tym pasmo nieszczęść się nie skończy.

Tymczasem w tzw. służbach mundurowych, jawnych, tajnych i dwupłciowych – przerażenie. Po gwałcie na policjantce i po groźbach pozbawienia życia dziennikarza przez SOP wszyscy czekają na kolejne trupy, które wypadną z szafy. Wieść gminna niesie, że jeden z funkcjonariuszy SOP utulał w swych ramionach pewną panią minister i niebawem sprawa się rypnie. Chyba nie musimy dodawać, że takie relacje nie są dobrze widziane. Nawet jeśli wprost nie łamią prawa.

Uwaga! Chcieliśmy zdemaskować oszustwo! Być może niektórzy słyszeli o tym, że Richard Henry Czarnecki ma swój telewizyjny program we wPolsce24. Otóż to nieprawda – on ten program ma we wBrukseli24! To znaczy tam rozmawia z gośćmi i nagrywa! A Bruksela to nie Polska, co było do udowodnienia. Więc prosimy nie wprowadzać w błąd. Swoją drogą nazwa programu – „RH+" – wywołała w nas spore zadowolenie. To my od lat konsekwentnie nazywaliśmy Rycha Czarneckiego „Richardem Henrym", nawet kiedy już zmienił imiona na polskie. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Gęby szeroko zamknięte

Funkcjonariusz SOP, pułkownik o ksywie Biszkopt (czy może raczej gangus „Biszkopt" o ksywie pułkownik), obecnie w ochronie ministra Sikorskiego, wcześniej na rozmaitych odpowiedzialnych stanowiskach, snuł plany zgotowania dziennikarzowi Republiki Piotrowi Nisztorowi losu śp. Jarosława Ziętary. Jak odejdzie ze służby (a właśnie odchodzi), to najpierw rozjedzie mu samochodem psy, potem podpali dom, a na końcu jego samego porwie, będzie torturował, zamorduje i spali.

Nie są to jakieś pijackie bełkoty, rozmowa toczy się w gronie osób ewidentnie omawiających interesy. O to zresztą właśnie chodzi, że – jak ujmuje to „Biszkopt" – Nisztor „popsuł wujkowi interesy". Istotnie, jeszcze jako dziennikarz „Wprost" Nisztor ujawnił przed laty powiązania polskiego funkcjonariusza ze ściganym przez francuską policję międzynarodowym handlarzem bronią i jego związane z tymi interesami podróże po Afryce. Sprawa notabene została ostatecznie przez służby zamieciona, a podejrzany dalej dostawał ważne zadania.

Taśma z tym szokującym nagraniem została wyemitowana. I co się dzieje? Nic. Temat nie wychodzi z „bańki" pisowskiej, podobnie jak równie szokujące powiązania marszałka Czarzastego z rosyjskimi „biznesmenami", przez które nigdy nie poddał się on procedurze udzielania dostępu do tajemnic (co nie przeszkodziło, że był i jest do nich dopuszczany). W końcu ukazuje się enigmatyczny komunikat, że jakiś pułkownik B. został z pewnych powodów zawieszony. I to wszystko. „Wolne" media – Maul halten!

Trudno nie przypomnieć, że dzieje się to dosłownie kilka dni po tym, jak 67-letnia emerytka z Torunia została skazana przez niejakiego Czarcińskiego na pół roku więzienia i zakaz zbliżania się do Jerzego Owsiaka za „groźbę karalną" w postaci wpisu: „giń człowieku i przestań kłamać", adresowanego do szefa charytatywnego biznesu. Kilka godzin po tym wpisie policja zrobiła emerytce poranny nalot na mieszkanie, skuła ją i aresztowała, a media… Ech!

I co tu dodać? ©℗

#WARTO

Czy Tuskowi chodzi o Izrael?

JAN POSPIESZALSKI

Coraz więcej komentatorów i ekspertów zakłada, że jest bardzo prawdopodobne, że była to operacja rosyjskiego KGB" – powiedział Donald Tusk na konferencji prasowej. Wypowiedź polskiego premiera skwapliwie powtórzyły różne zagraniczne media, od Reutersa, przez The Telegraph, po portale francuskie, a nawet tureckie. Nic w tym dziwnego, skoro wszyscy żyją aferą Epsteina, każda wypowiedź, która wnosi nowe wątki, jest cytowana. Jednak tu mamy coś więcej. Zwrócę uwagę na konstrukcję wypowiedzi Tuska.

Premier powołuje się na jakichś ekspertów, ale nie podaje nazwisk, potem w trybie przypuszczającym mówi o dużym prawdopodobieństwie, ale zabezpiecza się zastrzeżeniem, że anonimowi „eksperci" nie twierdzą, ale zaledwie zakładają… Mówiąc krótko, waga sformułowania jest tak mocna jak to, że ktoś (?) przypuszcza (?), że być może (?) coś tam… Tymczasem nie trzeba zgłębiać wszystkich trzech milionów dokumentów, żeby spostrzec, że jeśli jakieś służby miały udział w aferze Epsteina, to w pierwszej kolejności należałoby szukać tropów w kręgu osób, z którymi się przyjaźnił lub utrzymywał kontakt. Taką osobą bez wątpienia był Ehud Barak, były premier Izraela. A droga tego izraelskiego polityka na szczyty władzy wiodła przez siły zbrojne i służby specjalne. Uczestniczył w kilku brawurowych operacjach wywiadowczych i dywersyjnych, osobiście biorąc udział w akcji likwidacji najważniejszych członków terrorystycznej, palestyńskiej organizacji Czarny Wrzesień. Zanim został szefem Sztabu Generalnego Sił Obronnych Izraela, od roku 1983 stał na czele wywiadu wojskowego Aman. Historia uczy, że człowiekiem służb jest się do końca życia.

Media jak ognia boją się wskazywać na powiązania Epsteina ze służbami izraelskimi, więc teraz, gdy Tusk wyskoczył z Rosjanami, z niekłamaną ulgą podjęły ten wątek. Epstein to operacja służb Oczywiście! Polski premier już powiedział jakich. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kowal i Sorbona

Literaturoznawcy z paryskiej Sorbony zwrócili się do Pawła Kowala (Koalicja Obywatelska poprzez powiązanie) z uprzejmą prośbą o udzielenie wszelkich możliwych informacji o nieznanym dziele scenicznym Moliera. Stop. Początkiem sprawy był wpis naszego polityka o uczestniczeniu w spektaklu Moliera właśnie pt. „Mizogin". Stop. Dzieło takie do tej pory nie zostało odkryte. Stop. Dobra tam, żartuję sobie, nikt się z Sorbony do Kowala nie zgłosił, za to pół Polski ma z niego ubaw, bo pomylił mizantropa z mizoginem. Trudne słowa, trzeba przyznać, i oba na M. Stop. Ewentualnie naukowcy z Sorbony mogliby się i tym przypadkiem zająć, ale to już zupełnie inny wydział.

Poseł Marek Jakubiak był łaskaw w ubiegłym tygodniu rzec: „Pod rządami Tuska Polska wykazuje niemal wszystkie znamiona mafii". Stop. Marek, a to „niemal" to jak ci się przyplątało?

Chyba są cztery bańki do wzięcia, znaczy 4 mln zł, ale trzeba sprawdzić szczegółowo. Stop. No bo tak: był sobie proces dwóch pomagierów Sławka Nowaka, który miał ponoć brać łapówki, że ho, ho. Stop. Pomagierzy się przyznali, a jeden to nawet pokazał, gdzie on te cztery bańki łapówek skrywał. Tam na gumce było DNA Sławka, ale Sławek kolega Donka, że pomidor, że pomówienie, że sprawy nie zna. Stop. No i pomagierów na podstawie dowodów skazali, a sprawę Sławka wyodrębnili, bo on kolega Donka (tak tylko napisałem, ale to bez znaczenia Wysoki Sądzie). Stop. No i proces Sławka, kolegi Donka (to bez znaczenia, po co to znowu piszę?), skończył się, zanim się zaczął. Prawomocnie umorzyli sędziowie, a prokuraturę podmienili. Stop. Jakie to wszystko piękne. Stop. Ale, ale, no są przecież cztery bańki, które nie są Nowaka. No to czyje są? Stop. Jakby co, to ja się bardzo czule opiekuję np. pieskiem Koksikiem i tymi tam bańkami też bym mógł jakby coś. Tak tylko nadmieniam.

Tusk coś zrobił takiego, że cały świat zadziwił. Stop. Otóż powołał zespół do spraw analizy akt amerykańskich z tzw. sprawy Epsteina. Stop. Balony od Ruskich wlatują na teren Polski, jak chcą, kolej kupuje 40-letni złom wagonowy od Niemców, bezrobocie rośnie, dziura budżetowa zassie zaraz Układ Słoneczny, a ten sobie zespół analityków do amerykańskiej sprawy powołuje. Stop. Żeby tam mózgowców nie wsadził jak Adam Szłapka czy Urszula Zielińska, żeby tylko ten Tusk wojny Trumpowi nie wypowiedział. Stop. Wszystko przemija, a głupota rządu trwa… ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

NOWORODEK Z IPHONE'EM

Ta historia wykracza poza ramy wyobraźni, nawet autorki rubryki, która to autorka o celebrytach przeczytała już wiele. Jedna z największych polskich influencerek, Andziaks, urodziła drugie dziecko (szczere gratulacje!). Celebrytka nie byłaby jednak sobą, gdyby cały poród nie został zrelacjonowany na vlogu. Poród w prywatnym szpitalu, torebki za wiele tysięcy złotych w prezencie za poród od męża itd. Dzięki wideo dowiedzieliśmy się np., że noworodki przynoszą w prezencie... iPhone'y. Angelika Trochonowicz opublikowała film, na którym ich starsza córeczka poznaje braciszka. – Dzisiaj wielki dzień, bo jedzie właśnie do mnie Luka z Charlie i Charlie pierwszy raz pozna swojego braciszka. Ja jestem po prostu taka podekscytowana, a z drugiej strony jestem pełna obaw, jak ona się zachowa. Myślę, że będzie dobrze, ale wiecie, to jest pięciolatka. Nie wiem totalnie, co ona teraz ma w głowie. Mówi, że się bardzo cieszy, że nie może się doczekać, żeby zobaczyć braciszka – ogłosiła Andziaks. Jednak to nie pierwsze spotkanie maluchów wywołało największe emocje. Jak przekonywała influencerka swoją córkę, dzidziuś zdążył „kupić dużo wcześniej prezent dla siostry". – Braciszek oczywiście „kupił" dużo wcześniej już prezent dla siostry, więc będzie niespodzianka, ale siostra oczekuje tego prezentu, bo tak jakoś przekonaliśmy ją do brata na początku. „Co byś chciała dostać od braciszka? Zobaczysz, jak przyjdziesz do szpitala, to braciszek będzie miał dla Ciebie prezent, będzie fajnie". No i jakoś poszło – informowała obserwatorów. Cóż jest owym prezentem od noworodka dla starszej siostry? Smartfon. Na filmie Andziaks wręcza pięcioletniej córce iPhone'a, na co ta zareagowała ogromną radością. – Tylko wiesz co? Poczekaj, delikatnie, żebyś tutaj nie rzuciła na braciszka – dodała z troską mama influencerka. Nie bez powodu Angelika zyskała w Internecie miano „królowej konsumpcjonizmu".

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

BLADY STRACH

Saga ze sprzedażą właściciela TVN, koncernu Warner Bros., trwa od wielu miesięcy. Oficjalnie stacja i jej pracownicy mają się dobrze. Jednak jak opowiedział wieloletni prezenter m.in. śniadaniówki „Dzień dobry TVN", na korytarzach przy ul. Wiertniczej można wyczuć pewien niepokój. – Zawsze istnieje taka obawa, że nowy właściciel będzie chciał coś zmienić, może tym elementem będziesz ty [...]. W przypadku mojej pracy te subiektywne odczucia przełożonych mają znaczenie, wydawców, producentów. Tak działa ten biznes – powiedział Mateusz Hładki w rozmowie z Plotkiem. Prezenter podkreśla, że praca w mediach nie jest łatwa, ponieważ nie wystarczy pracować dobrze. Trzeba jeszcze zyskać przychylność szefa. – Myślę, że w przypadku ludzi, którzy prowadzą programy, którzy robią te wielkie kariery, to jest tak, że zanim pokocha ich widownia, to musi ich pokochać ich przełożony – tłumaczył. Hładki wyjawił, że wszyscy szefowie dużych mediów „to są ludzie, którzy gdzieś tak w kimś się, umownie oczywiście, »zakochują«, ktoś ich zaczyna nagle fascynować". – Ta osoba może mieć wadę wymowy, może wcale nie być orłem, ale ci decyzyjni uznają, że ma w sobie rodzaj energii, jakiś taki faktor X, który sprawi, że właśnie na tę osobę postawią – zauważył. Pracownik TVN podkreślił, że ciężka praca wcale nie zagwarantuje, że osiągnie się sukces. – Przypuszczam, że nigdzie nie jest łatwo, więc ja bym nie chciał z tego naszego zawodu, naszego środowiska robić miejsca pod jakimkolwiek względem wyjątkowego. Natomiast na pewno kryteria subiektywne mają tutaj ogromne znaczenie – podsumował Mateusz Hładki.

MATCHA NIE PASUJE

Łzawa historia modelki Sandry Kubickiej. Influencerka otworzyła kilka miesięcy temu w stolicy swoją matcharnię, czyli taki lokal z matchą. Miejsce zyskało dużą popularność, ale nie ze względu na wysokie walory smakowe napoju, ale fakt, że według licznych recenzujących matcha Sandry „smakowała jak błoto". Początkowo influencerka próbowała obśmiać krytykę, przerzucając winę na zazdrosną konkurencję. Rynek jednak zweryfikował biznes. Z końcem stycznia Kubicka zamknęła lokal. – Ja i moja matcharnia Sandra's Matcha staliśmy się trendem na TikToku. I to nie tym fajnym, gdzie robi się jakieś tańce albo naśladuje kogoś. Staliśmy się takim trendem, który przekroczył niektóre granice. I to już nie chodziło o to, czy komuś smakowała moja matcha czy nie smakowała. Tam już były wyśmiewane prace. Wyśmiewana byłam ja. Wyśmiewana była moja matcha. Byliśmy podważani. Niektóre filmiki były już tak przerysowane, z tym pluciem. Tego było po prostu za dużo – wyznała na Instagramie. Sandra Kubicka przyznała, że rozumie, iż Warszawa jest specyficznym miastem. – To jest miasto influencerów, tiktokerów, celebrytów. I troszeczkę zbyt mocno skupiłam się na tej Warszawie. I wtedy wpadłam na taki pomysł, aby zrobić „Sandra's Matcha Tour" po Polsce. Abyśmy zamienili się w food trucka, abyśmy byli pop-upami w różnych miejscach [...]. Może kiedyś wrócimy? Nie wiem. Może wrócimy w innej odsłonie. Bo marzy mi się śniadaniownia. Ale nie obiecuję. Nie rzucam jeszcze słów na wiatr. Na chwilę obecną jestem po prostu zmuszona zamknąć punkt stacjonarny – przekazała. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ruszyły kolejne zimowe igrzyska olimpijskie, tym razem rozgrywane w północnych Włoszech, i przy tej okazji bardzo nam się mocno rzuca w oczy, jak bardzo nieinkluzywna jest to impreza. Nawet trochę wstyd, iż rozgrywana jest na terenie Unii Europejskiej w XXI w., iż spodziewalibyśmy się, że współczesne igrzyska będą bardziej otwarte na różnorodność i dywersyfikację uczestników ze względu na miejsce zamieszkania, pochodzenie etniczne czy też umiejętności sportowe.

Spójrzcie, jaki dobry przykład dała FIFA: w tym roku odbędą się również mistrzostwa świata w piłce nożnej, które zostały poszerzone z 32 do 48 uczestników. Natomiast z tych dodatkowych 16 miejsc tylko trzy przypadają Europie. FIFA bowiem wykazała się godną pochwały i podziwu inkluzywnością i zaprosiła do udziału więcej reprezentacji z wykluczonych dotąd sportowo regionów świata, dzięki czemu na mundialu zobaczymy np. Jordanię, Uzbekistan, Curaçao czy Wyspy Zielonego Przylądka. Co zabawne, nadal nie wiadomo, czy zobaczymy reprezentację tego kraju xD.

No a co z zimowymi igrzyskami? No niestety – MKOl nie zadbał o programy promocyjne, aby np. popularyzować skoki narciarskie w Beninie czy snowboard w Gwatemali. W konsekwencji jakaś połowa mieszkańców świata nie będzie podczas igrzysk przez nikogo reprezentowana, co oczywiście sprawia, iż poczuje się wykluczona, a my nie lubimy, kiedy ktoś jest wykluczany.

Teraz pewnie jest już za późno, iżby coś zrobić, ale może na przyszłość udałoby się jakoś zadbać o to, aby każdy kraj na świecie miał prawo wystawienia w igrzyskach swojej reprezentacji, niezależnie od prezentowanego poziomu sportowego, iż jednak powinien się liczyć udział, a nie zwycięstwa.

Ale też, żeby nie przesadzać, ten udział powinien w jakiś sposób zostać subsydiowany dodatkowymi punktami, za np. położenie w strefie klimatycznej, w której nie ma śniegu ani skoczni narciarskich. W ten sposób taki skoczek z Beninu na start otrzymywałby dodatkowe punkty, a gdyby wykazał dodatkowo przynależność do którejś z mniejszości (albo wielu, nie wykluczamy takiego scenariusza), to tych punktów miałby jeszcze więcej. W ten sposób to uprzywilejowani biali sportowcy z kontynentalnej Europy musieliby go gonić i na własnej skórze odczuć to, jak to jest mierzyć się z nierównościami. Uważamy, iż jest to pomysł, który świetnie wpisuje się w ideały olimpijskie i zrównoważonego rozwoju.

A czy w te ideały wpisuje się reprezentacja tego kraju? No cóż, jak zawsze wysyłamy na wielką imprezę sportową maksymalnie nieróżnorodną ekipę, bardzo homogeniczną etnicznie i rasowo. Pewnie znów będziemy na ustach całego świata, który będzie miał z nas bekę (albo przynajmniej będzie się dziwił), iż nie mamy w składzie żadnej osoby etnicznie niepolskiej.

Na zakończenie mamy jeszcze refleksję klimatyczną – czy aby podział igrzysk olimpijskich na „letnie" i „zimowe" w dobie obecnego kryzysu klimatycznego ma jeszcze sens? Czy nie jest to tylko paliwo (ofc diesel) dla oszalałych prawaków i denialistów klimatycznych, że jakie ocieplenie: jest zima, jest zimno, są zimowe igrzyska. Uważamy, iż powinno to zostać starannie przemyślane i w najbliższej przyszłości zunifikowane, iżby zachować spójność narracji. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Z Dodą na lodówce

Karol, mam kolejny pomysł na ocieplanie wizerunku.
No, co tam, Rafał, tym razem?

Taką kombinację wymyśliłem: własnoręcznie, na swoich plecach, wnosisz lodówkę do schroniska dla zwierząt, wszystko Krzysiek transmituje u siebie, już z nim gadałem o tym, a na lodówce siedzi Doda. Że niby razem pomagacie.
Czekaj. Ale po co w schronisku lodówka?

No, w sumie... A nie przyda się? Lodówka się chyba zawsze przyda.
Ale co, że mają w niej psy trzymać?

Psy to może nie. Ale, dajmy na to, latem, jak pracownicy będą chcieli sobie zimne piwo wypić?
Chcesz, żeby powiedzieli, że prezydent rozpija naród?

I tak już mówią. Ale może masz rację. Jeszcze to przepracuję. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Te konserwatywne wartości to pedofilia i stręczycielstwo? To właśnie reprezentuje po części sobą ruch MAGA".

ROCH KOWALSKI, *dziennikarz Polskiego Radia24, w TVP Info komentujący aferę Epsteina*

eprasa.pl 97a3749d10

405
NG
NAVY
166425

FOT. ZOE SIMPSON/US NAVY/AFP/EAST NEWS

CORAZ BARDZIEJ NAPIĘTA SYTUACJA MIĘDZY USA A IRANEM

W piątek w Omanie rozpoczęły się oficjalne negocjacje przedstawicieli Stanów Zjednoczonych oraz Iranu. Głównym tematem rozmów miał być irański program nuklearny. Szanse na porozumienie Amerykanów z reżimem ajatollahów są jednak niewielkie. Wskazywać na to może też wydane w piątek rano przez Waszyngton wezwanie obywateli amerykańskich do natychmiastowego opuszczenia Iranu. A także słowa pracowników prezydenckiej administracji. – Prezydentowi Donaldowi Trumpowi zależy na dyplomatycznym rozwiązaniu, lecz ma do dyspozycji wiele opcji jako zwierzchnik sił zbrojnych – podkreśliła na konferencji prasowej rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt.

Prezydent Donald Trump od kilku tygodni grozi Iranowi nową operacją zbrojną. Stany Zjednoczone skierowały w rejon Bliskiego Wschodu dużą grupę uderzeniową marynarki wojennej na czele z nuklearnym lotniskowcem USS „Abraham Lincoln" (na zdjęciu myśliwiec F/A 18E Super Hornet na jego pokładzie), nazywanym przez Amerykanów „największym okrętem wojennym na świecie" (jego załoga liczy ok. 5 tys. osób). Do baz na Bliskim Wschodzie skierowano także dodatkowe eskadry lotnicze. Minister wojny USA Pete Hegseth oznajmił w ubiegłym tygodniu, że Pentagon jest „bardziej niż gotowy", by działać, jeśli Iran odmówi negocjacji.

Amerykanie wraz z sojusznikami w regionie przeprowadzili w ostatnich tygodniach manewry będące jednocześnie projekcją siły i przygotowaniem do reagowania na irańskie uderzenia odwetowe. We wtorek nowoczesny amerykański myśliwiec F-35 zestrzelił zaś irańskiego drona Shahed-139, który na neutralnych wodach zbliżył się do lotniskowca USS „Abraham Lincoln". Wcześniej tego samego dnia sześć irańskich okrętów podpłynęło na niedużą odległość do tankowca płynącego pod banderą USA w Cieśninie Ormuz. Władze w Teheranie publicznie ostrzegły też, że w razie ataku Iran uderzy na amerykańskie instalacje wojskowe na Bliskim Wschodzie. Iran mógłby użyć w tym celu np. najnowszego pocisku balistycznego Khorramshahr-4 o zasięgu 2 tys. km. ***(jap)*** ©℗

La gran sustitución, czyli wielka po hiszpańsku

Łukasz Warzecha

Wielka podmiana faktycznie może dać lewicy korzyści. Dane dotyczące tego, jak głosują imigranci, są zwykle niepełne, w niektórych krajach, jak we Francji, fragmentaryczne, ale pokazują niezmienną prawidłowość: imigranci z egzotycznych lokalizacji czy państw muzułmańskich częściej oddają głosy na ugrupowania lewicowe

Gdyby Irene Montero była marginalnym politykiem z kanapowej partyjki, być może jej wystąpienie można by uznać jedynie za komiczne. Aczkolwiek niektórym ton i gestykulacja mogłyby się zbyt mocno kojarzyć z pewnym austriackim malarzem. Montero nie jest jednak nikim.

Karierę polityczną zaczęła już w wieku 16 lat, gdy w 2004 r. wstąpiła do Związku Młodzieży Komunistycznej Hiszpanii (tak, taki w Hiszpanii istnieje – Unión de Juventudes Comunistas de España – i wprost odwołuje się do marksizmu-leninizmu). Dziesięć lat później Irene Montero odnalazła się znakomicie w skrajnie lewicowym ugrupowaniu Podemos (Możemy), które od biedy można uznać za odpowiednik polskiego Razem, obie formacje są w tej paneuropejskiej partii politycznej. Podemos uczestniczyło w dwóch rządach Pedra Sáncheza, socjalistycznego premiera, stojącego na czele państwa od 2018 r. W latach 2020–2023 Irene Montero była u premiera Sáncheza ministrem do spraw równości.

Pani minister forsowała dwa projekty. Nie powiodło jej się z ustawą, która umożliwiałaby każdej osobie powyżej 14 lat zmianę płci na pstryknięcie, bez konieczności podejmowania „terapii" hormonalnej czy przeprowadzania jakichkolwiek zmian w organizmie. Udało jej się natomiast doprowadzić do zmiany prawa, która wprowadziła konieczność

eprasa.pl 97a3749d10

podmiana

Radość ok. 500-osobowej grupy nielegalnych migrantów, którzy dotarli do Hiszpanii FOT. ILIES AMAR/ZUMA PRESS/FORUM

uzyskania wyraźnej zgody dla obcowania płciowego. To samo zresztą zrobiła Polska poprzez zmianę w Kodeksie karnym, uchwaloną w czerwcu 2024 r. (popartą przez 94 posłów PiS na czele z Jarosławem Kaczyńskim i podpisaną przez prezydenta Dudę). To typowa dla lewicy regulacja, skutkująca fałszywymi oskarżeniami wobec mężczyzn.

W 2024 r. Montero wystartowała w wyborach do Parlamentu Europejskiego i zdobyła mandat. Należy do grupy politycznej Lewicy wraz z drugą europosłanką Podemos, Isabelą Serra Sánchez.

„OSOBY MIGRANCKIE" W KRAJU „FASZYSTÓW"

Do niedawna w Polsce Montero była anonimowa. Do momentu, gdy karierę zaczęło w sieci robić jej wystąpienie ze spotkania z sympatykami Podemos. Europosłanka ze sceny komentowała z wielką ekscytacją nową hiszpańską regulację, w ramach której swój pobyt w Hiszpanii może zalegalizować przynajmniej pół miliona nielegalnych imigrantów. A może nawet więcej, wziąwszy pod uwagę to, że liczbę takich osób szacuje się dzisiaj na ponad 837 tys. – radykalny wzrost nastąpił w ciągu ok. dekady, gdyż w 2017 r. było to 107 tys. Najważniejszy fragment jej wypowiedzi brzmiał:

„Proszę osoby imigranckie [sic]: nie zostawiajcie nas z tyloma faszystami! I oczywiście, że chcemy, aby głosowali! Mają papiery, są oficjalnie zarejestrowani. A teraz będziemy walczyć, aby dostali obywatelstwo albo zmienimy prawo tak, aby mogli głosować! Oczywiście! Oby! Teoria wielkiej wymiany? Obyśmy mogli oczyścić ten kraj z faszystów i rasistów, zastępując ich imigrantami, ciężko pracującymi ludźmi! Jasne, że chcę, aby doszło do wymiany! Wymiany faszystów i rasistów, darmozjadów, której dokonamy z przedstawicielami ludu pracującego tego kraju, jaki by nie był kolor ich skóry".

Za faszystów, jak nietrudno się domyślić, uznaje Montero wszystkich, którzy sprzeciwiają się planowi rządu Sáncheza, a w szczególności krytykujących go mocno polityków prawicowej partii Vox. Przede wszystkim jednak uwagę zwraca odwołanie się przez lewicową polityk do teorii wielkiej podmiany. Ten termin pojawił się w obiegu publicznym na początku XXI w. za sprawą francuskiego pisarza Jeana Renauda Gabriela Camusa, postaci niezwykle ciekawej. Camusa (niemającego nic wspólnego z Albertem Camusem), dzisiaj 79-latka, początkowo nic nie wiązało z prawicą. Wręcz przeciwnie, jako jawny homoseksualista w roku 1968 zaangażował się w lewicową rewoltę, należał też do partii socjalistycznej, a jego książki w dużej mierze poświęcone są homoseksualnym doświadczeniom.

Na początku lat 2000. w jego pisarstwie i wypowiedziach zaczęła się pojawiać kwestia wielkiej podmiany. Poglądy Camusa w tej sprawie zainspirował, co może być zaskakujące, stojący przecież po przeciwnej stronie spektrum światopoglądowego Jean Raspail, zmarły w 2020 r. ultrakonserwatywny francuski pisarz, najlepiej znany jako autor powieści „Obóz świętych" (w Polsce jego książki wydaje Wydawnictwo Dębogóra). Książka opowiada o inwazji imigrantów z biednych regionów świata na Europę w obliczu koniunkturalizmu polityków i zachęt zlewaczałego

eprasa.pl 97a3749d10

Kościoła (powieściowy papież, postać zdecydowanie negatywna, nosi imię Benedykta XVI, przy czym jest to czysty zbieg okoliczności, gdyż Raspail opublikował „Obóz świętych" w 1973 r., gdy nikomu nie śniło się o wyborze kard. Ratzingera na papieża).

Camus zaczął głosić tezę, że światowa elita, poprzez zachęcanie imigrantów z Afryki czy Azji do osiedlania się w Europie, dokonuje wielkiej podmiany społecznej. Jak tłumaczył w 2022 r. w rozmowie z brytyjskim konserwatywnym magazynem „The Spectator" – zaczął to rozumieć, dostrzegając, jak bardzo w ciągu kilku dekad zmienił się przekrój mieszkańców małych francuskich miejscowości. Od kilku lat Camus związany jest z prawicową partią Souveraineté, identité et libertés (Suwerenność, Tożsamość i Wolność), kierowaną przez Karima Ouchikha, francuskiego działacza politycznego o berberskim pochodzeniu.

NA POMOC LEWICY

W głównym nurcie teoria wielkiej podmiany uznawana jest za spiskową, co jest łatwym i częstym sposobem na zdyskredytowanie niewygodnego twierdzenia. Tymczasem Camus i zwolennicy tezy o wielkiej podmianie mają w dużej części rację. Jak to zwykle bywa, najbardziej wątpliwą częścią stawianej przez nich tezy jest przekonanie o z góry ustalonym centralnie wśród elit planie. Procesy polityczne i tendencje, które przenikają główny nurt, nie muszą jednak być uzgadniane na jakichś tajnych spotkaniach. Motywacja dla podobnego postępowania w różnych państwach jest podobna. Po pierwsze, jest to kopiowanie od siebie wzorców politycznych, które stają się integralnym elementem pakietów światopoglądowych, przekazywanych wyborcom. Otwartość na imigrację jest od dawna elementem takiego pakietu przede wszystkim na lewicy, co bierze się z charakterystycznego dla niej przekonania, że wartości wynikające z narodowej tożsamości są groźne i niespójne z lewicowym paradygmatem.

Tę tezę potwierdza w Polsce opublikowane niedawno bardzo ciekawe, przekrojowe badanie Polaków w wieku 18–29 lat, przygotowane na zamówienie Nowego Ładu. Jedno z pytań brzmiało: „Jak ważne jest dla ciebie bycie Polakiem?", a odpowiedź można było zaznaczyć na skali od 1 do 10. Najwięcej niskich wartości, do 5, zaznaczali wyborcy Nowej Lewicy (w sumie 38 proc.) i Razem (35 proc.) – na tle pozostałych elektoratów było to bardzo widoczne. Wyborcy tych dwóch formacji wykazywali się także ponadprzeciętną otwartością na imigrację. Na pytanie: „Czy twoim zdaniem Polska powinna być otwarta na imigrację?" „zdecydowanie tak" oraz „raczej tak" odpowiedziało w sumie 48 proc. wyborców Nowej Lewicy i aż 50 proc. wyborców Razem. Już nawet wyborcy Koalicji Obywatelskiej byli mniej entuzjastyczni (41 proc.), nie mówiąc o PiS (27 proc.), Konfederacji (21 proc.) i Konfederacji Brauna (14 proc.).

„Wielka podmiana" nie jest wyimaginowana, ale wprost ogłaszana przez lewicę jako pożądany efekt „szerszego włączenia" imigrantów w życie polityczne i społeczne

Druga przyczyna przyjmowania niezależnie od siebie podobnej metody postępowania przez polityków lewicy czy głównego nurtu to wynikająca z tego korzyść polityczna, którą – być może nieintencjonalnie – wykrzyczała ze sceny Irene Montero: skaptowanie ich jako własnego elektoratu. W Polsce zaś w ubiegłym roku bardzo szczerze mówił o tym Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej".

„Nie mogę się na to doczekać, aż przypłynie tu grupa wyborców, no po prostu innych chociażby. I też krajobraz, kultura, innowacyjność, no właściwie wszystkie możliwe oblicza tego kraju zmienią się na pozytywne. Bo przecież przestępczość robią Polacy na Polakach czy Polacy na Polkach jeszcze częściej niż jacykolwiek właściwie cudzoziemcy. Ja mogę otwarcie całkowicie powiedzieć, że jak najwięcej migracji w Polsce. To jest najbezpieczniejszy projekt gospodarczo-społeczny i w każdym innym sensie. Muszę to głośno powiedzieć, bo chyba daliśmy się zastraszyć, że to jest jakiś problem egzystencjalny dla ludzi".

W obu wypowiedziach – i Sierakowskiego, i Montero – pojawia się ten sam, rzekomo spiskowy motyw wielkiej podmiany: imigranci mają otrzymać prawa wyborcze i wspomóc lewicę. Sierakowski mówi przecież wyraźnie o „grupie wyborców", czyli zakłada, że imigranci mieliby głosować. W dodatku, być może nieintencjonalnie, wspomina o „przypłynięciu", co zdradza, że nie ma raczej na myśli imigrantów z państw nam bliskich geograficznie, jak Białoruś czy Ukraina. Montero zaś mówi jasno: „Będziemy walczyć, aby [imigranci] dostali obywatelstwo albo zmienimy prawo tak, aby mogli głosować". Jean Renaud Camus okazuje się mieć rację.

Polska lewica nie kryje zachwytu hiszpańskim planem. Krzysztof Śmiszek, obecnie europoseł, napisał na X: „Widzę, że skrajne prawactwo w furii, bo Hiszpania uregulowała status 500 tys. migrantów. Boją się jakiejś wyimaginowanej »Wielkiej Podmiany«. Ciągle się czegoś boją. W Polsce też przyszedł już czas na poważną rozmowę o szerszym włączeniu migrantów w życie społeczne i polityczne". Jak widać, „wielka podmiana" nie jest wyimaginowana, ale wprost ogłaszana przez lewicę jako pożądany efekt „szerszego włączenia" imigrantów w życie polityczne i społeczne.

Wielka podmiana faktycznie może dać lewicy korzyści. Dane dotyczące tego, jak głosują imigranci, są zwykle niepełne, w niektórych krajach, jak we Francji, fragmentaryczne, ale pokazują niezmienną prawidłowość: imigranci z egzotycznych lokalizacji czy państw muzułmańskich częściej oddają głosy na ugrupowania lewicowe. W Niemczech Turcy od lat wybierali najczęściej socjaldemokratów, ewentualnie postkomunistyczną Die Linke. We Francji o muzułmanów walczy skrajnie lewicowa La France Insoumise Jeana-Luca Mélenchona, stąd w niektórych sprawach zaskakujące z polskiego punktu widzenia stanowisko tego polityka, któremu zdarzało się stanąć w obronie np. publicznej obecności religii. Nie chodziło tu jednak o chrześcijaństwo, ale o islam, choć Mélenchon tego oczywiście głośno nie mówi. Dochodzi tu jednak do paradoksu: zarówno we Francji, jak i w Niemczech jest grupa imigrantów, którzy przebywają w tych krajach dość długo i mają skłonność do popierania ugrupowań antyimigranckich, a więc AfD czy Zjednoczenia Narodowego. Dla nich niekontrolowana imigracja jest również problemem. Po pierwsze – uderza w nich wizerunkowo; po drugie – zmniejsza bezpieczeństwo

eprasa.pl 97a3749d10

wewnętrzne, co dla tych osób prowadzących często małe biznesy jest istotne. Dla lewicy stara imigracja nie jest zatem tak atrakcyjna, jak sprowadzanie nowych przybyszów, którzy obdarzeni prawami wyborczymi mieliby wspierać tych, którzy chcą im zapewnić socjal oraz umożliwić sprowadzanie pobratymców.

WBREW SPOŁECZNEMU SENTYMENTOWI

Co dokładnie zaplanowała Hiszpania? Wnioski o legalizację pobytu, na początek na próbny rok z perspektywą przedłużenia, począwszy od kwietnia do czerwca 2026 r., będą mogli składać nielegalni imigranci, którzy przebywali w kraju przynajmniej pięć miesięcy przed końcem ubiegłego roku lub w tym czasie ubiegali się o ochronę międzynarodową. Warunkiem w teorii jest brak kryminalnej kartoteki i „niezagrażanie porządkowi publicznemu", cokolwiek miałoby to oznaczać. Pytanie brzmi: Jak miałoby to być sprawdzane, z długością pobytu w Hiszpanii włącznie, skoro mowa o imigrantach nielegalnych? System najpewniej będzie skrajnie nieszczelny, podobnie jak to było podczas kryzysu imigracyjnego w Niemczech.

Rząd, przewidując zapewne problemy z ewentualnym głosowaniem w parlamencie, sięgnął po tzw. dekret królewski, który nie wymaga głosowania w Kortezach. W hiszpańskim systemie politycznym ten instrument może być użyty, jeżeli sprawa zostaje uznana za szczególnie pilną, a okoliczności są wyjątkowe. Oczywiście są to warunki, które podlegają twórczej interpretacji. W tym wypadku rząd podjął decyzję naciskany przez niebędące już jego koalicjantem, ale konkurujące z PSOE (socjalistami Sáncheza) Podemos. Gdyby sprawa trafiła do parlamentu, wybuchłaby tam z pewnością ogromna awantura.

Ta zresztą ma miejsce i tak, bo premier Sánchez zadziałał wbrew społecznemu sentymentowi. Ten w Hiszpanii nie różni się od większości nastrojów w Europie. W listopadowym sondażu na temat imigracji 59,7 proc. respondentów stwierdziło, że w kraju jest zbyt wielu obcokrajowców. Takich osób było blisko 30 proc. nawet wśród wyborców PSOE. 66 proc. uznało, że imigranci otrzymują zbyt wiele pomocy od hiszpańskiego państwa, a jedynie 11 proc. opowiadało się za swobodną imigracją. Takie wyniki sondażu mogą mieć związek m.in. z utrzymującym się w Hiszpanii od dawna bardzo wysokim bezrobociem. Dopiero niedawno, w ostatnim kwartale ubiegłego roku, pierwszy raz od 2008 r. spadło ono poniżej 10 proc., a i to nieznacznie – raptem do 9,93 proc. Wśród młodych jest druzgocące: 23 proc.

PODZIELONY EPISKOPAT

Dekret rządu Sáncheza wywołał także rozdźwięk w hiszpańskim episkopacie. Konferencja hiszpańskich biskupów poparła ruch socjalistycznego rządu, w specjalnym oświadczeniu nazywając go „aktem sprawiedliwości społecznej" i stwierdzając, że domagały się go „duże grupy obywateli jako wyrazu politycznej, etycznej i społecznej odpowiedzialności". Za taką postawą hiszpańskiego Kościoła może stać przekonanie, że imigranci, szczególnie z Ameryki Południowej, zasilają szeregi wiernych, podczas gdy rodowici Hiszpanie są coraz bardziej zlaicyzowani.

Z tak entuzjastyczną postawą nie zgodzili się jednak wszyscy członkowie Episkopatu Hiszpanii. Skrytykował ją m.in. arcybiskup Oviedo Jésus Sanz, a biskup diecezji Orihuela-Alicante, José Ignacio Munilla Aguirre, napisał na X, odnosząc się do forsowania budzącego sprzeciw rozwiązania dekretem: „Ten podstępny sposób postępowania wyraźnie pokazuje pogardę, jaką nasi przywódcy żywią do emerytów [dotyczy to innej sprawy, którą biskup zestawił z imigracją] i imigrantów, których wykorzystują jako kartę przetargową […]. Większość Hiszpanów ma świadomość etyczną, zarówno w odniesieniu do konieczności zapewnienia godności naszym emerytom, jak i ułatwienia legalizacji pobytu imigrantów, którzy uczciwie pracują wśród nas, odrzucając odrażającą alternatywę polegającą na ściganiu i wydalaniu Latynosów, czego jesteśmy świadkami w USA. W ten sposób, podejmując tak ważne kwestie ukradkiem, unika się niezbędnego dialogu parlamentarnego i zapobiega się właściwym niuansom". Są też wypowiedzi znacznie ostrzejsze, choć już nie ze strony biskupów. Ksiądz Francisco J. Delgado z diecezji toledańskiej (24,5 tys. obserwujących na X), znany z ostrych konserwatywnych poglądów, a przez lewicowy „El País" nazywany „katolickim influencerem", mówi o „zdradzie" biskupów.

Dla lewicy stara imigracja nie jest zatem tak atrakcyjna, jak sprowadzanie nowych przybyszów, którzy obdarzeni prawami wyborczymi mieliby wspierać tych, którzy chcą im zapewnić socjal oraz umożliwić sprowadzanie pobratymców

Równie ostro wystąpił ks. Juan Manuel Góngora z diecezji Almería. Oto jego wpis na X (podany dalej przez ks. Delgado): „Masowa legalizacja imigrantów jest zasłoną dymną, którą stosują socjaliści i ich poplecznicy, mając na celu trzy niezaprzeczalne cele: w obliczu ciągłych publikacji informacji zatuszować skandal politycznej odpowiedzialności rządu za katastrofę [kolejową] w Adamuz […]; kontynuować proces wymiany ludności […], aby zastąpić osłabiony elektorat i zdestabilizować społeczeństwo poprzez niepewność i załamanie się usług publicznych". Recenzując poczynania episkopatu, ks. Góngora zacytował kard. Sarah: „Obawiają się dezaprobaty, bycia uznanymi za reakcyjnych. Dlatego mówią niejasne, nieprecyzyjne rzeczy, aby uniknąć krytyki, i podążają za głupią ewolucją świata".

Problem z hiszpańskim planem polega na tym, że jakiekolwiek by były motywacje Pedra Sáncheza, nie działa on tylko na własny rachunek. Jakkolwiek status, który mają otrzymać nielegalni imigranci w Hiszpanii, nie jest tym samym co permanentna unijna rezydencja, to jednak osoby, które go nabędą, będą mogły bez dodatkowych formalności przemieszczać się po całej strefie Schengen. Co prawda, w teorii ich swoboda przebywania w innym państwie UE niż Hiszpania będzie ograniczona do 90 dni, ale nikt nie będzie przecież w stanie tego dopilnować. Choćby dlatego hiszpański plan powinien przede wszystkim niepokoić Berlin, ale i Warszawę. A już szczególnie powinno niepokoić nas to, że mamy w Polsce ludzi takich jak Sierakowski czy Śmiszek, wprost deklarujących przywiązanie do idei wielkiej podmiany, stojącej w rażącej sprzeczności z polską racją stanu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Recepta lewicy na sukces

Jan Fiedorczuk

Przykłady zachodnich państw dowodzą, że lewica traktuje środowiska imigranckie jako rezerwuar zapasowych wyborców. Skoro nie da się przeforsować progresywnych zmian głosami Europejczyków, to lewicy pozostaje ściąganie wyborców z zagranicy. Stabilność państwa? Bezpieczeństwo obywateli? Nikt się tym nie przejmuje

Uczestnik proimigracyjnej demonstracji w Paryżu trzyma transparent o treści: „Nikt nie jest nielegalny", 18 grudnia 2025 r.

FOT. JEROME GILLES/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Kilka tygodni temu Sławomir Sierakowski z rozbrajającą szczerością przyznał, że jest wielkim entuzjastą imigracji i wiąże duże nadzieje na zmiany polityczne, jakie w przyszłości zaprowadzą w Polsce migranci. „Czekam już na to lata, aż przypłynie tu grupa wyborców. Po prostu innych i też krajobraz, kultura, innowacyjność zmieni się na pozytywne. Bo przecież przestępczość robią Polacy na Polakach, czy Polacy na Polkach jeszcze częściej niż jacykolwiek cudzoziemcy. Mogę powiedzieć, jak najwięcej migracji w Polsce. To jest najbezpieczniejszy projekt gospodarczo-społeczny i w każdym innym sensie" – mówił lewicowy publicysta na spotkaniu Krytyki Politycznej.

Sierakowski stwierdził, że jeżeli Polska nie popełni np. błędów Francji z lat 70. i 80., to migracja nie będzie żadnym problemem i nasz kraj może tylko zyskać. „Ci ludzie tu przyjadą, zyskają obywatelstwo i staną się Polakami" – przekonywał.

DEMOKRACJA PONAD GŁOWAMI POLAKÓW

W tej wypowiedzi jest kilka ciekawych aspektów. Po pierwsze, co oczywiste, zwraca uwagę chęć do przegłosowania Polaków głosami imigrantów – skoro polski demos głosuje cały czas na populistów, nacjonalistów i konserwatystów, to konieczne jest poszukanie sobie demosu zastępczego. Demokracja ponad głowami Polaków.

Po drugie, bardzo interesujący jest konstruktywistyczny wątek, w którym Sierakowski zakłada, że imigranci (ilu i z których państw – tego się nie dowiemy) po otrzymaniu obywatelstwa automatycznie „staną się Polakami". Tym samym pojęcie narodu zostaje sprowadzone do sumy osób przebywających na polskim terytorium, którym wystarczy wydać w urzędzie dokument, by partycypowali we wspólnocie.

Po trzecie, Sierakowski lekceważy realne zagrożenia, które wiążą się z otwarciem granic dla mas pochodzących z obcych krajów. Dla przykładu: przestępczość Gruzinów czy Kolumbijczyków, mimo stosunkowo niewielkiej reprezentacji tych narodowości, jest realnym problemem, o czym alarmują już eksperci. Sierakowski oczywiście nie różnicuje imigrantów, nie rozwodzi się nad tym, z których państw Polska powinna ich przyjmować, a z których nie, gdyż kłóciłoby się to z jego prawoczłowieczą, lewicową wrażliwością. Swego czasu to podejście doskonale oddała dziennikarka „Gazety Wyborczej", Anna Pamuła, która stwierdziła, że „załóżmy, że przyjmujemy 7 tys. uchodźców. Wśród nich jest jeden zamachowiec. Wysadza w powietrze i ginie 10 Polaków. Ale uratowaliśmy życie tych 6999, które przecież uciekały przed wojną". Wypowiedź została wówczas powszechnie skrytykowana, ale co do zasady Pamuła powiedziała dokładnie to samo co Sierakowski – każdy człowiek jest taki sam i nie wolno nikogo faworyzować przez sam fakt urodzenia w danym miejscu. Na papierze dopóty, dopóki te słowa padają w sterylnych warunkach studia TVN24, brzmi to logicznie; problem w tym, że po przeniesieniu tej zasady do rzeczywistego świata otrzymujemy obrazki rodem z Paryża, gdzie imigranci i ich potomkowie regularnie dewastują ulice francuskiej stolicy.

No dobrze, ale jaki właściwie mógłby być wpływ imigrantów, gdyby uzyskali obywatelstwo, na polskie życie polityczne? Otóż w 2023 r. Fundacja STUS zorganizowała symulowane „wybory", w których głosować mogli wyłącznie imigranci. Wyniki prezentowały się następująco: Nowa Lewica – 50 proc., Koalicja Obywatelska – 40 proc., Trzecia Droga – 3 proc., Konfederacja – 3 proc., PiS – 2 proc.

Jak widać, marzenie Sierakowskiego, że do Polski „przypłyną nowi wyborcy" i odmienią oblicze polskiej ziemi, jest niepozbawione podstaw – imigranci to naturalny rezerwuar dla formacji lewicowych i liberalnych. Zresztą nie

eprasa.pl 97a3749d10

muszą nawet „przypływać", gdyż 46 proc. uczestników przywołanego sondażu to Białorusini, a 39 proc. – Ukraińcy. Jak widać, nawet „bliscy nam kulturowo" migranci w swoich wyborach niczym się nie różnią od tych „dalekich" przybyszów.

Wybór partii lewicowo-liberalnych jest z punktu widzenia samych migrantów całkiem naturalny. Jeżeli formacje szeroko pojętej prawicy grupują się wokół takich pojęć jak wspólnota, suwerenność, spoistość kulturowa etc., to w oczywisty sposób będą ostrożniej podchodzić do tematyki migracyjnej niż formacje progresywne, które kierowane prawoczłowieczym imperatywem nie rozróżniają, kto jest Polakiem, a kto „obcym" – w progresywnej perspektywie wszyscy ludzie są równi i należy liberalizować przepisy migracyjne, aby umożliwić przybyszom partycypację w życiu publicznym na równych zasadach.

FRANCJA JAKO OSTRZEŻENIE

Również przykłady z państw europejskich dowodzą, że imigranci – po uzyskaniu praw wyborczych – oraz ich potomkowie głosują na partie progresywne. Oczywiście trudno tutaj podać bezpośrednie dane, gdyż np. we Francji statystyki etniczne są zakazane prawnie. Niemniej pomocnym narzędziem są tutaj choćby statystyki religijne. Dla przykładu: w wyborach prezydenckich w 2022 r. 69 proc. muzułmańskich wyborców oddało głos na Jeana-Luca Mélenchona, 14 proc. – na Emmanuela Macrona i zaledwie 7 proc. – na Marine Le Pen. W drugiej turze, w której Macron zmierzył się z Le Pen, kandydata liberałów wskazało 85 proc. muzułmańskich wyborców. W roku 2024 w wyborach parlamentarnych lewicowy Nowy Front Ludowy Mélenchona poparło ok. 70–80 proc. wyznawców islamu. W wyborach do europarlamentu te liczby sięgały ponad 60 proc.

Ten proces przejmowania elektoratu imigranckiego przebiega równolegle z odpływem autochtonów, którzy tradycyjnie wspierali lewicę. W 2024 r. już niemal 60 proc. rdzennych robotników głosowało na Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. Czy z biegiem dekad stali się oni bardziej konserwatywni? To oczywiście jedna z hipotez, ale bardziej prawdopodobne jest wytłumaczenie, że tania siła robocza sprowadzana spoza Europy zaczęła tę grupę społeczną wypierać z rynku pracy. W obliczu tych zmian rdzenni robotnicy zwrócili się do prawicy, która jako jedyna broniła ich interesów.

Przynależność narodowa i obywatelstwo są przez lewicę sprowadzane do dokumentu wręczanego w urzędzie. Imigrant przyjeżdża, wypełnia formularze i po trzech latach staje się np. Polakiem

Proces rozgrywania tematu imigracji dla partykularnych korzyści jest od lat krytykowany nad Sekwaną przez prawicę. I to nie tylko tę „skrajną" z partii Le Pen. „Sprzyjanie niekontrolowanej imigracji z powodów politycznych zagraża naszemu społeczeństwu i wartościom Republiki Francuskiej" – podkreślał już w 2012 r. Claude Guéant, były minister spraw wewnętrznych i doradca prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego.

PARTIA ERDOĞANA W BUNDESTAGU?

Również w Niemczech imigranckie pochodzenie przemożnie wpływa na kształt sceny politycznej. Dla przykładu: z badań berlińskiego instytutu badań demoskopowych Data4U, które przeprowadzono po wyborach z 2013 r., wynikało, że 64 proc. wyborców pochodzących z Turcji głosowało na SPD, 12 proc. na Zielonych i Lewicę, a zaledwie 7 proc. na CDU, które żadną wyrazistą prawicą nie jest (to właśnie tzw. chadecy za rządów Angeli Merkel otworzyli bramy Europy przed imigrantami).

Jeszcze w 2021 r. na łamach „Polityki" mogliśmy przeczytać, że Angela Merkel skłoniła wyznawców islamu do głosowania na niemiecką chadecję. „Koniec z niepisaną regułą, że muzułmanie w Niemczech głosują na lewicę" – przekonywał Filip Gańczak. Oto polski lewicowy tygodnik zapewnia, że strach przed muzułmańską imigracją jest wyolbrzymiony, gdyż wielu z migrantów głosuje na partie prawicowe. Tymczasem „Der Spiegel" opisywał niedawno badania Instytutu DeZIM dotyczące ostatnich wyborów parlamentarnych, z których wynikało, że wśród osób z korzeniami imigranckimi (z Bliskiego Wschodu, Afryki i Turcji) prawdopodobieństwo głosowania na SPD jest o 18,5 punktu procentowego wyższe niż wśród rdzennych wyborców. W przypadku Bloku Sahry Wagenknecht ten współczynnik okazał się wyższy o 13,1 p.p., a dla Die Linke o 7,6 p.p. Z kolei prawdopodobieństwo głosowania na AfD było niższe o 9,4 p.p., na Zielonych o 9,7 p.p., a na CDU/CSU o 8,1 p.p. Mowa o „prawdopodobieństwie", gdyż dokładnych danych dotyczących etnicznego pochodzenia nikt nie udostępnia.

Posiadanie wielkiej mniejszości narodowej to problem też z innego powodu. W 2017 r. Recep Erdoğan zaapelował do Turków mieszkających w Niemczech, by ci bojkotowali CDU, SPD i Zielonych, gdyż te partie prowadzą politykę wrogą wobec Ankary. W świecie lewicy takie problemy nie istnieją, ponieważ przynależność narodowa i obywatelstwo jako takie są przez nią sprowadzane do dokumentu wręczanego w urzędzie – imigrant przyjeżdża, wypełnia formularze i po trzech latach staje się np. Polakiem. Tymczasem kilka miesięcy temu Alexander Throm z CDU publicznie ostrzegał, że Niemcy muszą być przygotowane na to, iż „niemiecki odłam Partii Sprawiedliwości i Rozwoju Erdoğana wkrótce zasiądzie w niemieckim Bundestagu".

Podobne przykłady znajdziemy w całej Europie. W Wielkiej Brytanii wśród mniejszości etnicznych 46 proc. wyborców oddało swój głos w 2024 r. na Partię Pracy, podczas gdy na konserwatystów – 17 proc. (wśród czarnoskórych wyborców ta różnica wynosiła natomiast aż 68 do 16 proc.). W Norwegii z danych dotyczących wyborów parlamentarnych z 2021 r. wynika, że 61 proc. osób, których rodzice byli imigrantami, oddało głos na ugrupowania lewicowe: Partię Pracy, SV lub Rødt, podczas gdy jedynie 17 proc. poparło prawicę. Podobnie sytuacja wygląda w Hiszpanii, Belgii, Holandii, Szwecji, a także w Estonii, czy – jak pokazuje badanie Fundacji STUS przywołane na początku niniejszego tekstu – szanse są na to również w Polsce. Trudno nie dostrzec, że europejska lewica dąży do sytuacji, w której wygranie wyborów bez poparcia imigrantów będzie po prostu niemożliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Wystrychnięci na dudka

Proces Redouana El H. w Hanowerze, 1 grudnia 2025 r.

FOT. WELT NACHRICHTENSENDER/FACEBOOK

Jan Bogatko z Berlina

Lewica faworyzuje przybyszy z państw islamskich, ułatwiając im osiedlanie się w Niemczech. Chce w ten sposób zapewnić sobie w niedalekiej przyszłości wyborców, ponieważ dotychczasowa jej rodzima klientela skręca wyraźnie na prawo

Redouan El H. ma, jak mówi, 34 lata. Jest, jak mówi, Algierczykiem. Albo, jak mówi, Syryjczykiem. A może Marokańczykiem, jak uznał sąd w Hanowerze. Redouan czy jak mu tam na imię przybył do Niemiec w pamiętnym roku 2015. Nazwisko jest starannie zanonimizowane, by nie zaszkodzić młodemu osadnikowi. Wyrok nie jest jeszcze prawomocny, El H. może jeszcze odwołać się do sądu wyższej instancji. Zaledwie siedem lat zajęło niemieckiej policji ustalanie, że islamski gość do Niemiec przybył z kontynentu afrykańskiego. Oczywiście władze niemieckie odpowiedzialnością za ślamazarne postępowanie w sprawie ustalenia tożsamości Redouana El H. obarczają niezbyt gotowe do współpracy organa w Maroku. Można uznać za wielki sukces niemieckiej policji, że udało się jednak ustalić kraj pochodzenia osadnika o 11 tożsamościach. O innych, oprócz tej wymienionej, nie wiadomo wiele, poza tym, że wszystkich było 11. Redouan El H. wjechał do Niemiec bez dokumentów.

Przyjazd bez dokumentów do Europy młodych mężczyzn z Afryki dziurawymi łajbami przez Morze Śródziemne to, według ugrupowań lewicowych i NGO-sów bezpieczna metoda podróżowania osadników na Stary Kontynent. Nawet przygotowane przez nie „poradniki dla uchodźców" zachęcają bogatych osadników (ekspedycja do Europy przez wyspecjalizowanych przewodników to droga wyprawa, kosztująca wiele tysięcy euro) do niszczenia dokumentów tożsamości. Ideolodzy lewicy chcą zapewnić sobie w ten sposób w niedalekiej przyszłości wyborców, ponieważ dotychczasowa ich rodzima klientela skręca wyraźnie na prawo, co zwłaszcza w Niemczech rzuciło się wyraźnie w oczy podczas ostatnich wyborów zarówno do Bundestagu w Berlinie, jak i do landtagów (parlamentów krajowych).

PRZEPIS BEZ GŁĘBSZEGO ZNACZENIA

Zaraz po akcji w Berlinie pod skierowanym do migrantów hasłem „Herzlich wilkommen" bawarska CSU równie bezskutecznie, co i ostro zabiegała o to, by osobom nieposiadającym dokumentu tożsamości odmawiać prawa wjazdu do Niemiec. Lewicowa propaganda ostro się temu sprzeciwiała, gdyż zagrażało to dalekosiężnym celom marksistów. Lewica przekonywała, że liczni „uchodźcy" udający się do Europy nie mogli u siebie w kraju, ogarniętym wojną domową, wyrobić paszportu. No dobrze – mówią oponenci – ale co w takim razie darli oni na pokładzie łodzi i wyrzucali do morza? Teoretycznie osoba spoza strefy Schengen wjeżdżająca do Niemiec bez paszportu i wizy podlega karze. Przecież paragraf 3 ustawy o prawie pobytu wyraźnie stanowi, że cudzoziemiec zobowiązany jest do posiadania paszportu i okazywania go w celu kontroli straży granicznej. Od tej regulacji istnieją pewne wyjątki, o których doskonale wiedzą islamscy osadnicy, którymi opiekuje się choćby organizacja Pro Asyl, doradzająca osadnikom, której działania wychwala ultralewicowa gazeta „Die Tageszeitung". I znowu teoretycznie paragraf 95 ustawy o prawie pobytu grozi nielegalnym osadnikom w Niemczech karą do roku pozbawienia wolności. To przepis bez głębszego znaczenia, ponieważ tutejsze sądy często nie kwalifikowały dotąd nielegalnego przekroczenia granicy jako czynu karalnego. W przypadku ewidentnego stwierdzenia „nielegalnego pobytu" pechowemu osadnikowi grozi co najwyżej – znowu teoretycznie – deportacja. Ale uwaga: jeśli policja nie jest w stanie ustalić kraju pochodzenia cudzoziemca, to deportacja w ogóle nie wchodzi w grę (bo niby dokąd?). Wtedy osoba ta jest „tolerowana" (słynna niemiecka instytucja zwana „Duldung") i delikwent o tym statusie może sobie, wykorzystując z pomocą NGO rozliczne kruczki prawne, przeczekać czas do naturalizacji. Za niemieckie obywatelstwo osadnik podziękuje lewicy w najbliższych wyborach. Ona do tej pory dbała, by nielegalnym islamskim osadnikom (hasło: „człowiek nie jest nielegalny") nie spadł włos z głowy. Na murach domów „artyści" Antify malowali „humanitarne" hasła wzywające do zaniechania deportacji islamskich kryminalistów. Czy pojawią się nowe, w rodzaju „Redouan bleibt!" („Redouan zostanie!")? Niemcy poczekają na to do ogłoszenia prawomocnego wyroku.

Tymczasem Redouana El H. skazano na osiem lat więzienia za liczne przestępstwa, których osadnik dopuścił się na „ziemi obiecanej", jak usiłowanie zabójstwa, groźne uszkodzenie ciała i kradzież – by wymienić te ważniejsze. W kolejnym procesie, który odbył się tym razem przed sądem okręgowym w Hanowerze, zapadł w tutejszych katego-

eprasa.pl 97a3749d10

riach surowy wyrok, podczas ogłaszania którego sędzia Britta Schlingmann wygłosiła przyjęte w popkulturze zdanie ilustrujące bezradność: „Na takie zachowanie nie ma u nas zgody". Redouan El H., klnąc się na Allaha, zapewniał, że działał tylko w obronie własnej, bijąc ofiarę na dworcu w Hanowerze łańcuchem od roweru, a leżącego kopiąc w głowę. W opinii przeciętnego Niemca, piszącego komentarze do publikacji prasowych, proces, wyrok i słowa sędzi to dowód na bankructwo państwa, które nie jest w stanie poradzić sobie z zaproszonymi gośćmi. Byłoby to zabawne, gdyby nie było tragiczne. Jak podaje zazwyczaj dobrze poinformowany tabloid „Bild", jeszcze trzy dni przed atakiem na dworcu w Hanowerze Redouan El H. przebywał w… areszcie deportacyjnym. Wydawałoby się, że wszystko jest na dobrej drodze i przestępca zostanie odesłany do kraju w Afryce. Tak się jednak nie stało. Winą za „ciąg dalszy" Niemcy obarczają ambasadę Maroka, która nie wydała Redouanowi El H. dokumentu podróży, niezbędnego jakoby dla deportacji Marokańczyka o niezliczonych nazwiskach, który podobno nie wiadomo, jak znalazł się w Niemczech. Redouan stał się dzisiaj symbolem sypiącego się systemu lewicowego państwa, uważającego się nadal w obliczu recesji za mocarstwo, przynajmniej moralne. Marokańczyk, który przybył do Niemiec 10 lat temu, w okresie największego rozkwitu „Willkommenspolitik", osadnik o 11 tożsamościach, latami wodził za nos urzędników państwa dumnego ze swych filozofów i poetów.

ZAUFANIE OBYWATELI TOPNIEJE

Jak to się stało, że Niemcy dali się aż tak wystrychnąć na dudka? Oto garść podstawowych informacji: według najnowszych dostępnych danych za lata 2023–2024 14,8 proc. populacji Niemiec to obcokrajowcy. Dalej: cudzoziemcy stanowili 41,8 proc. podejrzanych o popełnienie przestępstwa, 38,9 proc. skazanych i 37,4 proc. więźniów odsiadujących wyrok. Osoby nieposiadające obywatelstwa niemieckiego są zatem wyraźnie nadreprezentowane na wszystkich szczeblach statystyk organów ścigania. I to wbrew temu, co utrzymuje lewacki portal Mediendienst. Z uprawianej przez jego ekspertów żonglerki liczbami migracja do Niemiec nie doprowadziła w okresie minionych 20 lat do wzrostu przestępczości. Przekonują oni – wbrew statystyce – że o ile od roku 2005 liczba cudzoziemców wzrosła w Niemczech o ponad 70 proc., o tyle przestępczość w tym samym okresie… spadła o 14 proc.!

Politycy, nawet ci u władzy w Berlinie, widzą to jednak nieco inaczej. Zdają sobie sprawę z tego, dlaczego Alternatywa dla Niemiec wychodzi na pozycję lidera w sondażach na szczeblu federalnym i landowym. Zaufanie obywateli do władzy topnieje z każdym przypadkiem w rodzaju Redouana. Przypadek osadnika o 11 tożsamościach to ilustracja państwa, które utraciło nad wszystkim kontrolę, poza kasowaniem mandatów w ruchu drogowym. Państwo obiecuje, ale nie dotrzymuje słowa. Zaufanie do niego leci na łeb na szyję, złość obywateli rośnie. W państwie totalnej kontroli, które nie podejmuje decyzji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA POLECA

NATYCHMIASTOWY BESTSELLER

We Francji wywołał burzliwą dyskusję o praworządności, niezależności sądów i przyszłości francuskiej polityki.

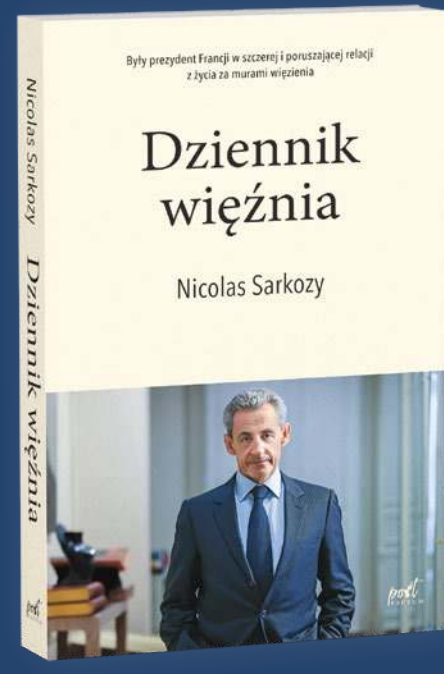

Dziennik więźnia to zapis doświadczeń Nicolasa Sarkozy'ego i jego obserwacje więziennego życia, przy jednoczesnym podkreślaniu swojej niewinności.

www.soniadraga.pl/postfactum
PostFactum
postfactumsd

post FACTUM

eprasa.pl 97a3749d10

Znikający PiS

Konwencja Programowa PiS w Katowicach, 24 października 2025 r.

FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS

Rafał A. Ziemkiewicz

Spór Unii Europejskiej z USA czy migracyjne i klimatyczne obsesje oligarchów europejskich to nowe poważne wyzwania, przed którymi staje Polska. Największa partia opozycyjna jednak ich realnie nie podejmuje

Zdanie „Prawo i Sprawiedliwość jest największą partią opozycyjną" coraz mniej odpowiada prawdzie. I nie dlatego, że jakaś inna partia opozycyjna staje się od PiS większa, jeszcze nie, choć trend sondaży jest zdecydowanie spadkowy. Ale nawet w najbardziej niekorzystnym z nich partię Jarosława Kaczyńskiego wskazuje wciąż 23,5 proc. badanych, podczas gdy drugą za nią Konfederację – 12,5 proc.

Coraz bardziej wątpliwe staje się w powyższym zdaniu inne słowo – słowo „jest". Czy PiS naprawdę jest? A może to tylko powidok, cień partii, która jeszcze niedawno rządziła Polską, w chwilach swej świetności zdobywała samodzielną większość w Sejmie i Senacie oraz wygrywała wybory prezydenckie. A teraz w szybkim tempie znika. Jeśli odpowiedzą mi państwo: Oczywiście, że PiS jest, przecież ciągle o nim mówią w prorządowych mediach, że przez PiS to, przez PiS tamto, że awarie wodociągów i kolei, bałagan w sądach, katastrofa porodówek i innych placówek służby zdrowia, dziura w budżecie i nawet afera Epsteina to wszystko wina PiS, to ja odpowiem: Owszem, mówią o PiS i czasem, w innych mediach, mówi i sam PiS ustami swych działaczy, ale co PiS robi? Co PiS proponuje?

STARY ŚWIAT SIĘ KRUSZY

To, że działacze partii pojawiają się w mediach i odpowiadają tam na pytania, przeważnie dementując oskarżenia rządzących oraz w odpowiedzi oskarżając ich, przerzucają się z nimi docinkami i kpinkami w mediach społecznościowych oraz na inne sposoby komentują rzeczywistość, to nie znaczy jeszcze, że partia nadal istnieje. Można chodzić do telewizji, udzielać wywiadów, a nawet zwoływać konferencje prasowe i wydawać oświadczenia także bez żadnej partii jako przedstawiciel jakiegoś klubu, nieformalnego środowiska albo po prostu jako osoba znana, dajmy na to, z piastowania kiedyś jakichś znaczących funkcji. Ale czy słyszeli państwo o jakiejś innej aktywności Prawa i Sprawiedliwości? Chyba tylko o jednej – o wojnie „maślarzy" z „harcerzami". Ktoś może zapyta: Jeśli wciąż istnieją i walczą ze sobą partyjne frakcje, to chyba mają o co walczyć, a więc partia wciąż jeszcze istnieje, prawda?

Nie całkiem. Partia polityczna to nie boisko dla walki frakcji, nawet jeśli trudno pokazać taką, w której w ten czy inny sposób nie ścierałyby się różne grupy i koterie. Istotą partii politycznej jest walka o władzę. Partia polityczna istnieje po to, żeby zdobyć władzę, a władzę zdobywa nie dla samej władzy – choć czasem w praktyce tak się potem okazuje – ale po to, żeby zrealizować cele, których wskazaniem pozyskała wyborców. Partia musi te cele sformułować, określić, zorientować się, które sprawy są dla wyborców ważne, co ich boli i czego chcą. Następnie partia musi zastanowić się, jak te problemy rozwiązać. Następnie ze swoimi pomysłami musi dotrzeć do wyborców, przekonać ich, że wie, jak spełnić ich oczekiwania, oraz znaleźć i wypromować ludzi, którzy wzbudzą zaufanie i których wyborcy uznają za wiarygodnych. Na tym polega polityczna praca. Praca, którą partia polityczna buduje zaufanie do siebie jako do formacji chcącej i potrafiącej naprawić kraj, i zdolnej, jeśli dostanie władzę, zrobić to. Jeśli wszystko się jej w tej pracy uda, to wygrywa wybory.

Co z tej pracy – pytam się – wykonuje ostatnimi czasy PiS? Wyzwania sypią się jak z rogu obfitości, bo historia wyraźnie przyśpieszyła. I Polacy to czują, nie do końca ogarniają szczegóły i nie rozumieją mechanizmów, ale widzą, że świat, do którego przywykli, kruszy się, i budzi to ich niepokój. Europa popadła w ostry spór z USA. Co robi PiS, by wyjaśnić naturę tego

eprasa.pl 97a3749d10

sporu i to, po której stronie powinna się opowiadać Polska?

Europa narzuca nam z ideologicznym uporem godnym dawnego ZSRS swoje obsesje, które wiodą do zubożenia społeczeństwa i pozbawienia go poczucia bezpieczeństwa, pogłębia się kontrast między coraz bardziej bezczelnie okazywanym przez europejskich oligarchów poczuciem wyższości i pogardą dla krajów takich jak nasz, coraz mocniej artykułowanym żądaniem bezwzględnego podporządkowania się ich klimatycznym i migracyjnym obsesjom, a nieskutecznością – gorzej, przeciwskutecznością – ich rządzenia własnymi krajami. Zaufanie, że wszystkie nasze problemy rozwiąże „dołączenie do Zachodu" i posłuszne wykonywanie jego poleceń, które przez 30 z górą lat napędzało polską politykę, gwałtownie się załamuje. Zresztą do którego Zachodu mamy dołączać, jeśli Europa i Ameryka ciągną w przeciwstawne strony? Do tego, gdzie płoną kolorowe przedmieścia wokół miast, czy do tego, gdzie w miastach aktywiści lewicy biją się z policją w obronie nielegalnych imigrantów, których próbuje deportować prawicowy prezydent? Za kim mamy podążać: za kliką bezbarwnych biurokratów z Brukseli, Berlina i Paryża czy za aż nazbyt barwnym przywódcą zza oceanu, którym tefałeny i szpringery straszą lemingów?

Nie spodziewajcie się odpowiedzi na te pytania od największej partii opozycyjnej. Pech chciał, że w momencie gdy na świecie tyle się dzieje, jej lider zachorował i na kilka dni musiał iść do szpitala. I okazało się, że jak Prezesa nie ma, to nikt w partii nie wie, co ma myśleć, a co dopiero robić.

Ale przecież kiedy Prezes był jeszcze w najlepszym zdrowiu, przekaz partii był równie oderwany od rzeczywistości. Odbył się wszak wielki kongres programowy. Sto dwadzieścia, a bodaj 130 paneli jednocześnie, z których co wynikło? Że jak PiS wróci do władzy (ale jak wróci, w tym właśnie rzecz! Wydaje się, że we własnym przekonaniu ot, tak, sam z siebie, po prostu jak ludzie się zniechęcą do Donalda Tuska, to zagłosują na PiS, bo na kogóż by innego, i „znowu będzie, jak było"), owoż więc, jak PiS wróci do władzy, to Mariusz Błaszczak wróci do MON, a Jacek Kurski do TVP. Ludzie dośpiewali sobie szybko: I inni na poprzednie miejsca.

Historyczny sukces partii Jarosława Kaczyńskiego to już chwalebna przeszłość. A chwalebnej przyszłości nie widać

Centralnym punktem kongresu było oczywiście przemówienie Prezesa i ono właśnie mną wstrząsnęło. Oto pomiędzy różne inne wątki wplótł Prezes, na zasadzie dygresji, zdanie: „Niemcy dążą do pozbawienia nas niepodległości". Ot, tak – i tyle. Bez żadnego rozwinięcia, nie mówiąc już o poświęceniu sprawie któregoś z paneli.

Jeśli Niemcy, kraj rządzący Unią Europejską, i to wskutek postępującej słabości Francji, w coraz większym stopniu oraz w coraz słabiej skrywany sposób dążą do pozbawienia nas niepodległości, to o tym powinien być cały ten kongres! To przecież każe całkowicie zmienić nasz stosunek do Unii Europejskiej! To każe natychmiast zastanowić się nad alternatywą dla polityki podporządkowania Europie, realizowanej obecnie przez PO, a wcześniej przez osiem lat przez krytykujący za nią obecną władzę PiS. Nie chodzi o uderzenie się w pierś i uczciwe przyznanie do błędu, choć to też by się przydało, ale przede wszystkim o przemyślenie tej nowej sytuacji, zamiast konstatowania po raz enty, że Tusk łamie konstytucję, prawo i wszelkie cywilizowane standardy. Jeśli polska niepodległość jest zagrożona, a politycy największej partii opozycyjnej zamiast się tym zajmować, powtarzają sobie: „Tylko nie dajmy się wpuścić w polexit, bo to samobójstwo", a ożywiają się tylko podczas kuluarowych sporów, kto do jakiego ministerstwa, a kto do której spółki, to logicznie są tylko dwa wyjaśnienia: albo ta partia nie uważa polskiej niepodległości za wartość godną jej uwagi, co jest dla jej dotychczasowych wyborców przekazem, najdelikatniej mówiąc, zniechęcającym, albo tak naprawdę już jej nie ma.

POWTARZANIE BŁĘDÓW ESTABLISHMENTU

PiS płaci cenę za dwa wielkie błędy. O pierwszym z nich pisaliśmy tu dużo i często: nie można po ośmiu latach rządów, w których czasie straciło się prawie 10 punktów procentowych poparcia, a tym samym zdolność dalszego rządzenia i po przegranych wyborach, upierać się, że się nie popełniło żadnego błędu, i mówić wyborcom, że są durniami, którzy dali się okpić, że będą jeszcze tego gorzko żałować i sami wrócą z płaczem. Nie można po Polskim Ładzie i składce zdrowotnej, po polityce covidowej i wpakowaniu Polski w pułapkę KPO oraz „kamieni milowych", po spapraniu reformy wymiaru sprawiedliwości, poddaniu się Zielonemu Ładowi i paktowi migracyjnemu itd., itp., udawać, że się niczym wyborcom nie sprzeniewierzyło – i nie być przez nich za to ukaranym.

O drugiej sprawie rozmawiałem niedawno z kolegą, który od dawna i często jeździ po Polsce, korzystając z zaproszeń różnych prawicowych organizacji i klubów. Powiedział mi o dwóch ciekawych prawidłowościach. Pierwsza: najprężniej działają te organizacje i kluby w tych miastach i powiatach, gdzie rządzi PO. Natomiast w „bastionach" PiS – marazm i nędza. Łatwo mi to zrozumieć, bo wiele razy widziałem, jak PiS, wszędzie tam, gdzie rządzi, niszczy wszelką prawicową aktywność, widząc w niej zagrożenie. W okręgu, gdzie jest, powiedzmy, 15 „prawicowych" mandatów do wzięcia w samorządzie i wyborach krajowych, 16 prawicowiec jest tylko kłopotem, więc lepiej go ze wszystkich sił zniechęcić.

Druga prawidłowość jest taka, że – jak twierdzi kolega, ale słyszałem to nie tylko od niego, w tych miejscach, gdzie był dawno temu – jeśli nadal działają ci sami lokalni animatorzy, to już nie jako, jak kiedyś, działacze PiS czy Klubów „Gazety Polskiej", ale jako ludzie mniej lub bardziej związani z Konfederacją Korony Polskiej Brauna.

Jedyną reakcją są filipiki działaczy największej partii opozycyjnej… Nie, nawet nie przeciwko Braunowi, ale przeciwko tym, którzy wskazują go w sondażach. Że na Brauna chcą głosować idioci, ciemnota i putinowski pomiot. Hm, przez wiele lat tak właśnie walczył establishment z PiS i w ten właśnie sposób zbudował jego historyczny sukces w roku 2015. Ale to już chwalebna przeszłość. A chwalebnej przyszłości przed partią nie widać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Super-Europejka, „Razemka" czy żołnierz Hołowni?

Piotr Semka

Szymon Hołownia dopiął swego. Nowa szefowa Polski 2050 to jego stronniczka. Kim jest Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz?

Najwyraźniej ktoś zainterweniował, aby skończyć mydlaną operę, w którą zamienił się proces wyboru nowego przewodniczącego Polski 2050. Cała polityczna Polska kpiła z drugiej tury wyborów, w których stanęły naprzeciwko siebie obecna minister funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz oraz minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska. Jak wiadomo, wybory unieważniono, a Szymon Hołownia zaczął dywagować o możliwości ponownego stanięcia na czele partii. Jednocześnie zagroził, że jeśli wybory wygra Hennig-Kloska, to opuści Polskę 2050.

W końcu stycznia doszło do jakiegoś tajemniczego przesilenia. Były marszałek Sejmu wycofał się rakiem z mówienia o ewentualnym powrocie na czoło ugrupowania, a faktyczną trzecią turę wyborów przeprowadzono sprawnie i bez żadnych skandali.

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz pokonała Hennig-Kloskę w stosunku głosów 350 do 309.

„Wczoraj ludzie Polski 2050 obdarzyli mnie zaufaniem, wybierając na nową przewodniczącą naszej partii. Dzisiaj czas na oczywistą, ale kluczową deklarację: Polska 2050 jest odpowiedzialną częścią koalicji 15 października". Ta wypowiedź to koniec dywagacji, które skłoniły niektórych polityków PiS do snucia marzeń o wysadzeniu z siodła premiera Donalda Tuska i stworzeniu jakiegoś sojuszu na linii PiS – Polskie Stronnictwo Ludowe – Polska 2050. Nowa przewodnicząca – Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz – staje wobec partii skłóconej i rozdzieranej niechęciami, niekiedy jawnie demonstrowanymi. Ale Hołownia dopiął swego. Nowa szefowa to jego stronniczka. Ucichło o przeprowadzaniu audytu w finansach partii, o czym wspominała Paulina Hennig-Kloska. Teraz Złotousty Szymon może znów snuć plany załatwienia sobie kolejnej fuchy – podobno ma to być ambasada RP w Watykanie. Tak czy inaczej, Polska 2050 ma nową szefową. Kim jest Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz?

NA STYKU KULTUR

Urodziła się 26 października 1970 r. Jej ojcem był znany matematyk Aleksander Pełczyński (1932–2012). Matka Swietłana była Rosjanką. Zmarła pięć lat temu. W październiku 2025 r. Pełczyńska-Nałęcz wyznała w wywiadzie dla Bogdana Rymanowskiego: „Moja mama urodziła się w Związku Radzieckim [...]. Była Kozaczką. Zdecydowaną większość życia przemieszkała w Polsce jako polska obywatelka. Zakochała się w moim tacie z wzajemnością, kiedy przyjechał on do Związku Radzieckiego jako matematyk. Przyjechała z nim do Polski".

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz w tej rozmowie bardzo nerwowo zareagowała na sugestie internautów, że takie pochodzenie rzucać może na nią cień.

„[Moja mama] kochała swoją nową ojczyznę, ogromnie przeżywała wszystkie rzeczy polityczne, które się tu działy. Jeździła do Związku Radzieckiego, tłumacząc tam rozmaitym wypranym mózgom, czym jest Solidarność i jaki to jest wspaniały ruch społeczny. Zapisała się do Solidarności".

Przyszła szefowa Polski 2050 ubolewała, że w Internecie są ludzie, którzy pozwalają sobie na obraźliwe komentarze wobec jej matki „tylko ze względu na to, że była takiego czy innego urodzenia".

eprasa.pl 97a3749d10

FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

Pełczyńska-Nałęcz należała do tej generacji, która wchodziła w dorosłe życie w 1990 r., po upadku PRL. Szczerze wierzyła w historyczną szansę zbudowania nowych i przyjaznych relacji między Polską a Rosją. W 1994 r. ukończyła studia w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, a w 1999 r. obroniła pracę doktorską – tym razem w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN – na temat aktywności politycznej Polaków w latach 1989–1995.

Zainteresowanie Rosją pchnęło ją do pracy w Instytucie Studiów Wschodnich w Warszawie. Najpierw pełniła funkcję kierownika działu rosyjskiego, a potem doszła do funkcji zastępcy dyrektora. Osoby związane z OSW pamiętają, że należała do generacji, która wybrała drogę marszu przez instytucje europejskie. Między latami 2011 a 2012 była przedstawicielem OSW w Brukseli, a potem koordynowała wspólny projekt badawczy OSW i Francuskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Od 2008 r. zasiadała w Polsko-Rosyjskiej Grupie do Spraw Trudnych. Jeden z dyplomatów tak wspomina ją z tego okresu: „Ona naprawdę wierzyła, że Rosja będzie zmieniać się w pozytywnym kierunku".

W styczniu 2012 r. otrzymała propozycję objęcia stanowiska podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Był to okres słynnego „resetu". Rząd Donalda Tuska wiązał ogromne nadzieje z jakimś przełomem w relacjach Warszawy z Moskwą, co było zgodne z polityką Angeli Merkel. Koalicja Platformy i PSL naprawdę wierzyła wtedy, że po ochłodzeniu relacji za rządów PiS tym razem znajdzie swoją drogę do partnerskich relacji z Putinem.

Jeden z polskich dyplomatów wspomina: „W MSZ była wtedy dwójka entuzjastów resetu. Pierwszym był Jarosław Bratkiewicz, ówczesny dyrektor Departamentu Wschodniego MSZ, który wszystkim powtarzał, że Rosja może wciąż jest zła, ale na pewno ją zmienimy. Drugą entuzjastką otwarcia na Rosję była właśnie Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz".

Kulminacją jej kariery dyplomatycznej był wyjazd do Moskwy na posadę ambasadora RP

Jeszcze na początku kwietnia 2014 r., gdy było już po faktycznym zajęciu Krymu przez „zielone ludziki" Putina, pani wiceminister przekonywała na łamach dziennika „Rzeczpospolita", że zaplanowane wcześniej obchody Roku Polski w Rosji i Roku Rosji w Polsce trzeba utrzymać mimo agresji na Ukrainie. Jak argumentowała wtedy, nie można rezygnować z „nawiązywania i wzmocnienia kontaktów między zwykłymi ludźmi w dziedzinach, które są jak najdalej od polityki, czyli edukacji i kulturze".

Pełczyńska-Nałęcz przekonywała: „To moment, w którym możemy przedrzeć się przez rosyjską narrację i pokazać nasz punkt widzenia". Dodawała, że cofnięcie programu współpracy „ukarałoby życzliwych nam Rosjan, a nie władzę". I dalej: „Kreml by sobie życzył, żebyśmy się obrazili i odwołali rok, bo zmierza do zamknięcia Rosji na kontakty zewnętrzne".

Jeden z pracowników resortu przy Al. Szucha wspomina: „W tym czasie wezwano do ministerstwa ambasadora Rosji Siergieja Andriejewa w związku z jakimś aktualnym incydentem polsko-rosyjskim. Reprymendę miała wygłosić właśnie Pełczyńska-Nałęcz jako wiceminister spraw zagranicznych. Tymczasem to Andriejew natychmiast przejął narrację, wygłosił swoją przemowę, po czym natychmiast wyszedł. Pani wiceminister okazała się zupełnie zbita z pantałyku. Pamiętam, jak po wyjściu Rosjanina w sali zapadło milczenie. Wszyscy byli zażenowani i zaszokowani, że Rosjanin zrobił, co chciał. Nikt nie wiedział nawet, co powiedzieć".

Kulminacją jej kariery dyplomatycznej był wyjazd do Moskwy na posadę ambasadora RP. Po dwóch latach jednak wróciła, ponoć z własnej inicjatywy. Jeden z dyplomatów wspomina: „Na pewno wróciła z własnej inicjatywy, choć już za rządów PiS-owskiego szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego. Wyraźnie nie po drodze jej było z PiS. Pod tym względem była typową antykaczystką, która nie chciała mieć nic wspólnego z prawicą".

Nowym miejscem dla Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz była Fundacja

eprasa.pl 97a3749d10

Batorego. Z tego okresu też zapadła w pamięć wielu ekspertom zajmującym się relacjami z Moskwą z powodu tworzenia raportów dla Fundacji o perspektywach rozwoju stosunków polsko-rosyjskich. Jeden z analityków międzynarodowych wspomina: „Było już dawno po aneksji Krymu i stworzeniu Republiki Ługańskiej i Donieckiej, a Pełczyńska-Nałęcz dalej przekonywała w swoim raporcie, że Zachód z pewnością wróci do polityki resetu i dogada się z Rosją. Wyciągała z tego wniosek, że gdy my nie przyłączymy się do tego trendu – dyplomatyczny pociąg odjedzie".

Co ciekawe, Pełczyńska-Nałęcz długo nie zagrzała miejsca w Fundacji Batorego. Jak wspomina jedna z osób związanych z Fundacją: „W końcu wyleciała. Była przesadnie ambitna, a wszechmocny patron Batorego, Aleksander Smolar, uznał, że była pani ambasador za dużo chce znaczyć na poletku, na którym wciąż chciał być numerem jeden".

U BOKU HOŁOWNI

8 grudnia 2019 r. w gdańskim Teatrze Szekspirowskim były gwiazdor TVN, Szymon Hołownia, ogłosił swój start w wyborach prezydenckich w 2020 r. Szefem jego sztabu wyborczego został Jacek Cichocki, były minister spraw wewnętrznych, a potem szef kancelarii Donalda Tuska w latach 2013–2015, który w latach 2004–2007 był dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich. To tam poznał Pełczyńską-Nałęcz. Według niektórych opinii to właśnie Cichocki zaproponował jej, by została głównym ekspertem Hołowni do spraw zagranicznych. Tak rozpoczął się kolejny etap w życiu Pełczyńskiej-Nałęcz, w którego ramach coraz bardziej oddalała się od kariery naukowej i dyplomatycznej, a zaczęła być coraz bardziej zaufanym człowiekiem lidera przyszłej Polski 2050.

Po stworzeniu Koalicji 13 grudnia Pełczyńska-Nałęcz dzięki szefowi ugrupowania uzyskała dość atrakcyjny resort ministra funduszy i polityki regionalnej. W 2024 r. została wiceprzewodniczącą partii, a 1 października 2025 r. rada krajowa jej ugrupowania wskazała ją jako kandydatkę na wicepremiera. Ale tu Pełczyńska-Nałęcz natknęła się na blokadę. Tusk nie podjął tematu i wyraźnie postanowił pokazać, że Polska 2050 wypadła z jego łask. Było to już po tym, gdy Hołownia rozsierdził wszechwładnego lidera Platformy Obywatelskiej swoim ujawnieniem wywieranych na siebie nacisków, aby zablokował zaprzysiężenie Karola Nawrockiego na prezydenta.

Pełczyńska-Nałęcz to jedyny członek rządu, który na posiedzeniach gabinetu pozwalał sobie na polemikę z samym premierem. Donalda Tuska podobno niezwykle to irytowało i powodowało jego wściekłość

Pełczyńskiej-Nałęcz nie pomogła też afera z sierpnia 2025 r., kiedy to wyszła na jaw lista przedsiębiorstw, które dzięki decyzjom pani minister otrzymały dotacje z Krajowego Planu Odbudowy. Media rozpisywały się wówczas, że środki przeznaczone na innowacje i wsparcie branży hotelarskiej oraz gastronomicznej częściowo zostały wykorzystane na zakup jachtów, sauny, mebli, wirtualnych strzelnic czy też wsparcie klubu swingersów. A problem był głębszy. Jeden z polityków Platformy Obywatelskiej mówi: „Pełczyńska-Nałęcz to jedyny członek rządu, który na posiedzeniach gabinetu pozwalał sobie na polemikę z samym wielkim Donaldem. Tuska podobno niezwykle to irytowało i powodowało wściekłość. W rezultacie sama skarżyła się dziennikarzom, że od sześciu tygodni nie może doprosić się o spotkanie z premierem. Być może też Tusk widział w niej kogoś wewnątrz rządu, kto pozostał lojalny wobec Hołowni, mimo że ten stał się wrogiem numer jeden wewnątrz koalicji dla Platformy".

WŁADCZYNI RESZTÓWKI PO HOŁOWIADZIE

Pełczyńska-Nałęcz zdobyła kierownictwo nad partią w momencie, gdy prestiż tego ugrupowania otarł się o dno. Teraz wszyscy zastanawiają się, w jakim kierunku poprowadzi partię. Tygodnik „Polityka" wskazuje: „W trakcie kampanii (na szefa Polski 2050) padło wiele słów i zarzutów, w formie screenów i apeli wylały się do mediów. Partia musi teraz zdecydować, czy odłożyć te emocje na bok i zapomnieć o zadrach czy przystąpić do rozliczeń. Odpowiedź: rozliczenia nie służą stabilności, a do wyborów 2027 r. coraz mniej czasu. Kluczowe jest odzyskanie wiarygodności i zaufania. Wyborcy muszą wiedzieć, dlaczego w ogóle mogliby oddać głos na Polskę 2050".

Kolejnym pytaniem jest to, jaki profil ideowy zademonstruje nowa szefowa. Jeden z polityków PO, który obserwuje Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz od dawna, mówi: „Zgadzam się z tymi, którzy są zdania, że pod względem światopoglądowym przypomina ona działaczy partii Razem Adriana Zandberga. To typowa zwolenniczka liberalizmu obyczajowego i trzymania Kościoła na dystans". Ta diagnoza ma odzwierciedlenie w niektórych inicjatywach pani minister. W połowie 2025 r. Pełczyńska-Nałęcz opowiedziała się za ograniczeniem lub likwidacją Funduszu Kościelnego w kontekście szukania oszczędności budżetowych. Publicznie wskazywała, że wydatki na Fundusz w wysokości 273–375 mln zł zaplanowane zostały na zbyt wysokim poziomie.

Jeszcze inni wskazują, że pani minister jest typowym wytworem inteligencji europejskiej, która niemal całe aktywne życie zawodowe operowała w środowiskach, które wykazują głęboką niechęć do prawicy.

Jedna z osób znających Pełczyńską-Nałęcz mówi: „Niech sobie PiS-owcy wybiją z głowy jakieś pomysły przeciągnięcia Polski 2050 do obozu antytuskowego. Nowa szefowa jawi się jako typowa »antykaczystka«. Owszem, jest ona skonfliktowana z Donaldem Tuskiem na tle ambicjonalnym, ale raczej nie da się namówić na żadną zmianę sojuszy. A już tym bardziej na jakieś negocjacje z PiS. Jeśli coś będzie jej problemem, to nieznośna maniera besserwissera. Kogoś, kto niezwykle łatwo wchodzi w rolę mentora pouczającego wszystkich tonem kogoś, kto ma licencję na mądrość. Jeśli jakaś grupa odejdzie z klubu Polski 2050, to raczej z tego powodu niż z chęci wysadzenia koalicji 15 października w powietrze".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Z Krzysztofem Bosakiem, wicemarszałkiem Sejmu, jednym z liderów Konfederacji, prezesem Ruchu Narodowego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Tworzymy kontrelitę

RYSZARD GROMADZKI: Jesteśmy świadkami końca hegemonii Prawa i Sprawiedliwości na prawej stronie polskiej sceny politycznej? Według ostatniego sondażu CBOS poparcie dla obydwu Konfederacji jest wyższe niż poparcie dla PiS. Zmiana układu sił na prawicy staje się faktem?

KRZYSZTOF BOSAK: PiS nigdy nie miał hegemonii, natomiast w 2019 r. stracił monopol na reprezentowanie prawicowych wyborców w Sejmie. To, co się dzieje w tej chwili, to tylko kolejna faza tego procesu, to znaczy odbudowywania się pluralizmu na szeroko pojętej prawicy, po przerwie trwającej trzy kadencje. Mówię o szeroko pojętej prawicy, bo z naszej perspektywy, przynajmniej część PiS nie reprezentuje prawicowego programu.

Pana polityczną marką są eleganckie i wyważone wypowiedzi pod adresem adwersarzy. Kilka dni temu, zapytany w Radiu Zet o współpracę z Grzegorzem Braunem, odpowiedział pan, że trzeba zrezygnować „z flirtowania ze środowiskami wariackimi, agenturalnymi czy politycznej ekstremy". Mocne słowa.

Nie stawiałem tego jako warunku współpracy. Mówiłem, jakie warunki musi spełnić partia, która chce reprezentować naród i stworzyć propolski rząd. To wyzwanie dla nas wszystkich. W każdym demokratycznym systemie politycznym jest miejsce dla partii radykalnych, natomiast te partie prawie nigdy nie rządzą i nie realizują swojego programu. O tym była dyskusja w wywiadzie, do którego pan nawiązał.

Czy nie jesteśmy w punkcie zwrotnym polskiej historii politycznej? Być może otwiera się niepowtarzalna szansa na podważenie układu ukonstytuowanego prawie 40 lat temu w Magdalence i konserwowanego przez kolejne ekipy rządzące. Silny prawicowy sojusz, oczywiście bez PiS, mógłby przekreślić „dziedzictwo Magdalenki". Ale wymagałoby to jednoznacznego opowiedzenia się, bez uników i kunktatorstwa.

W Konfederacji nie mamy i nigdy nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że elity, które w Polsce okupują prawie całą scenę polityczną i medialną, nie reprezentują interesów narodu i trzeba je wymienić. To jest zupełnie oczywiste. Po to Konfederacja powstała. Wymiana elit i przebudowa sceny politycznej to plan, który konsekwentnie realizujemy.

Te hasła współbrzmią z programem partii Grzegorza Brauna. A więc grunt do współpracy wciąż jest.

To nie przypadek. Proszę pamiętać, że przez sześć lat tworzyliśmy jedną partię.

W większości była to chyba udana współpraca, zresztą sam pan ją podsumowuje w ten sposób z perspektywy czasu.

> **Elity, które w Polsce okupują prawie całą scenę polityczną i medialną, nie reprezentują interesów narodu i trzeba je wymienić**

Była to współpraca obfitująca i w dobre momenty, i w napięcia. To napięcie rosło w miarę zbliżania się wyborów prezydenckich. Na pewno pozytywnie oceniam rezultat naszej współpracy, czyli stworzenie Konfederacji. Partii, która już zmieniła polską politykę, nadając jej nowy ton w wielu obszarach, dając nadzieję bardzo wielu wyborcom średniego i młodszego pokolenia na lepszą jakość uprawiania polityki. Konfederacja przyczyniła się w ogromnym stopniu do złamania bariery poprawności politycznej w bardzo wielu sprawach, sposobem mówienia o Unii Europejskiej, o energetyce, klimatyzmie, pandemii, a także o imigracji.

Konfederacja gotowa jest zaangażować się w „pakt senacki" w formule, którą lansuje obecnie Grzegorz Braun?

Pakt senacki został zaproponowany w wywiadzie radiowym przez Sławomira Mentzena. Cieszymy się, że Grzegorz Braun poparł tę propozycję. Czekamy na stanowisko PiS w tej sprawie.

Premier Tusk zapowiedział powołanie specjalnego zespołu pod przewodnictwem ministra sprawiedliwości, który zbadałby tzw. polskie wątki w aferze Jeffreya Epsteina. Czy z punktu widzenia przejrzystości życia publicznego w Polsce zdecydowanie ważniejsze nie byłoby powołanie zespołu, który wyjaśniłby tzw. aferę podkarpacką?

Samo powołanie zespołu, który dokona przeglądu polskich wątków w aktach sprawy Epsteina, nie jest złym pomysłem. Natomiast propozycja Tuska nie gwarantuje dobrej realizacji. Konstytucyjny minister sprawiedliwości nie powinien mieć czasu na zajmowanie się takimi sprawami. Stawianie ministra Żurka na czele takiego zespołu jest sygnałem, że jest to bardziej pomysł z obszaru PR niż faktyczny. Moim zdaniem jest to sprawa pozostająca w domenie służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo

eprasa.pl 97a3749d10

i kwestie wywiadowcze. Powinien się nią zająć zespół prawników i byłych czy obecnych funkcjonariuszy służb specjalnych, pod patronatem ministra koordynatora służb specjalnych. To byłoby właściwe umiejscowienie. Analizowanie tego rodzaju doniesień z zagranicy powinno być w domenie służb wywiadowczych. Jeśli okazałoby się, że wyszły tam kwestie wymagające działań prawnych, to wtedy sprawą powinni zająć się prokuratorzy. Ale dopiero wtedy, kiedy będziemy mieli pewność, że są tam kwestie, które wiązałyby się ze złamaniem prawa ze strony polskich obywateli czy złamaniem prawa na terenie Polski.

A co z „aferą podkarpacką"? Czy służby państwa polskiego nie powinny obligatoryjnie zbadać tej sprawy?

Wciąż niewiele na ten temat wiadomo. W tej sprawie cały czas poruszamy się w sferze domysłów, dlatego trudno jest zaproponować działania, które powinny zostać podjęte. Jeśli jednak są informacje, w oparciu o które można pracować, to trzeba to zrobić. Ważne jest także podjęcie działań ochronnych i kontrwywiadowczych na przyszłość. Jednak muszę to z przykrością przyznać, nie da się w pełni ochronić polityków od robienia szkodliwych rzeczy. Jeżeli ktoś ma skłonność do działania na własną niekorzyść, to żadna służba zajmująca się bezpieczeństwem państwa nie jest w stanie go przed tym powstrzymać. Do czego sprowadza się „afera podkarpacka"? Do tego, że istniały agencje towarzyskie, w których korzystający z ich usług klienci, w tym politycy, zostali nagrani z potencjalnie nieletnimi dziewczętami. Te nagrania miały wyjechać za granicę. Przypisuje się to ukraińskim służbom. Jeżeli taki mechanizm miał miejsce, to jego skutki są nie do odwrócenia. Jeżeli faktycznie powstały materiały kompromitujące polityków i wydostały się one za granicę, to powtórzę, jest to sytuacja nie do odwrócenia.

Wróćmy do Konfederacji. Czy partia, którą kieruje pan wspólnie ze Sławomirem Mentzenem, stanowi dziś część politycznego establishmentu?

Jesteśmy dla tego establishmentu realną alternatywą. Nie interesuje nas operowanie w modnych kręgach, ale też nie mamy powodów do kompleksów. To, nad czym pracujemy, to stworzenie tego, co socjolodzy nazywają kontrelitą. A następnie dokonanie operacji wymiany i powrotu do normalności w naszym kraju. Obecny establishment nosi cechy elity kompradorskiej, dlatego nie zasługuje na swoją pozycję.

FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Moim zdaniem w Polsce stale powinna toczyć się debata na temat warunków brzegowych naszego uczestnictwa w Unii Europejskiej. To nie jest tak, że dopiero jak stanie się coś złego, to my mamy taką debatę rozpoczynać

Jak układają się pana relacje ze Sławomirem Mentzenem? Czy stanowicie nadal tandem liderów, a może tylko maskujecie narastający konflikt, bo coraz więcej spraw was dzieli?

Jesteśmy liderami zachowującymi swoje polityczne ambicje. Każdy z nas ma swoje pomysły, plany i idee. Mnie bliższe są poglądy narodowej demokracji, Sławomir Mentzen wychował się w ruchu konserwatywno-liberalnym. To jest różnica pomiędzy nami znana od ponad dekady. Poza tym mamy swoje partie, które przyciągają zdolnych ludzi, którzy będą rywalizować o mandaty poselskie i możliwość realizowania programu. Kon-

eprasa.pl 97a3749d10

Jeżeli faktycznie powstały materiały kompromitujące polityków i wydostały się one za granicę, to jest to sytuacja nie do odwrócenia

federację organizują obecnie dwa duże, mające swoją tożsamość środowiska, rywalizujące i zewnętrznie, i wewnętrznie na zdrowych zasadach. To, że mamy dwa skrzydła, to nasza zaleta, nie wada.

Jarosław Kaczyński przekreśla a priori jakąkolwiek perspektywę współpracy zarówno ze Sławomirem Mentznem, którego określa mianem „darwinisty", jak i z Grzegorzem Braunem, który z kolei, zdaniem lidera PiS, jest antysemitą i putinistą. Ewentualną współpracę polityczną Kaczyński dopuszcza tylko z panem, którego regularnie komplementuje. Jak pan reaguje na tego rodzaju oferty?

Po pierwsze, komplementy formułowane pod moim adresem nie są rzeczywistymi komplementami, tylko kontrapunktem do krytyki całej Konfederacji. Po drugie, w polityce jest dobrze znana strategia na podział, tzw. wbijania klina. Doskonale to rozumiemy i nie mamy zamiaru dać się rozgrywać. Natomiast zachęcam wszystkich, żeby do tych składanych obecnie deklaracji prezesa PiS mieli wielki dystans. Wiadomo, że politycy wszelkie tego rodzaju deklaracje traktują instrumentalnie. Liczy się to, co wydarzy się po kolejnych wyborach, a nie to, co się mówi w połowie kadencji.

Czy sytuacja nie dojrzała do rozpoczęcia poważnej debaty o zakończeniu uczestnictwa Polski w Unii Europejskiej?

Moim zdaniem w Polsce stale powinna toczyć się debata na temat warunków brzegowych naszego uczestnictwa w Unii Europejskiej. To nie jest tak, że dopiero jak stanie się coś złego, to my mamy taką debatę rozpoczynać. Powinniśmy mieć jasno określone cele naszej obecności w Unii, a także określone akceptowalne koszty. Moim zdaniem koszty polityki klimatycznej narzucanej Polsce, a także rozszerzenie pozatraktatowych kompetencji Unii Europejskiej sprawiają, że te koszty przekroczyły jakąkolwiek skalę przyzwoitości. Powinniśmy skoncentrować się na uświadamianiu społeczeństwa, bo wciąż jego znaczna część nie ma żadnej wiedzy na temat tego, jak wiele zupełnie irracjonalnych regulacji jest narzuconych Polsce przez Unię Europejską. Musimy tę informację przekazywać Polakom, żeby była możliwa racjonalna debata na ten temat. Ponadto musimy stale planować, w jaki sposób wywikłać się z tych szkodliwych polityk Unii Europejskiej, które zostały nam narzucone.

Czy wobec zmian, które dokonują się w priorytetach amerykańskiej polityki zagranicznej i możliwego ograniczenia obecności USA w Europie, przedefiniowania nie wymaga dogmat polskiej polityki, zgodnie z którym to Stany Zjednoczone są jedynym gwarantem naszego bezpieczeństwa?

Profesjonaliści zajmujący się obronnością nie stawiali nigdy sprawy w ten sposób, że Stany Zjednoczone są jedynym gwarantem naszego bezpieczeństwa. Był to raczej język dużej części klasy politycznej i medialnej. Natomiast ci, którzy zajmują się strategią i obronnością, stawiali rzecz inaczej. Według nich jedynym, rzeczywistym gwarantem obrony Polski są nasze siły zbrojne, a sojusze i sojusznicy mogą odgrywać w tych sprawach rolę pomocniczą i wspierającą. Przy czym ta pomoc, szczególnie w wypadku Stanów Zjednoczonych, może mieć ogromne znaczenie, bo mówimy o państwie o ogromnym potencjale. Natomiast to jest nadal pomoc. To znaczy, jeżeli my będziemy pozostawać bezbronni, to żaden zewnętrzny sojusznik nie odrobi zadania za nas samych. Wydaje mi się, że zmiana, którą w tej chwili obserwujemy, ma miejsce przede wszystkim w opinii publicznej. Ta przesadna, usypiająca retoryka, że my nic nie musimy, bo możemy liczyć na Stany Zjednoczone, zaczyna być weryfikowana. Ale na poziomie poważnej strategii zawsze gwarantem polskiego bezpieczeństwa były i są polskie siły zbrojne, i cały nasz system bezpieczeństwa tworzony również przez służby cywilne i nasze państwo. Sojusznicy odgrywają rolę pomocniczą. To jest właściwe ujęcie. Nie jest to zresztą żadną nowością. Pamiętam konferencję, którą organizowałem 15 lat temu z udziałem śp. gen. Waldemara Skrzypczaka, gdzie miała miejsce debata o tym, że potrzebujemy w Polsce sił zbrojnych, nie tylko w modelu ekspedycyjnym, ale przede wszystkim zdolnych do obrony naszego terytorium, gdyby nasz kraj znalazł się w sytuacji wojny. Ta refleksja już po doświadczeniach z Iraku i Afganistanu pojawiła się w debacie eksperckiej 15 lat temu. Natomiast potrzeba było ponad dekady i bardzo wyraźnych deklaracji ze strony kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych, konfliktu z Białorusią i wojny rozpoczętej przez Rosję na Ukrainie, żeby to wreszcie dotarło do szerokiej opinii publicznej. Dziś to się stało i musi być impulsem nie tylko do wydatków, lecz także do realnego podniesienia naszych zdolności obronnych. Osiągnięcie tego celu wymaga bardzo starannego zarządzania i nadzoru, i do takich zadań się przygotowujemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Sąd nad szczepionką

FOT. ADOBE STOCK

Radosław Wojtas

Ruszył proces przeciwko Polsce, który z powodu nieodebrania przez nasz kraj w 2022 r. szczepionek na COVID-19 wytoczył koncern Pfizer. W grze są miliardy złotych. Czy będziemy musieli zapłacić za preparaty, które – gdybyśmy je odebrali – i tak byśmy musieli zniszczyć, bo nie było chętnych do ich przyjęcia?

Spór prawny między amerykańskim koncernem farmaceutycznym Pfizer a Polską rozpatrywany jest przez 4. Izbę Cywilną Francuskojęzycznego Sądu Pierwszej Instancji w Brukseli. To dlatego, że umowa na zakup szczepionek dla wszystkich krajów Unii Europejskiej była negocjowana przez Komisję Europejską. Za kulisy tych rozmów pewnie nie uda się opinii publicznej zajrzeć nigdy. Gdy próbowali to zrobić dziennikarze „The New York Times" (to ten dziennik ujawnił, że negocjacje były prowadzone m.in. w formie wymiany SMS-ów między przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen i szefem Pfizera), zostali zbyci informacją, że wiadomości zostały już skasowane z telefonu von der Leyen.

Efektem tych rozmów, w których koncern farmaceutyczny okazał się stroną silniejszą, była umowa na dostarczenie krajom unijnym ponad miliarda dawek szczepionki. Interesy Pfizera były zabezpieczone tak, że nawet gdy stało się jasne, iż zamówiono o wiele za dużo dawek, a zainteresowanie szczepieniami jest nikłe, rządy musiały odbierać zakontraktowane szczepionki, by potem je utylizować. Polska ostatecznie nie przyjęła i nie zapłaciła za 60 mln niepotrzebnych dawek. Pfizer domaga się zapłaty ok. 1,37 mld euro (ok. 6 mld zł).

W grze są nie tylko miliardy złotych. – Nie możemy dopuścić do tego, żeby duże europejskie państwo, liczące 38 mln obywateli, przegrało w sądzie z prywatną firmą na kwotę tej skali. Byłoby to naprawdę trudne, zwłaszcza w obecnej sytuacji finansowej i rozmów na temat deficytu w budżecie – mówił portalowi Rynek Zdrowia jeden z wysoko postawionych funkcjonariuszy rządowych.

NAGŁY KONIEC PANDEMII

Cofnijmy się do maja 2021 r. To wówczas podpisano trzecią, negocjowaną pod presją i w pośpiechu, umowę na dostarczenie ogromnej ilości dawek szczepionki na COVID-19. Bezprecedensowy w historii zamówień publicznych Unii Europejskiej kontrakt zakładał dostarczenie do 1,8 mld dawek szczepionki w latach 2022–2023, z czego 900 mln dawek stanowiło zamówienie gwarantowane, a kolejne 900 mln

eprasa.pl 97a3749d10

– opcję. Szacunkowa wartość tej umowy wynosiła ok. 35 mld euro. Ostatecznie zakontraktowano 1,1 mld dawek o wartości ponad 21 mld euro (ok. 90 mld zł). Kluczowym elementem konstrukcji tego porozumienia był mechanizm wspólnych zakupów, w którym Komisja Europejska negocjowała warunki ramowe, ale to poszczególne państwa członkowskie stawały się stronami zobowiązanymi do odbioru i zapłaty za konkretne alokacje, wyliczone na podstawie parytetu ludnościowego.

Bardzo szybko okazało się, że KE przestrzeliła i podaż znacznie przewyższała popyt. Już na początku 2022 r. w polskich magazynach Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych zalegało ok. 25 mln dawek szczepionek, na które nie było chętnych, a kolejne dziesiątki milionów miały nadejść w ramach realizacji kontraktu z 2021 r. Kiedy 24 lutego 2022 r. Rosja zaatakowała Ukrainę, Polska z dnia na dzień stała się hubem humanitarnym i logistycznym dla walczącego sąsiada, przyjmowała miliony uchodźców ze wschodu, problem kolejnych odmian COVID-19, liczby nowych zakażeń, kwarantann, maseczek itp. szybko zszedł na plan dalszy. Rząd premiera Mateusza Morawieckiego dokonał rewizji priorytetów budżetowych i w kwietniu 2022 r. ówczesny minister zdrowia Adam Niedzielski wysłał oficjalne pismo do Pfizera oraz Komisarza UE do spraw zdrowia, Stelli Kyriakides. W dokumencie tym Polska poinformowała o skorzystaniu z klauzuli siły wyższej i odmowie przyjmowania kolejnych dostaw oraz regulowania płatności za nie. Minister Niedzielski argumentował, że w obliczu wojny za wschodnią granicą Polska nie może sobie pozwolić na transfer miliardów złotych do kasy amerykańskiej korporacji za produkt, który w 100 proc. zostanie zutylizowany.

Koncern odrzucił polską argumentację, nie uznał wojny na Ukrainie za siłę wyższą w rozumieniu prawa handlowego, która uniemożliwiałaby fizycznie dokonanie przelewu bankowego ani przyjęcie towaru do magazynu. Ta interpretacja stała się osią sporu, który ostatecznie trafił na wokandę.

SIŁA WYŻSZA

Polskie Ministerstwo Zdrowia w oświadczeniu dla portalu Rynek Zdrowia poinformowało, że „rząd Rzeczypospolitej Polskiej podejmuje wszelkie prawnie dostępne działania w sprawie z powództwa, Pfizer INc., Pfizer Export BV i Biontech Manufacturing GMbH przeciwko Rzeczypospolitej Polskiej, aby chronić interesy Rzeczypospolitej Polskiej. Obecnie toczy się postępowanie przed sądem belgijskim w Brukseli według procedury właściwej dla tego sądu. W celu jak najlepszego zabezpieczenia interesów Rzeczypospolitej Polskiej działania podejmowane w imieniu Skarbu Państwa w niniejszej sprawie przebiegają przy stałym wsparciu i doradztwie Prokuratorii Generalnej RP oraz kancelarii prawnej z siedzibą w Brukseli". Z kolei Pfizer dla Euractiv oświadczył: „Od tego czasu [po 2022 r.] firma Pfizer wykazała się niezwykłą elastycznością i stałym zaangażowaniem w dostosowywanie się do sytuacji państw członkowskich, w tym poprzez takie rozwiązania, jak refakturowanie dostaw, utworzenie europejskiej sieci produkcyjnej, obejmującej między innymi łańcuch dostaw z surowcami pozyskiwanymi z Europy dla Europy, a także centralny magazyn dla uczestniczących państw członkowskich".

Polska obrona musi zmierzyć się z przepisami belgijskiego prawa cywilnego. Zgodnie z utrwaloną linią orzeczniczą tamtejszego Sądu Kasacyjnego trudności finansowe, nawet drastyczne, nie stanowią „absolutnej niemożliwości" wykonania zobowiązania pieniężnego. A przecież państwo polskie ma pieniądze w budżecie, system bankowy działa, magazyny stoją – zatem wykonanie umowy jest możliwe, choć może być politycznie lub ekonomicznie bolesne. Strona polska z kolei podnosi m.in. taki argument, że Pfizer nie poniósł rzeczywistych kosztów produkcji wszystkich 60 mln dawek, ponieważ został poinformowany o odmowie ich przyjęcia z wyprzedzeniem.

Polska próbowała renegocjować z Pfizerem warunki umowy. O ile jednak z innymi producentami szczepionek, takimi jak Moderna czy Novavax, zawarto porozumienie, o tyle negocjacje z amerykańskim koncernem skończyły się fiaskiem i jesienią 2023 r. do brukselskiego sądu wpłynął pozew.

Według informacji przekazanych przez TVN24 pierwszy wyrok w tym sporze może zapaść już w marcu. Jak przekonuje w rozmowie z portalem Rynek Zdrowia Mateusz Irmiński z kancelarii Sołtysiński Kawecki & Szlęzak, Pfizerowi wcale nie musi zależeć na czasie. – Jeżeli spór jest o zapłatę i są odsetki, to pamiętajmy o tym, że Pfizer ma potencjalnie wypłacalnego dłużnika. To nie jest sytuacja, kiedy pozwanym jest podmiot, któremu grozi upadłość czy, ogólnie mówiąc, niewypłacalność. Dla Pfizera poczekanie dwa, trzy, cztery lata na wyrok może być korzystne, bo odsetki będą wysokie, a polskie państwo – jeżeli przegra proces – i tak te pieniądze będzie musiało zapłacić. To trochę tak, jakby Pfizer włożył te pieniądze na wysokooprocentowaną lokatę. Odsetki będą mu rekompensowały czas i wydatki na proces – zauważa prawnik.

ZBUNTOWANA TRÓJKA

Polska, choć jest największym dłużnikiem w sporze z Pfizerem, nie jest w nim osamotniona. W podobnej sytuacji są jeszcze Węgry i Rumunia. Rząd Viktora Orbána został pozwany przez Pfizera za nieodebranie 3 mln dawek o wartości ok. 60 mln euro. Budapeszt od początku pandemii prowadził własną politykę szczepionkową, dopuszczając preparaty z Rosji (Sputnik V) i Chin (Sinopharm), co sprawiło, że unijne dostawy od Pfizera stały się dla niego zbędnym balastem szybciej niż dla innych.

Z kolei Rumunia została pozwana przez Pfizera na kwotę ok. 550 mln euro za 28 mln dawek. W Rumunii toczy się równoległe postępowanie karne przeciwko byłemu premierowi Florinowi Cîțu i ministrom zdrowia, oskarżonym przez krajową prokuraturę antykorupcyjną o... zakup zbyt dużej liczby szczepionek. Rumuńscy prokuratorzy twierdzą, że urzędnicy zamówili o 52 mln dawek więcej, niż było to potrzebne, co stanowiło niegospodarność na kwotę ponad 1 mld euro. Powstała dość kuriozalna sytuacja, w której państwo jest pozywane przez Pfizera za to, że nie chce kupić więcej szczepionek, podczas gdy jego byli przywódcy idą pod sąd za to, że kupili ich za dużo.

Polska – według ustaleń Najwyższej Izby Kontroli – na koniec 2022 r. zakontraktowała łącznie ponad 200 mln dawek szczepionek o wartości 13,88 mld zł. To liczba wystarczająca, by każdy Polak (łącznie z noworodkami) przyjął pięć–sześć dawek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Potęga światła, tajemnica życia

Wiesław Chełminiak z Paryża

W epoce, która deklaruje potrzebę wyciszenia, refleksji i kontemplacji, nastrojowe kompozycje La Toura zyskują nowe życie

Wielcy artyści miewają ciężkie charaktery. Georges de La Tour podczas klęski głodu odmówił podzielenia się posiadanym ziarnem z biedniejszymi współobywatelami. Innym razem poturbował poborcę podatkowego, który śmiał pojawić się w bramie jego domostwa. Chociaż nie był szlachcicem, to sprawił sobie sforę psów myśliwskich, nader uciążliwą dla sąsiadów. A jednocześnie tworzył sztukę subtelną, skłaniającą do refleksji. Paryskie Musée Jacquemart-André ze względu na olbrzymie zainteresowanie przedłużyło wystawę dzieł malarza z Lotaryngii do 22 lutego.

W GĄSZCZU HIPOTEZ

Sekret sławy, wielokrotnie przerastającej uznanie, którym La Tour cieszył się za życia, można wytłumaczyć na trzy sposoby. Po pierwsze: twórczo rozwinął styl Caravaggia. Podobnie jak Włoch potrafił nadać zwyczajności wymiar sacrum. Czy sam był człowiekiem głębokiej wiary, nie wiemy. Teorie o mistycznych inklinacjach autora „Kobiety z pchłą" są zbudowane na piasku. I vice versa – w sztuce XVII w. brak atrybutów ikonograficznych i bezpośrednich odwołań do Biblii nie świadczył o ateizmie twórcy.

Po drugie: przesłanie La Toura jest ponadczasowe. Ludzie baroku zagłuszali lęk przed śmiercią, cierpieniem i samotnością sztuką wielce ekspresyjną. Dzieła emanujące prostotą oraz spokojem również miały admiratorów, jednak w przestrzeni publicznej dominowały napuszone apoteozy władzy i religii. Dzisiejsza publiczność reaguje na nie wzruszeniem ramion lub drwiną. Malarz preferujący intymność jest zdecydowanie bliższy naszej wrażliwości. Opierając się pokusom sentymentalizmu i efekciarstwa (której uległa większość caravaggionistów), La Tour konsekwentnie redukował środki wyrazu. Krajobraz czy wyposażenie wnętrz nie interesowały go nigdy. Z czasem stracił też zapał do odtwarzania faktury tkanin. Od realizmu dryfował w stronę syntezy.

Po trzecie: naszemu bohaterowi bardzo przysłużyła się otulająca go aura sekretu. Bóg jeden wie, co miał w głowie i w sercu. Wiedza o jego życiu ogranicza się do kilku dat i zdarzeń, odnotowanych w księgach parafialnych, sądowych i podatkowych. Z reguły nie podpisywał i nie datował swoich prac. W XIX w., gdy historia sztuki zaczęła się profesjonalizować, tylko garstka pasjonatów wiedziała, że ktoś taki jak Georges de La Tour istniał. Nie kojarzyli go jednak z żadnym obrazem. Snuto hipotezy, że był spokrewniony z rokokowym portrecistą o tym samym nazwisku. W następnym stuleciu ceny dzieł przypisywanych Lotaryńczykowi opiewały na miliony franków i dolarów.

Coś podobnego przytrafiło się Vermeerowi, który z twórcy całkiem zapomnia-

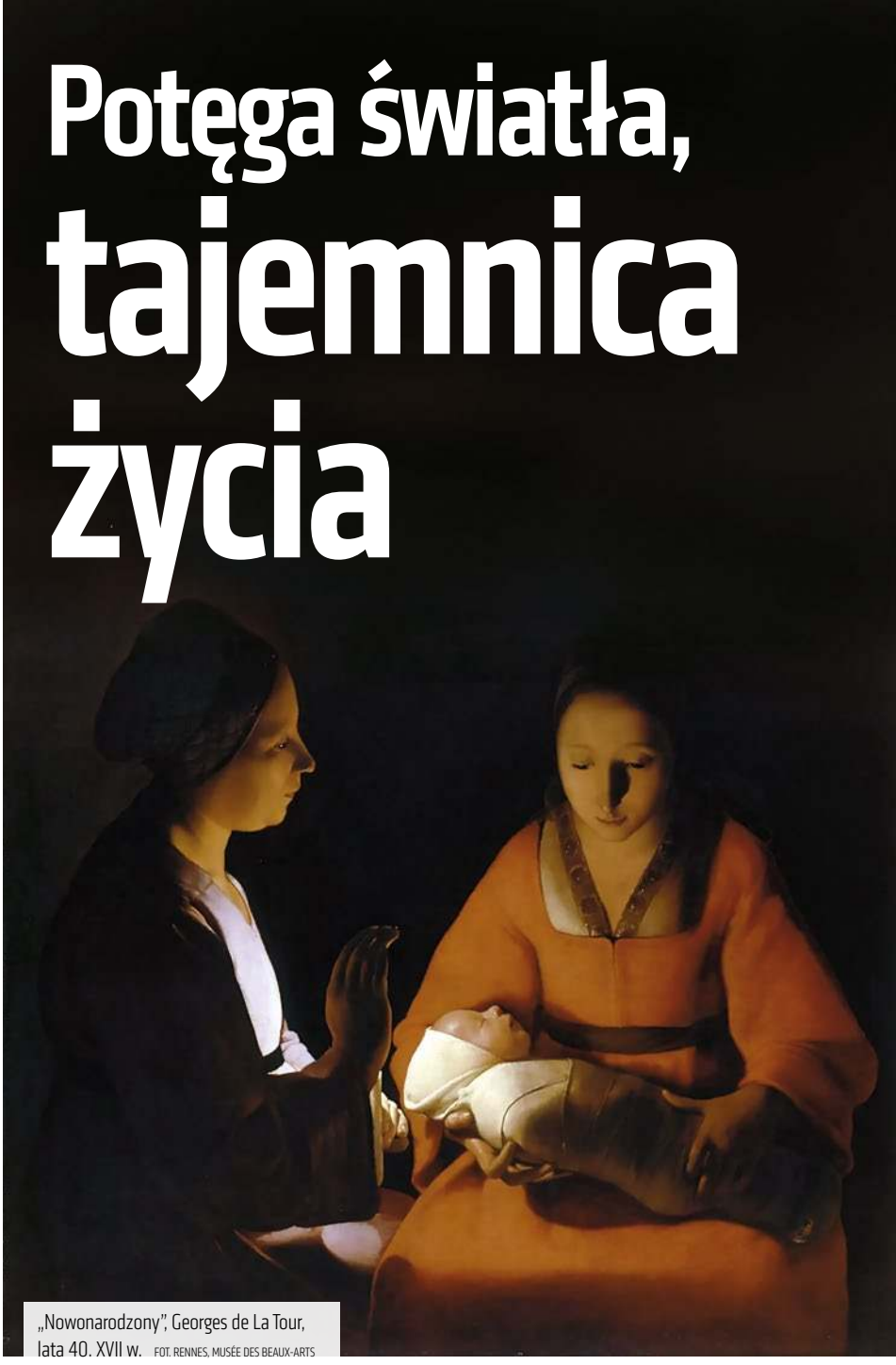

„Nowonarodzony", Georges de La Tour, lata 40. XVII w. FOT. RENNES, MUSÉE DES BEAUX-ARTS

eprasa.pl 97a3749d10

nego stał się obiektem adoracji graniczącej z histerią. Enigmatyczny Holender rzadko łapał za pędzel. Zostawił po sobie 35 płócien. La Tour – ok. 40, lecz kiedyś z pewnością było ich więcej. Część spłonęła razem z pracownią, innych jeszcze nie zidentyfikowano.

Atrybucja malowideł z dawnych wieków przypomina komedię pomyłek. Stendhal, pisarz uchodzący za znawcę sztuki, orzekł, że „Lirnik" jest arcyhiszpański, więc trop wiedzie do pracowni Murilla. Filozof i historyk sztuki Hippolyte Taine, zachwycony naturalizmem „Nowonarodzonego", jako autora dzieła podał jednego z braci Le Nain działających w Paryżu w czasach muszkieterów.

OBLICZE NOCY

La Tour wychynął z niebytu dopiero w XX w. W roku 1934 stał się odkryciem paryskiej ekspozycji „Malarze rzeczywistości". Pierwszą wystawę monograficzną Francuzi zorganizowali 38 lat później. Eksperci zapewniający, że twórczość Lotaryńczyka „wywarła głęboki wpływ na historię sztuki", błądzą. Było dokładnie na opak: to krytycy sztuki przywrócili światu zapomnianego geniusza. Leonardo da Vinci eksperymentował z chiaroscuro, La Tour wiedział, co dzięki tej technice chce osiągnąć.

Z półmroku wyłaniają się mężczyźni pochyleni nad stołem, na którym leżą księga rachunkowa i garść monet, ewentualnie kości do gry. Zamyślona młoda kobieta siedzi skąpana w blasku świecy. Śpiącego mężczyznę budzi młodzieniec o zgoła nieziemskiej urodzie. W kompozycjach naszego bohatera światło pełni funkcję porządkującą. André Malraux z wyżyn swojego autorytetu orzekł, że nawet nokturny Rembrandta są słabsze. „La Tour jest jedynym, który pokazuje jasne, niezmącone oblicze nocy".

Jak na ironię tematy, w których specjalizował się nasz bohater, w ówczesnej Francji uważane były za drugorzędne. Kardynałowie Richelieu i Mazarini preferowali monumentalny styl rzymski. Na szczęście rósł też popyt na dzieła przeznaczone do prywatnej dewocji.

Zamawiali je księża, zakonnicy, a także ludzie świeccy. Kolekcjonerów bardziej interesowały sceny rodzajowe, portrety, pejzaże czy martwe natury. Co tu kryć, czasy sprzyjały artystom. La Tour, wnuk szewca, syn piekarza, zarobił tyle, że jego potomek mógł zostać nobilitowany.

PREZENT DLA GUBERNATORA

Urodził się w kraju, w którym wpływy francuskie mieszały się z tradycją niemiecką. Wziął za żonę córkę książęcego urzędnika, razem spłodzili 10 dzieci. Tylko troje go przeżyło, w tamtej epoce było to smutną normą. W 1620 r. przenieśli się z Vic-sur-Seille do Lunéville, miasteczka, w którym znajdowała się rezydencja władców Lotaryngii. Georges, jedyny malarz w mieście, obrósł w piórka. Dodatkowe dochody czerpał z uprawy roli i hodowli bydła. Tymczasem Richelieu, widząc słabość Rzeszy, postanowił oprzeć wschodnią granicę na Renie. Rodzinna ziemia artysty znalazła się w ogniu walk.

„Wyzwoleńcze" wojska francuskie złupiły i spaliły Lunéville. La Tour stracił dach nad głową, jednak opowiedział się po stronie okupantów. Wręczył Ludwikowi XIII nokturn ze św. Sebastianem, który – jak chce legenda – tak bardzo przypadł monarsze do gustu, że ten kazał usunąć ze swojej sypialni wszystkie inne malowidła. Lotaryńczyk otrzymał tytuł malarza królewskiego, który uprawniał go do wykonywania zawodu poza strukturami cechu św. Łukasza (artyści wciąż mieli status rzemieślników) i zwalniał z płacenia podatków.

Pobyt na dworze kapryśnego Burbona okazał się tylko epizodem. La Tour wrócił w ojczyste strony, gdzie nie miał poważnych rywali. Władze Lunéville co roku zamawiały u niego obraz łapówkę dla francuskiego gubernatora. Dawny patron, książę Lotaryngii, zmarł na obczyźnie. Wojna jednak trwała, towarzyszyły jej głód i choroby. W styczniu 1652 r. epidemia zabiła Dianę de La Tour. Georges przeżył żonę o dwa tygodnie. Miał 58 lat. Gdy w połowie XVIII w. lokatorem pałacu w Lunéville został zdetronizowany król Polski Stanisław Leszczyński, nikt już o „malarzu światła" nie pamiętał.

ZATRZYMANI W KADRZE

Paryską wystawą rządzi układ tematyczny. Pierwsza część poświęcona jest genezie stylu Lotaryńczyka, od jego lokalnych korzeni po kontekst europejski. Nie ma dowodów, by kiedykolwiek odwiedził Italię, caravaggionizm najpewniej poznał z drugiej ręki. Księstwo utrzymywało kontakty handlowe z Niderlandami, tam zaś działali artyści tacy jak Gerrit van Honthorst, we Włoszech znany pod wiele mówiącym pseudonimem Gherardo della Notte. Ów rówieśnik La Toura w malowaniu scen rozgrywających się w skąpym blasku świec lub pochodni doszedł do perfekcji.

Przypisywano mu autorstwo „Lichwiarzy" – płótna, które na początku XIX w. trafiło w ręce polskiego kolekcjonera. Podarowane lwowskiemu Ossolineum zyskało rozgłos wiele lat później, gdy szczegółowe badania ujawniły sygnaturę prawdziwego twórcy. Odtąd często wędruje po świecie (eksponowano je m.in. na Wawelu i w Zamku Królewskim w Warszawie), a eksperci zastanawiają się, co właściwie przedstawia. Według Francuzów La Tour uwiecznił moment płacenia rachunków. Anglosasi twierdzą, że chodzi o podatki. Czy jednym z mężczyzn jest Judasz otrzymujący srebrniki? A może to przyszły apostoł Mateusz, który zanim się nawrócił, był celnikiem? Zwiedzający wystawę zapewne chcieliby pomóc w rozwiązaniu zagadki, lecz o ich zdanie nikt nie pyta.

W drugiej części ekspozycji królują wczesne dzieła mistrza, poświęcone postaciom z marginesu społecznego: ślepym muzykom, żebrakom i starcom. Uchwyceni w ciasnej przestrzeni, z detalami świadczącymi o bagażu lat i doświadczeń nie proszą widza o litość. Artysta, odchodząc od tradycji, pozwalającej szydzić z prostaczków, obdarzył ich godnością. „Lirnik z psem", przywieziony na wystawę z Bergues (miasteczka znanego wszystkim z komedii „Jeszcze dalej niż północ"), to dzieło, którego nie da się odzobaczyć. Prześladuje wyobraźnię jeszcze długo po wyjściu z Musée Jacquemart-André.

MAGDALENA RAZY CZTERY

Kolejne sale wypełniają konterfekty świętych, ulepionych z tej samej gliny co ludowi bohaterowie La Toura. W północnej Europie taka strategia twórcza nie wzbudzała sensacji. W Italii, przywiązanej do renesansowej estetyki, Caravaggio wybierając na modeli kobiety z przeszłością i mężczyzn po przejściach, zyskał reputację skandalisty. Warto zwrócić uwagę na „Świętego Tomasza z piką", którego bardzo chcieli kupić Amerykanie. Płótno udało się zatrzymać we Francji dzięki narodowej

eprasa.pl 97a3749d10

Paryskie Musée Jacquemart-André ze względu na olbrzymie zainteresowanie przedłużyło wystawę dzieł malarza z Lotaryngii FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zrzutce. „Łzy św. Piotra" – arcydzieło umiaru – od 1951 r. jest własnością Cleveland Museum of Art. Zostało pozyskane z prywatnej brytyjskiej kolekcji.

Motyw samotnych, pogrążonych w modlitwie lub lekturze postaci powraca w twórczości Lotaryńczyka z podziwu godną regularnością. Na pierwszy rzut oka jego wizje wydają się pozbawione dramaturgii. Ciała są statyczne, gesty ograniczone do minimum. Cisza dzwoni w uszach. Święci niczym nie różnią się od zwykłych zjadaczy chleba. Jedynym boskim elementem jest światło, które odbija się od lustra lub łysiny domniemanego apostoła, ociepla swym blaskiem wnętrza i ludzkie twarze, wydaje się zmieniać kształty oraz barwy przedmiotów.

Zestawiając dzieła bohatera wystawy z pracami krajowych i zagranicznych konkurentów, kuratorzy poszli na łatwiznę. Gdy dwóch maluje prawie to samo (autor „Nowonarodzonego" nie miał monopolu na magiczny realizm), uwydatnia się różnica talentu. „Pokutująca Magdalena" autorstwa Lodewijka Finsona w konfrontacji z wersją La Toura jawi się jako bohomaz. Flamand znał osobiście Caravaggia i posiadał dziewięć obrazów mistrza, sam jednak był zaledwie imitatorem.

Więcej sensu ma porównanie płócien pochodzących z pracowni w Lunéville. La Tour, jak na dobrze prosperującego malarza przystało, miał pomocników. Jednym z nich był jego syn, Etienne. Dzieła, mające duże wzięcie, kopiowano. Zdaniem historyków sztuki Georges angażował się w ów proceder nie tylko z pobudek finansowych. Korzystał z okazji, by tworzyć różne warianty tego samego tematu. „Pokutujący św. Hieronim" z Grenoble ma zatem brata bliźniaka w Sztokholmie. Maria Magdalena z Luwru – trzy siostry wywiezione do Ameryki. Do Paryża – na czas trwania wystawy – zawitała tylko jedna z nich, na co dzień widywana w waszyngtońskiej National Gallery of Art.

Czy obrazy, zachwycające krytyków i profanów, są autorskimi replikami? A może uczciwiej byłoby je podpisywać jako dzieło warsztatu mistrza? Polemiki trwają. Na wystawę sprowadzono też kopie zaginionych obrazów La Toura oraz rysunek przedstawiający modlącego się mężczyznę (być może św. Piotra). Byłby to dowód, że nasz bohater, w odróżnieniu od Caravaggia, zanim stanął przed sztalugami, tworzył szkice wstępne.

WIELKI HIPNOTYZER

W ostatniej sali zgromadzono późne prace Lotaryńczyka. Starzejąc się, pozostał kronikarzem ulotnych momentów. „Chłopiec z fajką" (wypożyczony z Tokio) i „Dziewczyna dmuchająca na palenisko" (przywieziona z Abu Zabi) to arcydzieła luminizmu, obecnego w sztuce europejskiej już wcześniej – dość wspomnieć „Chłopca zapalającego świeczkę", którego El Greco namalował, gdy La Toura nie było jeszcze na świecie. W następnym pokoleniu z niesamowitych efektów świetlnych zasłynął Godfried Schalcken z Brabancji.

Nokturny mistrza z Lunéville grawitują w stronę majestatycznej prostoty. „Zaparcie się św. Piotra" z Nantes czy „Grający w kości" ze Stockton-on-Tees wręcz wyprzedzają epokę. Podobnie zgeometryzowane formy pojawią się dopiero w sztuce nowoczesnej. Kubiści mogliby uznać La Toura za patrona, gdyby wiedzieli o jego istnieniu.

Przyjemność obcowania z twórczością „malarza światła" można przedłużyć, udając się do Luwru. W stałej ekspozycji najsłynniejszego muzeum świata znajdują się: „Pokłon pasterzy", niemal dwumetrowy „Święty Sebastian opłakiwany przez świętą Irenę" tudzież „Święty Józef cieśla", w którym poetka i eseistka Joanna Pollakówna dostrzegła „dziwną wieloznaczność, równoczesność bytowania doczesnego i wiekuistego, cielesnego i duchowego". W zgoła innej, łotrzykowskiej konwencji utrzymany jest „Oszust z asem karo". Nigdy w życiu La Tour nie był bliżej Caravaggia, którego kariera rozpoczęła się wszak od sukcesu „Szulerów".

PORAŻKA CENTRALISTÓW

Czy paryska retrospektywa spełnia obietnicę rzucenia, nomen omen, nowego światła na twórczość i biografię ulubieńca Francji? Myślę, że wątpię. Potwierdza jednak, że artyści, odlegli od nas o stulecia, mogą być zaskakująco aktualni, nie tylko w kategoriach estetycznych. W epoce, która deklaruje potrzebę wyciszenia, refleksji i kontemplacji, nastrojowe kompozycje La Toura zyskują nowe życie.

Dziwnym trafem, gdy od urodzin geniusza światłocienia minęło dokładnie 400 lat, w Paryżu wystawiono na sprzedaż niewielki obraz „Święty Jan Chrzciciel na pustyni". Aukcja została w ostatniej chwili odwołana, rząd skorzystał z prawa pierwokupu i wyłożył 11 mln franków. Domniemane dzieło La Toura wystawiono w Luwrze, ale gdy rodzinne miasto artysty Vic-sur-Seille sprawiło sobie Muzeum Sztuki, zapadła decyzja, by przekazać mu w wianie cenny eksponat. Niedawno placówka pozyskała fragment zniszczonego malowidła, przedstawiający profil kobiety. Jeśli ekspertyzy nie kłamią, to Georges wrócił do domu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Georges de La Tour" w Musée Jacquemart-André jest otwarta do 22 lutego.

eprasa.pl 97a3749d10

Krzysztof Masłoń

Baby, ach te baby

Minister kultury i dziedzictwa narodowego Marta Cienkowska FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Trudno i darmo, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: stałem się antyfeministą, co wprawdzie wciąż zdumiewa mnie niepomiernie, ale fakty są nieubłagane. Cóż z tego bowiem, że przez lata całe darzyłem niewiasty atencją, podziwiałem je, ba, wielbiłem, w niektórych z nich zakochiwałem się nawet, a inne szanowałem, otaczałem czcią, popadając w ekstatyczne wręcz stany na sam ich widok czy dźwięk ich nazwisk. Wszystko to wzięło w łeb za sprawą premiera polskiego rządu i prowadzonej przez niego polityki personalnej. To ten człowiek sprawił, że nie mogę ani patrzeć na kobiety, ani ich słuchać, życzę im jak najgorzej, wyśmiewam je, obmawiam, a nawet – wstyd powiedzieć – wyklinam, choć, naturalnie, nie tak dosadnymi słowami jak niedościgła pod tym względem ministerka od – uwaga! – kultury i dziedzictwa narodowego, Marta Cienkowska. Cóż, mój wokabularz nie jest aż tak bogaty i tak precyzyjny jak wyżej wymienionej, która krótko i węzłowato potrafi wskazać, kogo należy j…ć, a co pier….ć.

Poprzedniczka tej złotoustej ministerki, Hanna Wróblewska, była osobą znacznie mniej wyrazistą, ale to przy niej, pełniąc funkcję podsekretarza stanu, Marta Cienkowska wsławiła się a to egzotycznymi delegacjami, na które jeździła bez opamiętania, zacieśniając naszą wymianę z takimi potęgami w dziedzinie kultury jak np. Ghana, a to znów wdrażaniem finansowania inicjatyw kulturalnych z Krajowego Planu Odbudowy, co zasiliło kasę np. Stowarzyszenia Sistrum – Przestrzeń Kultury Lesbijskiej, a także wielu, przepraszam za wyrażenie, podmiotów jak najbardziej lewicowych i liberalnych z Fundacją Liberte! na czele. Ma się rozumieć, Krystyna Janda ze swoim teatrem też się na te środki załapała, bo gdyby tak się nie stało, to… strach pomyśleć.

Teraz już, jako nie żadna podsekretarka, a ministerka pełną, nomen omen, gębą, nie musi się Marta Cienkowska przejmować jakąś niewydarzoną krytyką przychylnych, a tym bardziej nieprzychylnych mediów, co ostatnio udowodniła, firmując rozdysponowanie pieniędzy dla czasopism. Nie było tych pieniędzy może za wiele, bo w sumie 12,2 mln zł, ale rekordziści dostali po pół miliona, a wśród nich – cóż za niespodzianka! – Fundacja Liberte!, która przez kolejne trzy lata otrzymywać ma po 159,8 tys. zł na wydawanie swego miesięcznika (drukiem) i kwartalnika (w Internecie). Naturalnie, decyzja została poprzedzona pompatycznym zapewnieniem, że wszystko odbywa się transparentnie i o żadnych preferencjach politycznych mowy nawet być nie może. Tyle że od decyzji odwołań nie będzie, bo się ich nie przewiduje.

I tak niech się walą wydawcy „Arcanów", „Teologii Politycznej Co Tydzień" czy „Nowej Konfederacji". Podobnie złamanego szeląga nie dostaną m.in. Fundacja Świętego Benedykta na czasopismo „Christianitas" czy Dom Medialny Święty Wojciech na „Mały Przewodnik Katolicki". Mamy przecież państwo świeckie i żadnego religianctwa wspierać nie zamierzamy. Nie po to też solidaryzujemy się z walczącą Ukrainą, by dofinansowywać np. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Kresy sobie znaleźli! Z oczywistych względów figę z makiem, a nie postulowane 30 tys. zł dostanie Narodowy Instytut Społeczny na kwartalnik „Polska Narodowa". Nie otrzyma również środków na wydanie sześciu numerów czasopisma idei „Pressje" Klub Jagielloński.

Ale już Fundację Przekrój na edycję rocznika „Przekrój" zasili 60 tys. zł. Pewnie, zniszczono jeden z najciekawszych tytułów prasy polskiej, konsekwentnie przebierając go w lewicowe szatki, a teraz reanimuje się trupa.

Jaki jest stan kultury polskiej – każdy widzi, a i słyszy, bo rozpoczęło się już pukanie od spodu. Jeśli czegoś możemy być pewni, to tego jedynie, że za kadencji ministerki Cienkowskiej z kulturą dziać się będzie źle i jeszcze gorzej. A sama zainteresowana rywalizować może z inną ministerką – Barbarą Nowacką, tą od edukacji narodowej, o miano najbardziej skompromitowanej postaci gabinetu figur, szkoda, że nie woskowych, Donalda Tuska.

Nie zapominam, ma się rozumieć, o tak reprezentatywnych postaciach owego gabinetu jak Paulina Hennig-Kloska czy jej utalentowana inaczej zastępczyni w resorcie klimatu i środowiska, Urszula Zielińska. Na pewno przyszłość ma przed sobą Jolanta Sobierańska-Grenda, której jednak trudno będzie prześcignąć Izabelę Leszczynę, mogącej na piastowanym stanowisku ministerki zdrowia poszczycić się iście wiekopomnymi sukcesami.

W tej konkurencji popisy Agnieszki Dziemianowicz-Bąk czy Katarzyny Kotuli dziwnie bledną, że jednak kobietom z ministerialną teką pod pachą, czego jak czego, ale ambicji nie brakuje, i one z pewnością zapiszą się w annałach polskiej polityki.

W sumie wytężona działalność wszystkich tych niewiast powoduje, niestety, skutki uboczne, gdyż nie wykluczam, że moje antyfeministyczne nastawienie wywołane ich aktywnością podzielają i inne, rzecz jasna godne pożałowania, niepoprawne indywidua. A czyja to wina? Tak, zgadli państwo. Wszystko to wina Tuska c.b.d.o. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

Sandra Drzymalska i Tomasz Schuchardt w nowej ekranizacji „Lalki"
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Superbohaterki, antybohaterowie

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Polska kinematografia idzie z duchem czasu i w zgodzie z modami ideologicznymi. „Noce i dnie" oraz „Lalka" mają być przedstawione na nowo, z uwzględnieniem zwłaszcza perspektywy feministycznej

W połowie stycznia ogłoszono, że wkrótce ruszą zdjęcia do kolejnej produkcji Netflixa, który coraz chętniej sięga po polską klasykę. Platforma streamingowa zapowiada serialową adaptację „Nocy i dni" Marii Dąbrowskiej. Netflix ogłosił, że serial w reżyserii Kamili Tarabury „przedstawi widzom cztery pory roku relacji Barbary i Bogumiła Niechciców, serwując ponadczasową opowieść o ich skomplikowanym uczuciu. Przede wszystkim jednak będzie to portret kobiety – nieprzewidywalnej i pełnej wielu sprzeczności". W Bogumiła wcieli się Tomasz Schuchardt, ostatnio niemalże „wyskakujący z telewizora" („Heweliusz", „Dom dobry", „Lalka"), Barbarę odegra zaś Jaśmina Polak. „Nasza interpretacja arcydzieła Marii Dąbrowskiej to szczera i emocjonalna refleksja na temat mitu romantycznej miłości i odwiecznej walki oczekiwań z rzeczywistością" – mówi Tarabura. Reżyser serialu skupia się na postaci żeńskiej. „Barbara mierzy się z wieloma uniwersalnymi dylematami, które dotyczą poświęcenia dla małżeństwa i rodziny, rezygnacji z własnych marzeń i poszukiwania szczęścia" – wskazuje.

Zmiana perspektywy z damsko-męskiej na głównie feministyczną wywołała dyskusję. Dotychczas jedyną, uznawaną przez kolejne pokolenia za kultową adaptację powieści Marii Dąbrowskiej była ekranizacja z 1975 r. w reżyserii Jerzego Antczaka. Odgrywający w tym klasyku rolę Józefa Toliboskiego Karol Strasburger udzielił krytycznego wywiadu. „To z mojej strony trochę niezręczne, bo nie jest moją rolą mówić, co powinno się robić, a czego nie. Uważam jednak, że to przedsięwzięcie jest niepotrzebne. Film »Noce i dnie« cały czas funkcjonuje w przestrzeni publicznej – jest regularnie powtarzany, żyje wśród widzów. Niedawno obchodzono 50-lecie jego powstania, wciąż odbywają się wydarzenia z nim związane, na które jestem zapraszany. Mam na myśli choćby taniec na rynku w Kaliszu, gdzie wspólnie tańczyliśmy słynnego »walca Barbary« skomponowanego przez Waldemara Kazaneckiego. Ten walc i nenufary stały się najsławniejszą sceną polskiego kina. To wybitne dzieło, które startowało do Oscara i do dziś pozostaje bardzo obecne w świadomości widzów, dlatego robienie czegoś podobnego w momencie, gdy ten film wciąż tak silnie funkcjonuje, moim zdaniem mija się z celem" – stwierdził. Aktor uważa, że nowa wersja ekranizacji będzie skazana na porównania do filmu sprzed lat. „Jeśli ktoś chce dziś opowiedzieć historię o samotności, kobiecie uwikłanej w miłość i podobnych tematach, to może lepiej byłoby napisać własny scenariusz, zamiast sięgać po Marię Dąbrowską i »Noce i dnie«, a jednocześnie próbować opowiedzieć tę historię na nowo po swojemu. Trochę mnie to dziwi, że robi się coś w oparciu o literaturę,

eprasa.pl 97a3749d10

a chce się zrobić jakieś swoje spojrzenie" – wskazał, komentując zapowiedzi „feminizacji" produkcji.

KONIEC ROMANTYCZNO-TRAGICZNEJ HISTORII

Platforma streamingowa bierze się także do „Lalki", choć warto zaznaczyć, że „Lalki" będziemy mieli dwie – wyprodukowany przez TVP film, którego premierę zapowiedziano na wrzesień 2026 r. (w rolach głównych Marcin Dorociński i Kamila Urzędowska), oraz sześcioodcinkowy serial Netflixa (znowu Tomasz Schuchardt i Sandra Drzymalska), również z premierą w tym roku. Zamieszaniu dotyczącemu liczby ekranizacji i formy, które trwało w połowie 2025 r., towarzyszyła dyskusja ideologiczna. „Lalka" nie może być przecież klasyczna, musi stanowić dekonstrukcję tamtej historii i „odczarowywać" znielubioną przez pokolenia Izabelę Łęcką. Dyskurs ten zrelacjonował na łamach portalu Interia Piotr Zaremba. „Prym wodzą w tym naturalnie feministki. Oto klasyczna interpretacja kładła nacisk na klasowy dystans między kupcem i arystokratką. A tu nagle w serwisie »e-dziecko« nauczycielka twierdzi, że dawniejsze roczniki jej uczniów potępiały Izabellę. Teraz ma już być inaczej. »Usłyszałam od jednej uczennicy, że Stanisław Wokulski był, cytuję: obleśnym stalkerem, a Łęcka powinna zgłosić takie zachowanie«. Kibicują tej kompletnej rewizji takie postaci jak Joanna Ostrowska, zasiadająca w redakcji »Krytyki Politycznej« badaczka przymusu seksualnego wobec więźniarek podczas wojny. Ona pisze tak: »To pytanie nurtowało mnie jeszcze w czasach szkolnych: dlaczego Izabela Łęcka jest tym złym charakterem w Lalce Bolesława Prusa? Dlaczego to ona, według niektórych interpretacji, miałaby być tytułową lalką? Bo nie chciała zbliżyć się (także w sensie fizycznym) ze Stanisławem Wokulskim? Przecież jego zabiegi wokół niej, wedle dzisiejszych kryteriów kulturowych, to w zasadzie prześladowanie i molestowanie«. I dalej: »Dlaczego na współczesnej scenie Izabela nie może być młodą kobietą, która chce przeżyć życie po swojemu, a nie dać się sprzedać za długi ojca? Czy ma się poddać tylko dlatego, że ktoś, kto przedstawiany jest jako wcielenie cnót wszelkich, raczy po nią sięgać – wcale jej nie znając, zachwycając się jedynie jej powierzchownością?«" [pisownia oryginalna] – cytuje publicysta.

Zdaniem reżyser Doroty Kobieli „Chłopi" Władysława Reymonta to opowieść o kobiecie, która w imię bycia sobą ma odwagę skonfliktować się z konserwatywnymi wartościami ogółu

Reżyser „Lalki" Netflixa, Paweł Maślona, powiedział „Rzeczpospolitej", że „zmianą w stosunku do powieści będzie dwugłos bohaterów". Co to oznacza? Koniec romantyczno-tragicznej historii walki Wokulskiego o uczucie zimnej Łęckiej. Ma to być „serial o Wokulskim i Łęckiej jako dwóch podmiotowych bohaterach. Łęcka będzie silną bohaterką o klarownych motywacjach". „Myślę, że nasza Łęcka będzie osobą bardzo zdeterminowaną, dumną. Ale też otrzyma potężną lekcję pokory, która pozwoli jej bardziej świadomie zdecydować o własnym życiu" – opowiada reżyser. Maślona zapowiada, że serial „będzie przygodą dla współczesnych widzów". Sandra Drzymalska, odtwórczyni roli Łęckiej, mówi z kolei, że jej postać zostanie ukazana jako kobieta niezależna, „która, choć pochodzi z arystokratycznego środowiska, próbuje przekraczać narzucone jej schematy". Z kolei Schuchardt tak mówi o Wokulskim: „Naszym celem było przedstawienie Wokulskiego jako człowieka z krwi i kości – z wadami, ale i z motywacjami, które da się zrozumieć i usprawiedliwić". Część widzów w wątku poświęconym serialowej „Lalce" w serwisie Filmweb, po zapowiedziach twórców, zasugerowała, że nie ma wielkich nadziei. Stąd m.in. takie komentarze: „Biedna Łęcka spętana w kajdanach patriarchatu i opresyjny Wokulski. Ależ będzie piękna katastrofa"; „A czemu Izabela nie jest Afroamerykanką, węszę tu jakowyś rasizm"; „Z tej historii naprawdę można wyciągnąć więcej niż proste Wokulski dobry vs Łęcka zła lub Wokulski opętany chęcią zdobycia i zniewolenia kobiety, a Łęcka to silna wyzwolona Femina, która nie da się zakuć w sidła patriarchatu. Ale po co robić coś takiego? W rezultacie dostaniemy krótką, poprawną i uproszczoną wersję TVP i długą ahistoryczną wariację Netfliksa. Szkoda".

JAGNA OFIARĄ SLUT-SHAMINGU

Z zarzutami o zbędną feminizację i przeinaczenie istoty spotkała się także malowana wersja „Chłopów" w reżyserii Doroty Kobieli i Hugh Welchmana z 2023 r. Polsko-litewsko-serbska produkcja podzieliła widzów na zwolenników malarskiej formy i jej przeciwników. Dodatkowym wątkiem w dyskusji było położenie nacisku na perspektywę Jagny. Młoda wieśniaczka, będąca przyczyną konfliktu ojca i syna, została pokazana jako niewinne dziewczę, kozioł ofiarny kompleksów i uprzedzeń współmieszkańców. Ostatnia scena wywiezienia Jagny, skatowanej, w deszczu, półnagiej, przy obelgach ludzi, budzi współczucie. Jednak u Władysława Reymonta nie była ona aniołem bez skazy, ale zwodniczą kokietką, która wiedziała, co robi. Można stwierdzić, że częściowo była sama sobie winna.

„Powrót po latach do tej książki uzmysłowił mi, że może trzeba być trochę starszym, żeby po nią sięgnąć – mieć więcej cierpliwości, ale też coś przeżyć. Akurat sama byłam po kilku trudnych przeżyciach. Poczułam, jak ważna jest to książka do zekranizowania. Chodziło jednak nie o klasyczną adaptację, tylko o sposób jej odczytania" – mówiła Kobiela „Przeglądowi". Pytana, o czym są dzisiaj „Chłopi", odparła: „Dla mnie to opowieść o kobiecie, która ma odwagę być sobą, by pożądać, wyrażać swoją seksualność i skonfliktować to wszystko z głosem większości, z konserwatywnymi wartościami ogółu. To też historia o przemocy wobec kobiet – zarówno fizycznej, psychicznej, jak i seksualnej, co rezonowało z tym, co dzieje się współcześnie i co mnie spotkało". Reżyser twierdzi, że to „opowieść o slut-shamingu, czyli zawstydzaniu, piętnowaniu kobiet i wzbudzaniu w nich winy m.in. za to, jak wyglądają. Jagna jest oskarżana o rozwiązłość i brutalnie upokarzana". Kobiela mówi, że dokładnie z tym samym borykają się kobiety obecnie. „Poza tym to, co spotyka Jagnę, przypomina trolling, mobbing i wszystko, co może się wydarzyć teraz, chociażby w Internecie. Dlatego ten wątek wyciągnęłam na pierwszy plan" – wyjaśnia twórczyni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Na oklaski zasługuje Timothée Chalamet. Jego kreacja jest zupełnie odmienna od tego, co pokazywał do tej pory FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak ograć wszystkich?

Piotr Gociek

„Wielki Marty" to nie jest wielki film. Ale rola Timothée'ego Chalameta jest wielka

Marty nazywał się Reisman, a nie Mauser, ale żył naprawdę, a jego życie było jeszcze barwniejsze, niż widzimy to w filmie Josha Safdiego. Zgodnie z zasadą, że ciekawe rzeczy przytrafiają się tylko tym, którzy potrafią o tym ciekawie opowiadać, zadbał o odpowiedni kształt własnej legendy, publikując w 1974 r. łotrzykowską autobiografię pt. „The Money Player: The Confessions of America's Greatest Table Tennis Player and Hustler". Wieść niesie, że na jakiejś wyprzedaży rupieci egzemplarz zapomnianego dziełka trafił do rąk żony Josha Safdiego, która zainteresowała nim swego męża. I taki był początek drogi do dziewięciu nominacji do Oscara.

Książka Reismana w istocie jest lekturą zajmującą, a on sam od małego był, powiedzmy delikatnie, niekonwencjonalny. Mając lat 14, nie tylko zdobył swoje pierwsze mistrzostwo seniorów (Ohio State), lecz także pomylił prezesa Amerykańskiego Stowarzyszenia Tenisa Stołowego z bukmacherem i próbował u niego obstawić zakład przed meczem. Kino żywi się takimi postaciami, więc nie powinien dziwić fakt, że 14 lat po śmierci ekscentryczny sportowiec stał się bohaterem filmu. Jestem zawsze mocno sceptyczny wobec haseł promocyjnych wymyślanych przez dystrybutorów filmowych, ale tym razem mogę pokiwać głową z aprobatą. Hasło: „»Wilk z Wall Street« skrzyżowany ze »Złap mnie, jeśli potrafisz«" ma sens.

Skojarzenie z głośnym filmem Martina Scorsesego jest szczególnie ciekawe. „Wielki Marty" w pierwszej części ma ten gorączkowy rytm, który napędzał opowieść o Jordanie Belforcie granym przez Leonarda DiCaprio, z kolei sposób, w jaki Josh Safdie inkrustuje swój film przebojami pop, przypomina robotę Scorsesego w „Chłopcach z ferajny". Jednak na tym podobieństwa się kończą: Scorsese to moralista, Josh Safdie jest kuglarzem. Jego opowieść o bezczelnym, cwanym, chciwym, kochliwym mistrzu tenisa stołowego i hucpy jest efektowna, ale bywa męcząca.

WYBITNA KREACJA

Być może problem w tym, że gdy wszystko jest ekscentryczne, to nic nie wydaje się odpowiednio zaskakujące i ekscentryczne, a naprawdę dzieje się tu wiele i na pierwszym planie, i w tle. Od kradzieży z bronią w ręku po akrobatyczne wyczyny przy stole pingpongowym, od wanny przebijającej sufit po całowanie świni w tyłek; od gangstera granego przez Abla Ferrarę po postać Beli Kletzkiego, wzorowaną na polskim mistrzu Alojzym Ehrlichu i obdarzoną jego wspomnieniami z Auschwitz. I są tu jeszcze głuchy mistrz z Japonii, i bójka z policjantem, i romans z dawną gwiazdą filmową, i hotele, i szampan, w ogóle wszystko, co tylko przyszło Safdiemu do głowy. Brakuje natomiast wiarygodnej podróży bohatera ku przemianie, bo w finale mamy wrażenie, że Marty na ów finał nie zasłużył.

Dlatego trudno nazwać film „Wielki Marty" wielkim, natomiast bez wątpienia na oklaski zasługuje Timothée Chalamet w roli głównej. Jego kreacja jest wybitna, jego kreacja jest kompletna, jego kreacja

eprasa.pl 97a3749d10

jest zupełnie odmienna od tego, co pokazywał do tej pory. To już nie eteryczny młodzieniec z dramatu „Tamte dni, tamte noce", to nie charyzmatyczny lider powstania znany z „Diuny". Teraz jest irytujący, teraz sprawia, że nie lubimy głównego bohatera, ale wciąż nie możemy oderwać od niego wzroku. Rok temu Chalamet błysnął rolą Boba Dylana w filmie „Kompletnie nieznany", myślę, że tam widzimy korzenie tej przemiany, której świadkami jesteśmy w „Wielkim Martym". Dylan wedle Chalameta był nie tylko oryginalnym artystą, lecz także aroganckim dupkiem. Marty Mauser jest dupkiem do kwadratu.

Takie ustawienie głównego bohatera połączone z wartką, choć niekiedy zbyt efekciarską narracją sprawia, że bohater „Wielkiego Marty'ego" prowadzi nas w niebezpieczne miejsce. Wspomnijmy serial „Breaking Bad", w którym Walter White był jednocześnie protagonistą i antagonistą. Dzięki bardzo zręcznemu scenariuszowi i kreacji Bryana Cranstona długo kibicowaliśmy Walterowi White'owi w jego przestępczym procederze. Za długo. Na tym polegała zastawiona przez twórcę serialu pułapka. Vince Gilligan sprawił, że tak bardzo identyfikowaliśmy się z nieszczęsnym, że nie dostrzegaliśmy, jak zamienia się w potwora. W filmie „Wielki Marty" jest podobnie, nie mamy wielkiej sympatii do bohatera, zresztą nie mamy nawet powodów, by ją posiadać, a jednak kumulacja kłopotów, w które się pakuje, sprawia, że trzymamy za niego kciuki. Czy powinniśmy?

Tu wracamy do tego, co napisałem wcześniej: gdy do portretu drania bierze się Martin Scorsese, to powstaje z tego „Wściekły byk". Gdy do portretu drania bierze się kuglarz, jak Josh Safdie, wówczas droga upadku, pokuty i ewentualnego odkupienia schodzi na drugi plan. To prawda, emocjonalnym punktem zwrotnym filmu jest chwila, w której Marty Mauser odkrywa, że jego przyjaciel jest po jego stronie, choć w sumie już nie powinien, a jego ukochana nadal obdarza go wielkim uczuciem, mimo że zawiódł ich oboje po wielokroć. Czy to jakoś go odmienia? Otóż nie bardzo. Całe życie Marty'ego to długa historia przechytrzania, wykorzystywania, naciągania, okpiwania innych. Cóż z tego, że był także genialnym graczem? Czy to ma być usprawiedliwienie? Prawdziwy Marty Reisman w swej autobiografii był brutalnie szczery: „Zawsze stawiałem tylko na siebie".

Tu dochodzimy do kolejnej warstwy znaczeniowej filmu Josha Safdiego. Jest polityczną przypowieścią, tak samo jak były nią epopeje Sergia Leone „Pewnego razu na Dzikim Zachodzie" i „Dawno temu w Ameryce", jak był nią film Scorsesego „Gangi Nowego Jorku" czy wreszcie „Ojciec chrzestny" Coppoli. Wszystko to analizy kapitalizmu w amerykańskim stylu, próba opisania tego, jak brutalne i amoralne były czasy (i bohaterowie) budujący nowy świat, wielkie amerykańskie marzenie. Josh Safdie, Żyd z Nowego Jorku o postępowych poglądach, daje nam modną wykładnię: kapitalizm jest wstrętny, bo zawsze rządzą w nim postacie odrażające, takie jak handlarz butami czy producent piór. Bogate świnie, stojące na drodze do spełnienia marzeń naprawdę ambitnym, utalentowanym i wyjątkowym ludziom jak Marty. A skoro system jest nieuczciwy, sędziowie przekupieni, a przeciwnicy tak potężni, to oczywiście nasz pretendent nie tylko do tytułów mistrzowskich, lecz także tytułu króla życia ma prawo łamać reguły, by ich przechytrzyć. Jest zatem „Wielki Marty" filmem równie antykapitalistycznym jak inny oscarowy faworyt, czyli „Jedna bitwa po drugiej" Paula Thomasa Andersona.

REŻ. JOSH SAFDIE
„WIELKI MARTY"
USA 2025

OKAZJA DO RYWALIZACJI

Czy mimo to można czerpać satysfakcję z oglądania „Wielkiego Marty'ego"? Można, bo rzecz nakręcona jest zręcznie, bo często jest to film zabawny i zaskakujący. Gwyneth Paltrow, dawna wielka gwiazda Miramaxu, powraca w dobrej roli Kay Stone, starzejącej się gwiazdy i obiektu erotycznych fascynacji Marty'ego. Prawdziwy rekin biznesu Kevin O'Leary gra bezlitosnego bogacza Miltona Rockwella. Reżyser Abel Ferrara błyszczy w epizodzie jako stary gangster Ezra Mishkin. Wiele wysiłku włożono w odtworzenie atmosfery lat 50. XX w., kiedy świat powoli dźwigał się z ruin drugiej wojny światowej i jednocześnie tak łapczywie pragnął nowych rozrywek, nowego blichtru, nowych bogactw. Świetnie inscenizowane są sceny pingpongowych pojedynków, choć szczerze mówiąc, te z pierwszej części filmu są bardziej emocjonujące od tych w wielkim finale.

Ostatecznie jednak, gdy emocje po seansie opadną, odkrywamy, że był to jeden z tych filmów, które dużo bardziej podobały nam się podczas oglądania niż podczas spokojnego o nich rozmyślania po fakcie. W kinie ogłuszeni bowiem byliśmy tempem, montażem i charyzmą Chalameta jako bohatera, który (wedle własnych słów z autobiografii) zawsze podążał tylko w jednym kierunku: wszędzie.

Dla braci Safdie była to natomiast okazja do rywalizacji w rodzinie. Po rozbiciu reżyserskiego duetu, który dał nam m.in. film „Nieoszlifowane diamenty" z Adamem Sandlerem, każdy z nich osobno nakręcił dramat sportowy. Benjamin Safdie – „Smashing Machine" z Dwaynem Johnsonem, a Josh Safdie – „Wielkiego Marty'ego" z Chalametem. Wygrał Josh. Kolejne rundy przed nami. Prawdziwy Marty Reisman rywalizuje już w innych konkurencjach i całkiem gdzie indziej. Zmarł w 2012 r. Ostatni tytuł mistrzowski zdobył zaś w roku 1997, mając 67 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

„Wielki Marty" daje satysfakcję z oglądania, bo to rzecz nakręcona zręcznie. Często jest to film zabawny i zaskakujący FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 97a3749d10

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Biała zaraza

★★★☆☆☆

REŻ. RYAN COOGLER
„GRZESZNICY" („SINNERS")
USA 2025

wyst. Michael B. Jordan, Hailee Steinfeld, Miles Caton, dystr. HBO Max

Szesnaście nominacji do Oscara dla „Grzeszników" Ryana Cooglera to taki sam policzek dla X muzy jak ubiegłoroczny grad światowych wyróżnień dla filmu „Emilia Pérez", który był musicalem transsocrealistyczym. Nachalnie antyamerykański nibyhorror, nibypastisz, jest w istocie wykładem z krytycznej teorii ras ubranym w szatki hollywoodzkiej rozrywki. Nie jestem zdziwiony, ale ci, którzy po raz pierwszy obejrzą go w streamingu (dokąd właśnie trafił), pewnie będą zdziwieni.

W skrócie: para czarnych uciekinierów z Chicago (bracia bliźniacy grani przez jednego aktora, Michaela B. Jordana) trafia na głębokie Południe, gdzie otwiera knajpę dla swoich. Miejscowi okazują się wampirami – w końcu to Missisipi. Jak celnie zauważył w swej recenzji Armand White w „National Review", to po prostu zrzynka z „Od zmierzchu do świtu" duetu Tarantino/Rodriguez, tyle że pozbawiona wdzięku oryginału. Jest za to wiele łopatologii: wampirami są białasy z Ku Klux Klanu, które nie tylko łakną czarnej krwi, lecz także chcą odebrać Afroamerykanom ich opowieści, muzykę i w ogóle kulturę. Jak to wampiry. Sami rozumiecie.

Mamy na ekranie dzieło gatunku southern gothic, które wypruwa z tego gatunku jego duszę, składającą się przecież nie tylko z opowieści o paktach z diabłem i perwersjach skrytych za murami posiadłości na prowincji, lecz także z głębokiej pobożności (zwłaszcza czarnych), gospel, bluesa, moralnych dwuznaczności, pomieszania grzechu i świętości. W filmie Cooglera nie pozostaje z tego nic; co gorsza, nie broni się nawet jako rozrywka. Mimo to był sukcesem w amerykańskich kinach, bo choć kosztował niemal 100 mln dol., to zarobił prawie 400 mln. Co mówi więcej o amerykańskiej publice niż o jakości „Grzeszników".

Teraz w podbiciu serwisów streamingowych pomogą filmowi oscarowe nominacje. Pomogą niezasłużenie – jeśli wśród ubiegłorocznych premier szukać udanych horrorów, to lepiej wrócić do filmu „Zniknięcia" Zacha Creggera. Też nominowany jest do Oscara – choć tylko za drugoplanową rolę Amy Madigan – i w dodatku dużo mądrzejszy. Na „Grzeszników" szkoda czasu, wszystko jest tu przerysowane, jednostronne i politycznie umotywowane. Jak to we współczesnym Hollywood. ©℗

GRA TYGODNIA: PATHOLOGIC 3

Prowincja w carskiej Rosji na początku XX w., dotknięta epidemią. Nasz protagonista – uczony Daniil Dankovsky – przybywa do tej ponurej krainy na zaproszenie miejscowego lekarza, który jednak przyjazdu gościa nie doczekał. Nie mamy wyjścia – bierzemy sprawy we własne ręce i szukamy sposobu na pokonanie zarazy. Tak z grubsza przedstawia się zarys fantastycznie napisanej opowieści, w której nie brakuje dylematów filozoficznych. Gra nie dla każdego, ale dla fanów produkcji nieoczywistych, z ciężkim klimatem jest to pozycja godna polecenia. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *RPG, survival, FPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Ice-Pick Lodge, HypeTrain Digital*

eprasa.pl 97a3749d10

Pozdrowienia z Moskwy

sky SHOWTIME

Nostalgia za epoką zimnej wojny nie ustaje, chociaż grono widzów pamiętających towarzyszy Breżniewa i Susłowa stale się zmniejsza. Twórcy serialu „Ponies" podeszli do sprawy pragmatycznie. Niby dostrzegają, że za fasadą politycznego odprężenia toczył się bezlitosny bój wywiadów, jednak obraz Kraju Rad malują pastelowymi kredkami. Fakt, że podróż w czasie odbywamy w asyście pań, jest słabym usprawiedliwieniem. Ekranowa Moskwa ma europejski sznyt, ponieważ sceny uliczne realizowano w Budapeszcie. W dyskotece lud się bawi przy „Rasputinie" – przeboju, który w prawdziwym ZSRS był zakazany. Nie dziwota, że Jankes może się w stolicy komunistycznego imperium czuć jak u siebie. Rosjanie używają cukru z buraków, ale poza tym są w miarę normalni i „też kochają swoje dzieci" – jak śpiewał Sting. W tej bajce rolę złego wilka gra kagebista Wasilew, figura bez wątpienia putinowska.

Uśmiechniętego psychopatę próbują oszwabić dwie amatorki. Jaka jest ich motywacja? Chcą „zrobić w życiu coś ważnego" i gdy mężowie agenci zostaną dezaktywowani, ochoczo zajmują ich miejsce. Proszę nie pukać się w głowę, w tym szaleństwie jest metoda. Oficer prowadzący, choć na Polaka nie wygląda, działa w duchu nadwiślańskiego przysłowia o diable i babie. Szpieginie (szpieżki?) mają podołać zadaniu, które dla mężczyzn okazało się za trudne. Pomysł akceptuje sam George Bush senior, który po aferze Watergate próbuje tchnąć w CIA nową energię.

Na dzień dobry dostajemy trupa i samochodowy pościg, potem jest raczej zabawnie. Nie wykluczam, że akcja się jeszcze rozkręci, jednak twórcy serialu chyba mają kłopot ze znalezieniem tonu odpowiedniego dla tej fabuły. A konkurencja nie śpi. W kategoriach komediowych trudno będzie przebić „Agentkę" z Melissą McCarthy. Szufladka z etykietą „szpiegowski dreszczowiec" również jest pełna skarbów. Emilia Clarke z pewnością będzie szczęśliwa, jeśli przynajmniej część widzów zapomni jej występ w „Grze o tron". Ale czy to wystarczająca miara sukcesu w przypadku produktu rozrywkowego? Swoją drogą, koncept, że w KGB pracują sami faceci, rozbawił mnie do łez. Każdy, kto zna stare filmy z Bondem, wie, że to wierutna bzdura. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

TWÓRCY: SUSANNA FOGEL, DAVID ISERSON
„PONIES"
USA 2026

wyst. Emilia Clarke, Haley Lu Richardson, Artjom Gilz

TRAMP Z FLAGĄ

Scenariusz, reżyseria i muzyka – Charlie Chaplin. Dziewięćdziesiąt lat temu taki komunikat ściągał do kin miliony. „Dzisiejsze czasy" to komedia z ambicjami. Brytyjski komik ogłasza światu, że dorósł i stał się ironistą. Porównuje robotników zmierzających do fabryki do stada bydła (pędzonego być może do rzeźni). Szydzi z mechanizacji, a więc postępu. Kpi z rekinów biznesu w typie Forda, owładniętych obsesją zwiększenia wydajności pracy. Wywija (przypadkowo) czerwoną flagą. Sceny przy fabrycznej taśmie nadal urywają głowę, lecz ów portret Ameryki w dobie Wielkiego Kryzysu jest niczym więcej jak karykaturą. Dezawuując nowoczesność, Chaplin trzyma się stylistyki, która w 1936 r. była już staroświecka. Opowieścią „o krucjacie ludzkości w dążeniu do szczęścia" żegna się z Trampem – włóczęgą w meloniku i o sercu z czystego złota. ©℗

cda

★★★★☆☆

REŻ. CHARLIE CHAPLIN
„DZISIEJSZE CZASY („MODERN TIMES")
USA 1936

wyst. Charlie Chaplin, Paulette Goddard, Stanley Sandford

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Kazanie do ptaków

Historyk i wieloletni wykładowca Uniwersytetu Wrocławskiego, prof. Franciszek Kusiak, od dawna kolekcjonuje wizerunki swojego patrona – św. Franciszka z Asyżu. Jako że w tym roku mija 800 lat od śmierci założyciela zakonu franciszkanów, zbiory prof. Kusiaka zostały pokazane publiczności na wystawie czasowej we wrocławskim Muzeum Narodowym.

Są to przede wszystkim wizerunki świętego w formie grafiki dewocyjnej, ale oprócz niej kolekcjoner zgromadził też obrazy, rzeźby, znaczki pocztowe, pamiątkowe medale i witraże. Prezentowane są także zdjęcia, które prof. Franciszek Kusiak wykonał w europejskich muzeach i świątyniach. W zbiorach imiennika Biedaczyny z Asyżu są zarówno przedmioty z popularnych serii, jak i rzadko spotykane.

FOT. W. ROGOWICZ/MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU

Pasję do św. Franciszka i kolekcjonowania jego wizerunków wzbudziła we Franciszku Kusiaku jego mama, która na imieniny czy na Gwiazdkę podarowywała swojemu synowi obrazki z wizerunkiem świętego. ©℗

GDZIE? Muzeum Narodowe we Wrocławiu
KIEDY? do 1 marca

eprasa.pl 97a3749d10

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Jedenaste przykazanie

Rzezi wołyńskiej, masakrach dokonanych w 1943 r. przez Ukraińców na ludności polskiej, m.in. w Kisielinie, Janowej Dolinie, Frankopolu, opowiadają w książce Moniki Odrobińskiej „mali ocaleńcy", którym udało się ujść cało z tej zagłady. Bo to była zagłada.

Genowefę Ziółkowską, wtedy 11-letnią Gienię Paszkowską, której Ukraińcy wymordowali całą rodzinę, oboje rodziców, siostrę, brata, ciotkę, uratował starszy od niej o dwa lata Franek, kuzyn o skomplikowanym życiorysie. Jego matka była „z pochodzenia Ukrainką, swój pierwszy ślub brała z Polakiem w cerkwi i dla wszystkich było jasne, że jest i pozostaje Ukrainką. Ale gdy po śmierci męża ponownie poślubiła Polaka, to ponieważ małżeństwo zawarte było w kościele katolickim, odtąd uważano ją za Polkę. Ba, ona stała się Polką – nauczyła się modlić po polsku (a przecież nie umiała wcześniej pisać i mówić w tym języku), żeby za swoje dzieci modlić się w ich mowie. Te uchodziły bowiem za Polaków, w tym Franek; inaczej dzieci z pierwszego małżeństwa, które jako chrzczone w cerkwi, były Ukraińcami. Tego katolickiego ślubu nie mogła sobie wybaczyć, ale o jej lojalnym stosunku do wiary najlepiej świadczy fakt, że wychowała w niej dzieci z drugiego małżeństwa". Gienię z 18 (!) ranami zadanymi siekierą i nożem przewieziono do szpitala, gdzie uzyskała pomoc i przeżyła, Franek zaś znalazł schronienie u dalszej rodziny ocalonej, bo jego powrót do domu mógłby mieć tragiczny finał.

W końcu inny „mały ocaleniec" – Ewa Górna – wspomina: „Pamiętam, jak na początku lipca ukraiński policjant Stukała, syn popa, zabił swoją żonę Polkę i dwóch synów: 12-letniego Stanisława i 10-letniego Tadeusza".

Na zawsze zachowali w pamięci przerażające obrazy zbrodni dokonywanych z wyjątkowym okrucieństwem, które nakazuje ze zrozumieniem przyjmować i takie reakcje: „Boże, Tyś dlatego mnie ocaliłeś, żebym na wieki przeklinała wszystkie pokolenia tych zwyrodnialców!". Tym bardziej zasługuje na uwagę podkreślanie tych wypadków, w których to Ukraińcy właśnie zdobywali się na pomoc polskim sąsiadom. Tu nie ma mowy o oskarżaniu całego narodu, ale ocena wszystkich, ale to wszystkich odłamów ukraińskich jest jednaka. Genowefa Ziółkowska powiada: „Niezależnie od tego, czy Ukraińcami kierował Stepan Bandera, płk Andriej Melnyk czy Taras Boroweć ps. Bulba, banderowcy, melnykowcy i bulbowcy stanowili dla Polaków jednakowe zagrożenie". Śmiertelne.

Bronili się, jak mogli, a nadzieję pokładali, co brzmi okropnie, ale tak było: w Sowietach, a zdarzało się, że i w Niemcach. Genowefa Ziółkowska przypomina o tym, że w kwietniu 1943 r. komendant Armii Krajowej na Wołyniu płk Kazimierz Bąbiński ps. Luboń, nakazując zakładanie ośrodków, w których formacje samoobrony chroniłyby polską ludność, zabraniał „stosowania w odwecie metod, jakimi posługiwali się Ukraińcy, czyli palenia zagród czy zabijania kobiet i dzieci. Nie dopuszczał także możliwości współpracy z Niemcami i partyzantką radziecką. Nieco pochopnie, bo gdyby dowództwo Starej Huty do tego obostrzenia się stosowało, prawdopodobnie nie byłoby komu opowiadać tej historii". A Józefa Marciniak z domu Felińska, uciekając przed Ukraińcami, znalazła „schronienie" w niemieckim garnizonie, skąd odjeżdżały transporty polskiej młodzieży do Rzeszy. Wszystko było lepsze od pozostawania w miejscu, o którym najwyraźniej Bóg zapomniał.

Bohaterowie książki Moniki Odrobińskiej opowiadają też o tym, jak ułożyło się im życie po wojnie, po wygnaniu z ziemi rodzinnej, w innych, nowych miejscach, ale przecież wciąż w Polsce. Bo wygnano ich z Polski do Polski i dlatego gniew budziły takie zdarzenia jak to, gdy napis na pomniku postawionym przez Ukraińców informował, że w zbiorowej mogile ofiar rzezi wołyńskiej spoczywają „obywatele radzieccy narodowości polskiej" rzekomo zabici przez NKWD.

Strona ukraińska uzależniała też np. wydanie zgody na ekshumacje od przywrócenia na wyremontowanym pomniku UPA w Hrubieszowicach napisu: „Zginęli za niepodległość Ukrainy". Nie przyjmując do wiadomości, że zgoła czymś innym jest pogrzebanie zwłok, a czym innym oddanie zmarłym honorów. A świadomość ludobójstwa dokonanego na Wołyniu ma 81 proc. polskiego społeczeństwa i 1 proc. obywateli na Ukrainie. Niewiedza to czy zła wola?

Jan Wernik, inny „mały ocaleniec", miewał w późniejszym życiu „pod górkę", ciężko pracował, ale jest zadowolony z tego, co osiągnął, i z rodziny, którą założył. „I tylko jednej rzeczy jeszcze pragnę – wyznaje: pochować godnie tych, co poginęli od ukraińskiego topora. Jak mówiła nasza sąsiadka z Wołynia: »Niech dusze ich mają udział wśród żywych, bo na zawsze umiera ten, co jest zapomniany«".

Niezagojone rany wciąż jątrzą. Nie zglajchszaltujemy bolesnej przeszłości i w imię doraźnych interesów nie zagłuszymy wołania o prawdę. Dopóty, dopóki będziemy świadomi tego, że oprócz przykazań Dekalogu jest jeszcze jedno, nie mniej ważne: nie zapominaj! ©℗

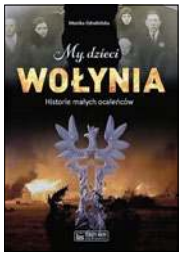

★★★★★★

MONIKA ODROBIŃSKA „MY, DZIECI WOŁYNIA. HISTORIE MAŁYCH OCALEŃCÓW"
KSIĘŻY MŁYN, ŁÓDŹ 2025

eprasa.pl 97a3749d10

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Żegnaj, Laleczko!

Autora nie znam, w dodatku kryje się za pseudonimem Jarek s Warszawy. Książka przywędrowała do redakcji pocztą na moje nazwisko, a ja gdzieś zawieruszyłem kopertę, więc nie wiem, skąd i od kogo. (Panie autor! Pan napisze na redakcyjnego maila!). Ale „Miasteczko Wilanów. Warszawski romans metafizyczny" przeczytałem, śmiejąc się czasem, a czasem popadając w gorzką zadumę – całkiem jakbym oglądał współczesny film Stanisława Barei.

Oto Johny, ważna figura z korpo, oto Laleczka, która za sprawą namiętnej relacji przeprowadza się z Bródna do Miasteczka Wilanów, notując tym samym wymarzony awans społeczny. Oto kierowca czarnego Mercedesa, pan Heniek taksówkarz, który będzie świadkiem początku i końca tej historii. I oto Warszawa, w której „panują niepodzielnie nowoczesność i europejskość najwyższej próby". A Jarosław s Warszawy, narrator tej nibybajki, snuje opowieść o tym, jak nisko upadliśmy, jak modernizacja poprzez zachwyt i zapatrzenie stała się własną karykaturą.

Można powiedzieć, że to bardziej publicystyka pomieszana z humoreską, a nie literatura. Nie zgodzę się jednak, bo przecież na naszych łamach podobną sztuczkę stosują Młodzi Wykształceni Z Wielkich Ośrodków, zamieniając szyderstwo z postępów postępu w osobną dziedzinę sztuki, w dodatku przemyślnie przechwytując żargon przeciwnika. „Miasteczku Wilanów" pewnie lepiej by zrobiło, gdyby narrator nie komentował. Ponadto często te przypisy są źródłem humoru (fakt, że smutnego). Oto Mordor: „Na piętrach, gdzie pracowały wcześniej maszyny, pracują teraz ludzie maszyny – karni i nie mniej wydajni".

I znów – pewnie niektóre żarty nie są najświeższe (książka powstawała w latach 2018–2019), pewnie bardziej pasowałyby do felietonu czy do internetowej tyrady utyskującego na świat seniora z Facebooka. Ale jednak to wszystko jest po coś. Po co? Ano złapała mnie za serce ta książeczka, bo bije z niej autentyczna, głęboka miłość do Warszawy takiej, jaką była i jaką mogłaby wciąż być, gdyby nie rak źle rozumianej nowoczesności. Warszawy, w której – jak dowiadujemy się z notki na okładce – mieszkali pradziadkowie, dziadkowie i rodzice szanownego autora. I w której mieszka on sam, choć „coraz częściej nie potrafi zrozumieć dlaczego". ©℗

★★★★☆☆

JAREK S WARSZAWY „MIASTECZKO WILANÓW" POLIGRAF 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Rzecz o niemieckich rozliczeniach z nazistowską przeszłością – rzadkich. Nie tylko dla czytelników „Norymbergi". Szkoda, że wytykając pobłażliwość RFN, autor mało wspomina o karierach nazistów w komunistycznej NRD.

TOBIAS BUCK „OSTATNI PROCES" CZARNE

Kolejny lamus ciekawostek od niestrudzonego autora „Biblioteki szaleńca" czy „Atlasu lądów niebyłych". Największe kurioza w historii muzyki, od projektów dziwnych instrumentów do pomysłu „muzyki widzialnej".

EDWARD BROOKE-HITCHING „ORKIESTRA SZALEŃCA" REBIS

Rzecz napisana ze znawstwem i naukowym zacięciem: opisując techniki narracyjne powieści grozy, autor daje nam także przegląd metod grania na emocjach współczesnego widza. Bo media się zmieniają, ale chwyty – nie.

PAWEŁ WIELOPOLSKI „REJESTR GROZY" WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

Kryminał, ale jednocześnie powieść psychologiczna – śmierć tokijskiego prawnika (dlaczego zabił go pewien dobroduszny emeryt?) uruchamia dociekania wiodące w przeszłość, którą lepiej pozostawić w spokoju. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

KEIGO HIGASHINO „ŁABĘDŹ I NIETOPERZ" GW RELACJA

KOMIKS TYGODNIA: ZAGINIONE KSIĘGI

Z otchłani archiwum „Świata Młodych": wczesne przygody Tytusa, Romka i A'Tomka publikowane w odcinkach w latach 1959–1965. Trzy książeczki już na rynku („Tytus piratem", „Wyprawa latającą filiżanką", „Porwanie Tytusa"), kolejne trzy w przygotowaniu. Równie zabawne, jak te późniejsze, a dodatkową frajdą jest przyglądanie się korzeniom pomysłów, które potem stały się cechami rozpoznawczymi komiksów Papcia Chmiela. ©℗ ***Piotr Gociek***

H.J. CHMIELEWSKI „TYTUS, ROMEK I A'TOMEK. ZAGINIONE KSIĘGI I–III" PRÓSZYŃSKI I S-KA 2026

eprasa.pl 97a3749d10

Neoliberalizm w domu i zagrodzie

Adam Wielomski

Co się stanie, jeśli dostawy żywności z Ameryki Łacińskiej do Europy zostaną wskutek jakiejś wojny przerwane na Atlantyku? Co będziemy wtedy jeść, po kasacie własnego rolnictwa i zaniku ludzi umiejących zasiać i zebrać zboże? Wydruki z wykresami PKB? Dlatego wszyscy dziś musimy być jak Grakchowie w starożytnym Rzymie, ideowi protoplaści współczesnych „populistów"

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podczas podpisania umowy między Unią Europejską a Mercosurem, Asuncion, 17 stycznia 2026 r. FOT. CESAR OLMEDO/REUTERS/FORUM

Wypowiadając się o podpisanej przez Ursulę von der Leyen umowie o wolnym handlu z Mercosurem, ludzie żyjący w świecie realnym mówią językiem interesów, czyli korzyści lub strat. Neoliberałowie i teoretycy skrajnego liberalizmu z reguły popierają umowę jako zgodną z zasadami dogmatycznie pojmowanego wolnego rynku, gdzie interes konsumenta jest ważniejszy niż interes producenta. Argumentują, że tak pisali Adam Smith, Ludwig von Mises i kilku innych „marksów" wolnorynkowych ze szkół szkockiej, austriackiej i chicagowskiej. Od razu uprzedzam, że piszę niniejszy tekst jako przeciwnik umowy z Mercosurem i widzę w niej katastrofalny błąd wyrosły z dogmatyki neoliberalnej, za którą stoją interesy wielkich międzynarodowych korporacji.

Neoliberalizm narodził się w latach 70. XX w., a został wcielony w życie w czasie reform Margaret Thatcher w Wielkiej Brytanii i Ronalda Reagana w Stanach Zjednoczonych dekadę później, aby szeroko rozlać się po świecie pod koniec XX stulecia. Była to ideologia triumfującego kapitalizmu, pod której przykrywką korporacje zarabiały niesamowite pieniądze, a pokonany blok wschodni (w tym Polska) był wykupywany za bezcen pod rządami neoliberalnych elit rekrutujących się z opozycji demokratycznej, które tę ideologię łykały z refleksją równą pelikanom. Prawie nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest to ideologia pozornego zwycięstwa Zachodu. Musiało się ono bowiem przemienić w jego klęskę. Przyznam, że pod wpływem ultrawolnorynkowej propagandy środowiska skupionego wokół Janusza Korwin-Mikkego także tę naukę łyknąłem niczym pelikan i rozprawiłem się z nią intelektualnie dopiero po latach, co zaowocowało moją książką „Sojusz ekstremów w epoce globalizacji. Jak neoliberałowie i neomarksiści budują nam nowy świat" (2021). Niniejszy tekst wynika z moich wieloletnich lektur i przemyśleń, poszerzonych z powodu umowy z Mercosurem i doświadczeń ekonomicznych, które wynikły z wojny ukraińsko-rosyjskiej.

INACZEJ W TEORII NIŻ W PRAKTYCE

Teoretycy neoliberalizmu twierdzą, że przedrostek „neo" (gr. nowy) ma na celu wskazanie, iż ich celem jest powrót

eprasa.pl 97a3749d10

do klasycznego wolnego rynku z XIX w., ale poprzez odświeżenie idei, która w XX stuleciu została zainfekowana przez interwencjonizm państwowy i regulacje konieczne do budowy socjaldemokratycznego państwa dobrobytu. To nieprawda. Celem neoliberałów jest zbudowanie całkowicie wolnego rynku światowego. W ramach niego państwo zostanie zredukowane do strzeżenia własności prywatnej, natomiast wewnątrz państwa i pomiędzy państwami zapanuje czysty wolny rynek. Liberał XIX-wieczny zgodziłby się tylko z połową tej formuły, a mianowicie z wolnym rynkiem wewnątrz państw narodowych. Klasyczni liberałowie byli protekcjonistami, czyli twierdzili, że obowiązkiem państwa narodowego jest ochrona narodowych producentów przed tańszą konkurencją zagraniczną. To była oczywistość dla każdego liberała francuskiego czy niemieckiego. Jakkolwiek ci brytyjscy głosili wolny rynek światowy, to tylko dlatego, że wcześniejsze uprzemysłowienie Wielkiej Brytanii uczyniło ją państwem bardziej zaawansowanym industrialnie. Anglicy produkowali więcej, szybciej i taniej, więc głosili zasadę rynku światowego, aby kolonizować rynki dookoła. Zasada ta nie dotyczyła jednak zboża i produktów rolnych. Rolnictwo brytyjskie nie mogło bowiem konkurować z francuskim z powodów klimatycznych i małego areału. Liberałowie z Londynu w produkcji żywności stosowali protekcjonizm, mimo że stanowiło to zaprzeczenie całej ich ideologii. Wniosek z tego taki, że wolny rynek światowy zawsze był sztandarową ideą państw eksporterów, doktryną uzasadniającą walkę z cudzą obroną swojej narodowej gospodarki. Idea ta natychmiast szła do kosza, gdy w danej dziedzinie krajowi producenci ustępowali zagranicznym. Wtedy praktykowano protekcjonizm.

Fakt, że w świecie anglosaskim od czasów Thatcher i Reagana głoszono nieskrępowany wolny rynek światowy, owocujący zjawiskiem globalizacji, nie wynikał z obiektywnej ekonomicznej słuszności tej idei, lecz z interesów wielkich korporacji mających swoje siedziby w państwach anglosaskich, korzystających z nieskrępowanego przepływu kapitałów, pracowników, zysków, inwestycji etc. Dzięki temu wielkie korporacje przekształciły się w międzynarodowe korporacje, którym odpowiadały idee kosmopolityczne, legitymizujące ich charakter. Tak narodziła się doktryna globalizmu, czyli – jak mawia Klaus Schwab – „zarządu światowego" (ang. global governance). W ramach międzynarodowego handlu korporacje mogły zwielokrotnić zyski. Produkcję wygaszano w krajach macierzystych, gdy w Chinach i Indonezji była tańsza siła robocza, w razie potrzeby przerzucano tysiące robotników z jednego zakątka świata do drugiego (masowa imigracja), a zdolnych menedżerów i informatyków sprowadzano na Zachód, oferując im wyższe stawki niż możliwe w kraju macierzystym (drenaż mózgów). Zyski bez kłopotu przelewano z kraju produkcji do macierzystego. Państwa narodowe abdykowały ze swoich uprawnień kontrolnych nad finansjerą i korporacjami, a te rosły w siłę. Na Zachodzie zapanował triumfalizm, gdyż słupki PKB rosły i im bardziej któreś z zachodnich państw bardziej otwierało się na globalny rynek, tym słupki te rosły szybciej. Z kolei konsumenci – których interes wedle neoliberałów musi być ważniejszy niż producentów – otrzymywali towary tańsze, acz wyprodukowane w, jak mawiają Amerykanie, „reszcie świata".

RZECZYWISTOŚĆ ZA SŁUPKAMI PKB

Emmanuel Todd w książce „Klęska Zachodu" (2024, wyd. pol. 2025) słusznie zwrócił uwagę, że pierwszy raz neoliberalizm (bez takiej nazwy) zapanował w Cesarstwie Rzymskim. Republika opierała się na obywatelach, z których większość to klasa średnia w postaci chłopów, stanowiących podstawę piechoty legionowej. Republika upadła i przekształciła się w cezaryzm, gdy zaczęła zanikać klasa wolnych chłopów. Nie wytrzymywali konkurencji cenowej z powstającymi wielkimi latyfundiami, na których masowo pracowali niewolnicy chwytani pośród barbarzyńców. W warunkach ówczesnego wolnego rynku latyfundia oparte na pracy obcej siły niewolnej produkowały taniej i masowo. Chłopi biednieli, w końcu sprzedawali swoją ojcowiznę latyfundystom i przenosili się do stołecznego Rzymu, gdzie otrzymywali ówczesny ekwiwalent minimalnego dochodu gwarantowanego: darmowy chleb od państwa i głupawe rozrywki na arenach. Kolejne pokolenia chciały już tylko „chleba i igrzysk". Todd tego nie pisze, ale ostatnimi obrońcami klasy średniej, prawdziwego obywatelstwa i etosu starej republiki byli bracia Grakchowie, którzy widząc upadek starego świata, domagali się ograniczenia powierzchni ziemi, którą jedna rodzina mogłaby legalnie posiadać (125 ha) i przymusowego rozdzielania odebranej ziemi bezrolnym obywatelom w postaci działek po 7,5 ha, aby odbudować klasę średnią – chłopów żołnierzy. Wielcy latyfundyści to ówczesny odpowiednik międzynarodowych korporacji inwestujących gdziekolwiek, gdzie jest tańsza siła robocza (którą wtedy sprowadzano w kajdanach). Zwolennicy Grakchów to ówcześni „populiści" bronią- cy klasy średniej.

Ta historia powtarza się na naszych oczach, gdy latyfundyści w postaci wielkich korporacji narzucili Zachodowi zasadę wolnego rynku światowego, po czym wyprowadzili produkcję do innych krajów, gdzie wykonuje ją obca i tańsza siła robocza. Tymczasem na Zachodzie zanika klasa średnia czerpiąca dochody z produkcji na swoim, na rzecz plebsu wołającego o „chleb i igrzyska". Chlebem jest system gwarantowanych świadczeń, a igrzyskami telewizja i genderyzm. Z punktu widzenia kultury mamy dramat w postaci współczesnych igrzysk, wspieranych finansowo przez międzynarodowe korporacje. Nas jednak tutaj interesuje wątek wytwarzania bogactwa. Przestało ono pochodzić z pracy wytwórczej, skoro cała produkcja przeniosła się do Trzeciego Świata, który obecnie podniósł głowę w postaci BRICS, niczym zbuntowany przeciw burżuazji proletariusz 100 lat temu.

Problem źródła bogactwa w całej rozciągłości pokazał wybuch wojny ukraińsko-rosyjskiej w 2022 r., w której tzw. kolektywny Zachód poparł Kijów. Borisowi Johnsonowi i Joe Bidenowi, zachęcających Ukrainę do odrzucenia porozumień stambulskich, wydawało się, że Rosja musi wojnę przegrać, pomimo kilkukrotnej przewagi demograficznej. Wedle różnych dostępnych mi obliczeń PKB Rosji wobec NATO stanowił zaledwie od 1,4 do 3,3 proc. Neoliberalni ekonomiści dowodzili, że Rosja nie istnieje, i pokazywali tabelki PKB. Rzeczywistość pokazała, że PKB to fałszywy wskaźnik. Ukrainie szybko zaczęło brakować

eprasa.pl 97a3749d10

amunicji artyleryjskiej, mimo że NATO produkowało, ile mogło, i opróżniło własne magazyny. Okazało się, że pocisków podstawowego kalibru artyleryjskiego 155 mm Europa Zachodnia jest zdolna wyprodukować maksimum 0,35 mln rocznie, a Stany Zjednoczone jeden milion. Tymczasem Rosja produkuje charakterystycznego dla własnego standardu kalibru 152 mm ok. 3 mln sztuk rocznie, gdy zaś i te możliwości okazały się zbyt małe, to towarzysze z Korei Północnej – której PKB to jakieś promile zachodniego – wsparli Moskwę w latach 2023–2025 zawrotną liczbą 12 mln sztuk, czyli równowartością dziewięcioletniej produkcji całego NATO!

To porównanie liczb szokuje. Jak to możliwe? To owoce neoliberalizmu. W ramach globalnego wolnego rynku międzynarodowe korporacje wygasiły produkcję realnych rzeczy u siebie i przeniosły fabryki do Azji, gdzie był tani pracownik, a wyprodukowane towary i zyski można było wywieźć do siebie. W państwach NATO rozpoczęła się wielka dezindustrializacja, w ślad za nią przestano kształcić inżynierów i produkować maszyny do wytwarzania urządzeń przemysłowych. Doszło do trwałej utraty zdolności produkcyjnych. Neoliberałowie twierdzili, że nie ma sensu utrzymywać fabryk w Detroit i Manchesterze, skoro wszystko można znacznie taniej wyprodukować w Azji. Na Zachód wrócą zyski, trafią do banków i na giełdy, gdzie można będzie nimi obracać. Bogaci ludzie będą potrzebowali usług, których dostarczą im dawni robotnicy, teraz zatrudnieni w usługach. Pracujący w tych branżach też się wzbogacą, więc sami będą potrzebować usług, co odbuduje klasę średnią. Z emerytur tych ludzi powstaną fundusze inwestycyjne, za których pomocą bogaci będą inwestować w Azji, zwiększając tam produkcję, czyniąc ją jeszcze bardziej masową i tanią, a zysk trafi na Zachód. A więc źródłem bogactwa Zachodu mają być usługi i giełda, czyli przelewanie z pustego w próżne. Produkcja przemysłowa i rolna stała się nieopłacalna. Wszystko bowiem można było kupić w Azji z dochodu uzyskanego z owego przelewania pustego w próżne.

To koncepcja genialna, ale pod warunkiem że na świecie panuje trwały pokój i handel międzynarodowy nie jest zaburzony przez czynnik polityczny. Dlatego tak ważna była hegemonia Stanów Zjednoczonych, która siłą amerykańskich wojsk wymuszała pokój i wolny handel. Gdy w 2022 r. świat jednobiegunowy runął, doszło do wojny i zerwania łańcuchów dostaw, neoliberalna utopia runęła wraz z nim. W świecie neoliberalnej utopii pociski 155 mm dla Ukrainy zostałyby zamówione w Azji, ale Azja… poparła Rosję. A poparcie to stało się symbolem zerwania z anglosaską dominacją nad światem. Okazało się, że Władimira Putina nie da się pokonać stalą wyprodukowaną w Chinach ani za pomocą pism przedprocesowych renomowanych nowojorskich kancelarii adwokackich, dochodami z giełdy i statycznym PKB per capita, gdy fabryki są w Azji i inżynierowie są Azjatami. Wbrew doktrynie neoliberalnej Rosja sztucznie podtrzymywała istnienie fabryk i etaty inżynierów. Dlatego jej możliwości produkcji broni okazały się większe od możliwości państw Zachodu, aczkolwiek nie wiemy dokładnie, jakie one są, gdyż pozostają tajemnicą (i pewnie nie wlicza się ich do PKB!). Znamy dokładne dane dotyczące USA i Chin, czyli dwóch głównych antagonistów. O ile PKB USA jest większe (od 31 do 20 bln dol.), o tyle w produkcji realnych dóbr ten stosunek jest odwrotny. W amerykańskim PKB realna produkcja to ok. 12–16 proc. (dane nieco się różnią), podczas gdy w chińskim – ok. 30–40 proc. Chiny produkują jakieś dwa–trzy razy więcej rzeczy niż USA. Wchodzą w to także pociski kalibru 152 mm. W eksporcie towarów Chiny to jakieś 30–32 proc. rynku światowego, podczas gdy kraje NATO to tylko 16–17 proc.

Wyprowadzając produkcję do Azji, Zachód utracił bezpieczeństwo produkcyjne, a co za tym idzie – militarne

Dziś bardzo popularnym słowem jest „bezpieczeństwo" i ciągle mówi się o bezpieczeństwie energetycznym, militarnym etc. Wyprowadzając produkcję do Azji, Zachód utracił bezpieczeństwo produkcyjne, a co za tym idzie – militarne. Coraz częściej mówi się, że USA są zdolne do pokazowych akcji militarnych, takich jak porwanie prezydenta Wenezueli, lecz nie do prowadzenia kilkuletniej wojny z poważnym państwem, którego siła opiera się na produkcji, jak Chiny czy nawet Rosja.

EFEKTY PROLETARYZACJI ROLNIKÓW

Podpisanie przez Ursulę von der Leyen umowy z Mercosurem to kolejne zwycięstwo dogmatu neoliberalnego nad rzeczywistością. Celem umowy jest skasowanie europejskiego rolnictwa i nastawienie się na import tańszej żywności z Ameryki Południowej. Tańszej, gdyż siła robocza kosztuje tam mniej niż w Europie, a prawie dwie trzecie ziemi uprawnej i pastwisk należą do miejscowych latyfundystów i międzynarodowych korporacji (BlackRock, Adecoagro, SLC, Cresud, Benetton, Arauco), zatrudniających sproletaryzowanych robotników rolnych, niebędących właścicielami. Z punktu widzenia ideologii neoliberalnej, nad której gruncie dobro konsumenta jest ważniejsze niż producenta, jest to zysk, gdyż dostaje się tańszą żywność (pomińmy tu już kwestię norm ekologicznych). Zatem z perspektywy neoliberalnego dogmatu to dobrze, że europejscy rolnicy zanikną, ulegną proletaryzacji i wyemigrują do miast, na zasiłek. Wywoła to oczywiście katastrofę klasy średniej, zagładę drobnej i średniej własności na wsi, ale tym wielkomiejski ekonomista się nie przejmuje, zapatrzony w tabelki PKB. Przecież to są tylko jacyś roszczeniowi chłopi nierozumiejący ekonomii – tacy jak Grakchowie pod koniec Republiki Rzymskiej, czyli zwykli „populiści".

Z punktu widzenia bezpieczeństwa żywnościowego jest to ten sam błąd, który doktryna wolnego handlu zaaplikowała wcześniej przemysłowi: wyprowadzić produkcję na drugi koniec świata, bo będzie taniej. Będzie, o ile nie dojdzie do wojny i łańcuchy dostaw nie zostaną przerwane na Atlantyku. A jeśli zostaną przerwane, to co będziemy wtedy jeść, po kasacie własnego rolnictwa i zaniku ludzi umiejących zasiać i zebrać zboże? Będziemy jeść ze smakiem wydruki z wykresami PKB? Dlatego wszyscy dziś musimy być Grakchami, pilnie uważając, aby nie skończyć jak oni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 97a3749d10

Wojciech Golonka

Mimo krzyczącej tragedii złamanych istnień ludzkich przez przestępstwa na tle seksualnym samo sedno sprawy Epsteina nie zostanie rozwiązane dopóty, dopóki Amerykanie nie uzyskają odpowiedzi na pytanie, kto chciał w ten sposób kontrolować elity w USA

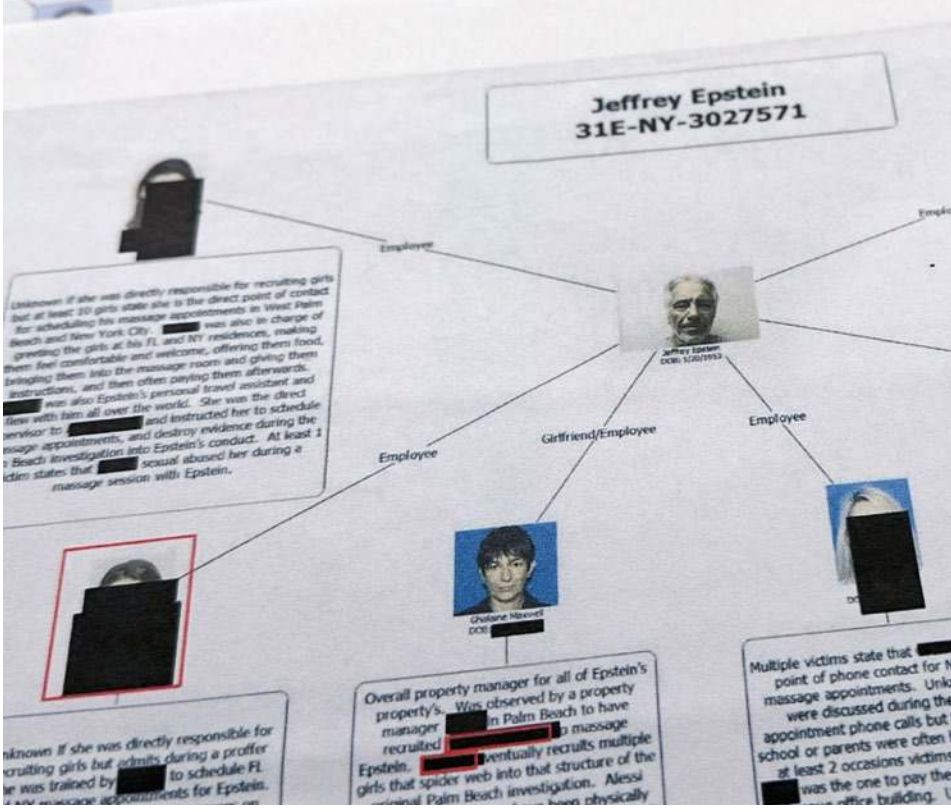

Puszka Pandory Epsteina

Puszka Pandory z etykietą „Epstein" została otwarta. Skutki dały się odczuć nawet nad Wisłą, gdzie premier Donald Tusk zapowiedział powołanie rządowego zespołu do zbadania polskich wątków tego „szatańskiego kręgu". Sama sprawa oczywiście najbardziej rezonuje w świecie anglosaskim, choć nie tylko – do tego stopnia Jeffrey Edward Epstein budował sieć globalnych kontaktów, usilnie próbując ją umoczyć doznawaniem uciech cielesnych w jego rezydencjach z dziewczynami pod jego pieczą specjalnie rekrutowanymi w tym celu z całego świata, również nieletnimi. Pewien całościowy obraz, wyłaniający się z tych akt, nie kojarzy się inaczej niż właśnie z metodycznym i wytrwałym zbieraniem, na przestrzeni lat, kompromatów na możnych tego świata. Narzucające się naczelne pytanie to „Dla kogo?", bo „Dlaczego?" jest przecież oczywiste.

Z tą puszką Pandory wiąże się jednak zasadniczy problem: z opublikowanych materiałów, mimo niesłychanej atmosfery skandalu i możliwych przestępstw na tle pedofilii i wymuszonej prostytucji, w różnych przypadkach po prostu nie da się jednoznacznie stwierdzić, czy dany celebryta, polityk lub biznesmen utrzymujący kontakty z Epsteinem rzeczywiście skorzystał z jego przybytków rozkoszy. Co więcej, w dobie komunikacji cyfrowej bardzo łatwo wrzucać do sieci zmyślone dane, niepochodzące z dokumentów Departamentu Sprawiedliwości, a następnie nagłaśniać je armiami botów w celu spotęgowania zamętu. Nie zmienia to jednak faktu, że z akt tych zionie niesamowity obyczajowy, polityczny i finansowy smród, stąd amerykańska opinia publiczna, a także ludzie na świecie domagają się klarownych odpowiedzi i rozliczeń: Kto korzystał z niecnych usług Epsteina i dlaczego dotychczas nikt oprócz jego wspólniczki Ghislaine Maxwell nie został ukarany? I choć w świetle reflektorów, bez nowych oskarżeń, znalazły się ponownie bardzo rozpoznawalne nazwiska – Bill Clinton, Bill Gates, Elon Musk czy Peter Thiel, by wymienić tylko niektórych – oczy wszystkich najbardziej zwrócone są na osobę prezydenta USA i jego małżonki, których przewijające się przez akta Epsteina nazwiska dolewają oliwy do mrocznych spekulacji, a przede wszystkim: do brutalnej politycznej walki, w której wszystkie chwyty są (względem Trumpa) dozwolone.

MILIONY STRON

W „Do Rzeczy" nr 30/2025 zajmowaliśmy się już sprawą Epsteina, zanim stała się ona obecnie modna w polskich mediach, stąd polecam mój artykuł „Cień Epsteina nad Republiką" z lipca ub.r., gdzie przedstawiłem jego rys biograficzny, przestępcze procedery oraz wątki agenturalne, a także to, w jaki sposób jego dawno zakończony w 2019 r. żywot stał się w USA, wraz z wyborami prezydenckimi w 2024 r., gorącym kartoflem amerykańskiej polityki. Ludzie, którym

eprasa.pl 97a3749d10

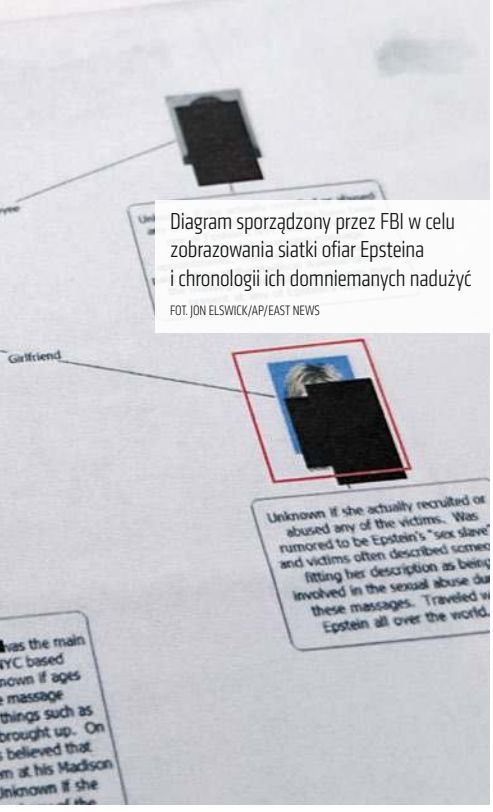

Diagram sporządzony przez FBI w celu zobrazowania siatki ofiar Epsteina i chronologii ich domniemanych nadużyć

FOT. JON ELSWICK/AP/EAST NEWS

Amerykanie zawdzięczają upublicznienie (choć wciąż niecałkowite i nie w pełni transparentne) akt sprawy Epsteina, tj. dokumentów będących w posiadaniu amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, to demokrata Ro Khanna z Kalifornii oraz republikański kongresman z Kentucky Thomas Massie, spiritus movens całej tej operacji po prawej stronie amerykańskiej sceny politycznej (i nie tylko). W rzeczy samej ustawa ta przeszła w zasadzie jednomyślnie w Kongresie: 18 listopada Izba Reprezentantów przyjęła ją stosunkiem głosów 427 do 1, a następnego dnia Senat przyjął ją jednogłośnie w procedurze aklamacji, bez debaty, bez poprawek, bez nawet formalnego głosowania, a jeszcze tego samego dnia podpisał ją prezydent USA.

Ten akt prawny zobowiązywał Departament Sprawiedliwości do upublicznienia akt sprawy Epsteina w ciągu 30 dni. Akta szacowane są na ok. 3,5 mln stron dokumentów, 2 tys. nagrań wideo i 180 tys. zdjęć lub grafik, stąd nawet ich niepełne opublikowanie w ciągu dwóch i pół miesiąca, przy dodatkowej, choć wielce dyskusyjnej pracy anonimizacji materiałów (mającej chronić tożsamość ofiar, w praktyce zaś być może i sprawców), uwzględniając okres przerw świątecznych i noworocznych, było przedsięwzięciem rekordowym. Czego z nich dowiedzieli się Amerykanie i nie tylko Amerykanie? Z akt wypłynęły już znane, ale i nieznane dotąd informacje czy zdjęcia; akta ukazały poniekąd świat widziany oczami Jeffreya Epsteina – informacje wynikające z jego e-maili mogą być w zupełności prawdziwe, mogą być jego interpretacjami lub tylko wyrazem jego poglądów, a przede wszystkim mogą być kodowane hasłami zrozumiałymi tylko dla wtajemniczonych, czego przykład podam za chwilę. Z akt wypłynęły także zeznania ofiar lub domniemanych ofiar, których wiarygodność badał w przeszłości amerykański wymiar sprawiedliwości, nie zawsze dając im wiarę. To właśnie ten miks wszystkiego wypłynął, a raczej wypływa nadal na powierzchnię, podczas gdy dziennikarze, influencerzy, zwykli ludzie, a także zapewne służby różnych państw próbują przekopać się przez ten ogrom informacji w wyścigu o prawdę, o zarabianie na sensacji, o sterowanie narracją.

KOMPROMATY NA TRUMPA

Zacznijmy od Donalda Trumpa, bo wizerunkowo to właśnie on jest na razie najbardziej stratny na tej wojnie informacyjnej, co potwierdza jego nieskrywana wola, zdublowana finansowym zaangażowaniem jego darczyńców, wyeliminowania Thomasa Massiego z życia politycznego. Ten bowiem walczy obecnie z oponentami o nominację w majowych prawyborach republikanów w czwartym okręgu wyborczym w Kentucky, celem możliwości ubiegania się o reelekcję w wyborach uzupełniających do Kongresu w listopadzie. Upublicznione akta po raz kolejny przypomniały znany powszechnie fakt, o którym Trump wolałby dawno zapomnieć, a mianowicie, że w latach 90. obaj panowie pozostawali w życzliwych stosunkach towarzyskich. Akta przypominają także, że Ghislaine Maxwell, ongiś partnerka i prawa ręka Epsteina zarządzająca jego niecnym procederem, rekrutowała dziewczyny do pracy (np. w roli masażystek) w posiadłościach Epsteina, podbierając je m.in. z personelu klubu Trumpa w Mar-a-Lago (co ostatecznie miało ich obu skłócić).

W końcu, i przede wszystkim, publikacja akt przypomniała z hukiem aferę z 2016 r., z pierwszej kampanii wyborczej Trumpa, kiedy to Jane Doe (pseudonim) złożyła pod przysięgą zeznania, że w 1994 r., w wieku 13 lat, została brutalnie zgwałcona przez Trumpa w nowojorskiej rezydencji Epsteina (jak również przez samego Epsteina). Trump miał jej przy tej okazji grozić, podobnie jak jej rodzinie, że jeśli nie zachowa milczenia, „znikną fizycznie, jak wiele innych dziewczyn". Doe składała w tej kwestii w 2016 r. trzy pozwy: pierwszy został odrzucony przez sąd, a pozostałe dwa wycofała ona sama, w tym tuż przed wyborami, nie podając przy tym żadnych wyjaśnień. Amerykański Departament Sprawiedliwości na przestrzeni lat (niezależnie od władzy) nie uznał jej zeznań za wiarygodne w związku z brakiem dowodów, a niektórzy komentatorzy uważali, że jej sprawa była po prostu sfabrykowanym elementem rywalizacji wyborczej. Niemniej zeznania Doe z 2016 r. zostały dołączone do akt sprawy Epsteina, stąd ich ponowne wypłynięcie, tym razem z tej śmierdzącej teczki, umożliwia wywołanie, jeszcze bardziej niż przedtem, skojarzeń i insynuacji, że na Trumpie w jakiś sposób ciążą niewyjaśnione oskarżenia o pedofilię z Epsteinem w tle, którymi z jakiegoś powodu nie zajął się amerykański wymiar sprawiedliwości.

Co istotne, te spotykane powszechnie w Internecie insynuacje nie idą za ciosem i nie dochodzą do dość spójnej konkluzji przy tego typu założeniach, a mianowicie, że Epstein – zbierając na Trumpa kompromaty – uczyniłby go tym samym agentem wpływu jakiegoś wywiadu lub państwa. Brak podkreślania tego logicznego aspektu wskazuje zatem, że rozsiewcy tych insynuacji robią to po prostu w ramach ataku na jego wizerunek, to jest w ramach rywalizacji stricte politycznej. Gwoli ścisłości, ponieważ w ostatnim czasie w Europie modne stało się wiązanie Epsteina z rosyjskim wywiadem, trzeba przypomnieć, że w Ameryce nachalna próba przedstawiania w 2016 r. Trumpa jako człowieka Kremla w Białym Domu okazała się wierutnym kłamstwem, sfabrykowanym ad hoc, jak twierdzi obecna dyrektor połączonych agencji wywiadu Tulsi Gabbard, przez ówczesną administrację Białego Domu u schyłku prezydentury Baracka Obamy.

Przy czym z akt Epsteina wypływa również inny wątek, podkreślany tym

eprasa.pl 97a3749d10

razem głównie przez zwolenników Trumpa. Otóż korespondencja Epsteina ukazuje, że w ostatnich latach życia był on wyraźnie nieprzychylny Trumpowi i chciał przyblokować jego drogę do władzy, co sam Trump zamierza teraz nawet wykorzystać, przynajmniej wizerunkowo. Zapowiedział on bowiem wniesienie pozwu wobec masy spadkowej po Epsteinie (Epstein Estate) oraz przeciw dziennikarzowi Michaelu Wolffowi, który czerpał od Epsteina wiadomości przedstawiające Trumpa, a raczej małżeństwo Trumpów, w negatywnym świetle.

Wolff w swych publikacjach twierdził, że Trumpowie poznali się dzięki Epsteinowi, w kręgu którego kręciła się ówczesna młoda, atrakcyjna modelka ze Słowenii, Melania Knauss. Teza ta nie ma potwierdzenia w aktach, Trumpowie stanowczo temu zaprzeczają, pierwsza dama USA wytoczyła nawet proces Wolffowi na kwotę miliarda dolarów, natomiast akta Epsteina zdają się potwierdzać, że rzeczywiście, poznawszy Trumpa w 1998 r., Melania utrzymywała przez pewien czas towarzyskie kontakty z Epsteinem i Maxwell.

Kolejny cień Epsteina na jej wizerunku to z kolei Brett Ratner, reżyser nowego filmu dokumentalnego o Melanii, cieszącego się zresztą powodzeniem w amerykańskich kinach. W 2017 r., w szczycie ruchu #MeToo, Ratner został oskarżony o przypadki seksualnego molestowania lub napaści przez co najmniej sześć kobiet. Wprawdzie nie został on skazany, a jedyny wytoczony mu proces cywilny został wycofany na skutek ugody, jednakże jego filmowa kariera została storpedowana, a sam Ratner wyemigrował z USA do Izraela. Teraz, kiedy Amazon wydał miliony dolarów na produkcję jego filmu dokumentalnego o Melanii, wraz z upublicznieniem akt Epsteina wypłynęły zdjęcia Ratnera z Epsteinem w towarzystwie nieopisanych kobiet, a także dodatkowe poszlaki wskazujące na ich możliwą znajomość; sam Ratner twierdzi jednak, że był u Epsteina z ówczesną narzeczoną, a kontaktów jako takich nie utrzymywał.

NIEMY KRZYK

Ten schemat ongiś przyklejania się, a potem odklejania od Epsteina powtarza się w zasadzie w przypadku wszystkich celebrytów, z którymi Epstein próbował nawiązywać kontakty lub którzy wręcz sami poszukiwali jego towarzystwa. Dla przykładu: w 2012 r. Elon Musk prowadził z Epsteinem korespondencję, rozważając umówienie się z nim na jego wyspie, w towarzystwie swojej ówczesnej żony (Musk dopytywał nawet: „Jakiego dnia/nocy będzie najdziksza impreza na twojej wyspie?"); wizyta ta, jak spekulują ostrożnie media, nie doszła jednak do skutku. Jednocześnie we wrześniu 2013 r. Epstein pisał doń nieco enigmatycznie: „Jakieś plany na NY [Nowy Jork]? Otwarcie Zgromadzenia Ogólnego [Narodów Zjednoczonych] ma wiele ciekawych osób przychodzących do [mego] domu". Musk odpowiedział mu wówczas oschle, ale tłumacząc: „Prowadzę projektowanie i inżynierię produktu w dwóch skomplikowanych firmach. Co więcej, SpaceX wkrótce wystrzeli prawdopodobnie najbardziej zaawansowaną rakietę w historii. Latanie do NY, żeby zobaczyć, jak dyplomaci ONZ nic nie robią, byłoby nierozsądnym wykorzystaniem czasu". Na co Epstein odpowiada, już nie skrywając w ogóle, o co chodzi: „Czy masz mnie za debila? Żartowałem, nie ma nikogo powyżej 25 lat, a wszyscy bardzo uroczy". Na wielką korzyść Muska trzeba przyznać, że ze wszystkich celebrytów w jakikolwiek sposób wymienianych w aktach Epsteina w sumie jako jedyny tak stanowczo krytykuje brak skazania kogokolwiek w tym procederze, domagając się twardych rozliczeń.

Dlaczego służby były na to głuche… a może po prostu brały w tym procederze jakiś udział?

Przy czym nie miejsce robić tu przegląd tychże celebrytów, umoczonych wizerunkowo, jeśli nie bardziej, w kontakty z Epsteinem, z których jedni (w sumie wszyscy) stanowczo dementują jakiekolwiek nieprawidłowości (jak Bill Gates), inni, po miesiącach odmowy, łaskawie godzą się zeznawać przed Kongresem (jak małżeństwo Clintonów), jeszcze inni jednak podają się do dymisji lub są odgórnie dymisjonowani, jak w przypadku byłego księcia Andrzeja, którego to brytyjska rodzina królewska wzięła w zupełny nawias, ratując własny wizerunek. Ale w tej wrzawie o niezwykłym natężeniu medialnym wybrzmiewają trzy pustki godne podkreślenia. Pierwsza to sprawiedliwość dla ofiar, pozostawiająca wiele do życzenia. Wprawdzie ok. 140 dziewczyn ofiar otrzymało kompensaty finansowe z majątku po Epsteinie lub od banków, które go obsługiwały, przymykając oczy na jego nietypową działalność, niemniej trudno mówić o sprawiedliwości dla ofiar, jeśli żaden celebryta wykorzystujący je seksualnie nie został nigdy skazany – a nie został. Po drugie, jak to możliwe, że w 2008 r. amerykański wymiar sprawiedliwości zawarł z Epsteinem niezwykle kuriozalną ugodę, skutkującą immunitetem wobec potencjalnych wspólników jego procederu, co w praktyce oznacza bezkarność za czyny popełnione w jego przybytkach rozkoszy do tej daty. Po trzecie, wielki nieobecny w całym tym skandalu to nie tyle Mosad, o którym się jednak czasem mówi, podając sensowne poszlaki wskazujące na możliwość współpracy Epsteina z izraelskim wywiadem, ile Centralna Agencja Wywiadowcza.

Czy to możliwe, aby ktoś przez ponad dwie dekady spoufalał się ze śmietanką towarzyską Ameryki, obracał ogromnymi sumami pieniędzy, werbował młode dziewczyny z całego świata, w tym nieletnie, by przymuszać je do prostytucji w swych rezydencjach, w tym o charakterze pedofilskim, nie zwracając jednocześnie na siebie uwagi najpotężniejszej agencji wywiadowczej świata? Pytanie oburzonej opinii publicznej – dlaczego nasz establishment chroni pedofilów – należałoby doprecyzować zatem pytaniem: Dlaczego nasze służby były na to głuche… a może po prostu brały w tym procederze jakiś udział? Mimo krzyczącej tragedii złamanych istnień ludzkich przez przestępstwa na tle seksualnym samo sedno sprawy Epsteina nie zostanie rozwiązane dopóty, dopóki Amerykanie nie uzyskają odpowiedzi na pytanie, kto chciał w ten sposób kontrolować elity w USA i na świecie; innymi słowy – dopóty, dopóki nie odzyskają rzeczywistej kontroli nad własnym państwem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 97a3749d10

Psychologia w służbie lewicy

Filip Memches

Profesor Krystyna Skarżyńska stwierdziła, że psycholodzy amerykańscy zdiagnozowali u Donalda Trumpa narcystyczne zaburzenie osobowości. Szkopuł w tym, że prawdopodobnie odwołała się ona do kontrowersyjnej opinii eksperckiej, a nie zweryfikowanej diagnozy klinicznej

Szymon Hołownia już nie jest ulubieńcem „uśmiechniętych demokratów". Odkąd pokrzyżował ich plan, żeby nie dopuścić do zaprzysiężenia na prezydenta Polski Karola Nawrockiego, jawi się dla nich jako zdrajca. Nic zatem dziwnego, że lewicowo-liberalne media ruszyły z kampanią dezawuującą byłego marszałka Sejmu. Nagle odkryły w nim przymioty, które wcześniej umykały ich uwadze, choć charakter tego polityka przecież się nie zmienił.

W tym kontekście na szczególną uwagę zasługuje wywiad udzielony „Gazecie Wyborczej" przez psycholog prof. Krystynę Skarżyńską z Uniwersytetu SWPS. W rozmowie tej oznajmiła ona, że zachowania Hołowni mają cechy narcystyczne, ale zarazem zastrzegła, że nie zdiagnozowała u niego narcystycznego zaburzenia osobowości. Niemniej prof. Skarżyńska sportretowała Hołownię jako człowieka skoncentrowanego na sobie, co miałoby oznaczać, że współpracę z ludźmi sprowadza on do tego, żeby okazywali mu uznanie, więc traktuje ich instrumentalnie.

Komuś może się wydawać, że skoro „Wyborcza" przeprowadziła wywiad z psycholog, to wynika z tego, że poproszono o rozmowę osobę wykazującą się naukowym obiektywizmem i niemającą względu na taką czy inną opcję polityczną. Tymczasem w „GW" od prof. Skarżyńskiej dostało się tym politykom obozu rządzącego, którzy – jej zdaniem – rzucają kłody pod nogi Donaldowi Tuskowi. To premier Polski jest bohaterem psycholog. Profesor Skarżyńska zatem nie kryje swoich „demokratycznych" przekonań i w jej przypadku nie jest to żadna nowość. Właśnie takich ekspertów jak ona potrzebuje „Wyborcza" w walce z prawicą i dlatego zwróciła się do niej po to, by po raz kolejny uzyskać naukową legitymację dla swojego przesłania politycznego.

PARANOJA, BRAK EMPATII, SADYZM?

Ale tematem opublikowanego w „GW" wywiadu okazał się nie tylko Hołownia. Rozmowa o nim stała się okazją do rozważań nad psychicznymi anomaliami generalnie wśród polityków, w tym tych, którzy swoje ręce splamili krwią niewinnych osób. Profesor Skarżyńska powiedziała: „Historycy i psychiatrzy dostarczają dowodów na to, jak konkretni – znani w świecie – polityczni liderzy z rozpoznaniem narcystycznego zaburzenia osobowości – nie tylko rządzili autorytarnie, łamali prawo, ale inicjowali wojny i zabijali miliony ludzi".

W następnym akapicie wywiadu padły zaś słowa o Donaldzie Trumpie. Co tu dużo mówić, można prezydenta USA czepiać się o rozmaite wypowiedzi i decyzje, które ma na swoim koncie, ale przecież sugerowanie, że jest odpowiedzialny za jakieś masowe zbrodnie, to absurd. Niemniej prof. Skarżyńska nie zostawiła na nim suchej nitki, scharakteryzowała go bowiem jako okrutnego dyktatora („wyprowadza wojsko na ulice do pacyfikowania amerykańskich obywateli, którzy protestują przeciwko jego polityce"). Ale przede wszystkim zajęła się jego kondycją psychiczną. Stwierdziła, że w roku 2020, po wyborach prezydenckich w USA, psycholodzy amerykańscy zdiagnozowali u Trumpa narcystyczne zaburzenie osobowości.

Szkopuł w tym, że prof. Skarżyńska prawdopodobnie odwołała się do czegoś, co było raczej kontrowersyjną opinią ekspercką, a nie zweryfikowaną diagnozą kliniczną. Swoją drogą za pierwszej prezydentury Trumpa, czyli jeszcze przed wyborami roku 2020, w amerykańskiej debacie publicznej padały głosy psychologów (jak Philip Zimbardo) i psychiatrów (jak Bandy Lee), że z kondycją psychiczną gospodarza Białego Domu jest bardzo źle. Wymieniano takie jego rzekome przypadłości, jak paranoja, brak empatii i sadyzm. Ale nie opierano się na badaniach klinicznych, bo takowe nie zostały przeprowadzone. Wystarczyło lewicowe wzmożenie polityczne. Gdy powodowani nim psycholodzy i psychiatrzy bili na alarm, w świat szedł przekaz, że prezydentem USA jest człowiek niespełna rozumu, czyli ktoś stwarzający zagrożenie dla innych ludzi.

Zarzucenie komuś, że kieruje się niewłaściwymi poglądami, ma dużo słabszą siłę rażenia niż opinia psychologa czy psychiatry

Profesor Krystyna Skarżyńska nie kryła w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" swoich „demokratycznych" przekonań

FOT. WYBORCZA.PL

eprasa.pl 97a3749d10

– najlepiej z odpowiednio prestiżowym stopniem naukowym (jak prof. Skarżyńska) – że ktoś taki ma kłopoty sam ze sobą. Od utrwalenia tego rodzaju orzeczenia do przyklejenia takiemu człowiekowi przez jego politycznych oponentów kartki z napisem „wariat" jest już tylko jeden krok. A to może budzić ponure historyczne skojarzenia.

Oczywiście na myśl przychodzą praktyki stosowane w Związku Sowieckim. W ZSRS wprowadzono nową jednostkę chorobową – „schizofrenię pełzającą" (potocznie zwaną „bezobjawową"). Orzekano ją u osób, których postrzeganie rzeczywistości było odmienne względem treści propagandowych narzucanych sowieckim obywatelom przez reżim komunistyczny. Ludzie ci byli zamykani w „psychuszkach". To potoczne określenie przylgnęło do placówek, będących połączeniem szpitala psychiatrycznego z więzieniem. W nich zaś odbywało się brutalne pranie mózgu. „Psychuszkę" opuszczał wrak człowieka, ponadto obciążony „żółtymi papierami", a one stanowiły istotną przeszkodę na drodze jego powrotu do społeczeństwa. Wśród znanych ofiar sowieckiej psychiatrii represyjnej znaleźli się dysydenci: tłumaczka literatury polskiej Natalia Gorbaniewska oraz pisarz Władimir Bukowski.

Rzecz jasna, ktoś mógłby zaoponować, że gdy mowa o politycznym wykorzystywaniu psychologii i psychiatrii w państwach liberalnej demokracji, to przypominanie metod reżimu komunistycznego w Związku Sowieckim jest zbędnym wytaczaniem ciężkiej artylerii, w dodatku zakrawającym na spore polemiczne nadużycie. I byłaby to uwaga poniekąd słuszna. Ale nie przekreśla to tego, że i na Zachodzie występuje zjawisko motywowanego politycznie tropienia rozmaitych psychopatologii.

Warto zauważyć, że w krajach tzw. wolnego świata psychologia i psychiatria odgrywają ważną rolę w forsowaniu przemian społecznych. A trendsetterami na tym polu okazali się naukowcy z utworzonego w roku 1923 we Frankfurcie nad Menem Instytutu Nauk Społecznych. Słynny termin „szkoła frankfurcka" odnosi się właśnie do ich środowiska. Jego trzon stanowili naukowcy żydowskiego pochodzenia o lewicowych poglądach, którzy w okresie III Rzeszy zmuszeni byli przebywać poza Niemcami (głównym kierunkiem emigracji dla nich była Ameryka). Po obaleniu władzy Adolfa Hitlera mogli oni wrócić na łono ojczyzny. Z tej opcji skorzystał Theodor Adorno.

Ów filozof i socjolog w swojej pracy analizował m.in. przyczyny kształtowania się postaw antysemickich oraz „etnocentrycznych". Wprowadził on do nauk, których przedmiotem są psychika i społeczne interakcje, skalę F (skrót od terminu „faszyzm"). W jego zamyśle miała ona być narzędziem do pomiaru „osobowości autorytarnej", której przypisywał sztywne przestrzeganie obowiązujących w danej społeczności konwencji i norm, ślepe posłuszeństwo wobec autorytetów, skłonność do ulegania przesądom i stereotypom, przydawanie zbyt dużej wartości sile i władzy, obsesję na punkcie seksu przejawiającą się w potępianiu ludzi o nietypowych zachowaniach seksualnych (czyli choćby to, co dziś na gruncie poprawności politycznej i wokeizmu definiowane jest jako „homofobia"). W człowieku o takich cechach kłębią się negatywne emocje. A rozładowywane one są poprzez agresję skierowaną w stronę wyobrażonego wroga.

Zarzucenie komuś, że kieruje się niewłaściwymi poglądami, ma dużo słabszą siłę rażenia niż opinia psychologa czy psychiatry, że ktoś taki ma kłopoty sam ze sobą

POZORY NAUKOWOŚCI

Rodzi się zatem pytanie: Co leży u źródeł „osobowości autorytarnej?" Adorno odpowiadał: hierarchiczna struktura rodzinna i rygorystyczne wychowanie. Dziecku lękającemu się rodziców – zwłaszcza surowego ojca – wpajana jest bowiem postawa podporządkowania się im. W efekcie potem, kiedy ktoś taki jest już dorosły, będzie karnie wypełniać to wszystko, czego zażąda od niego państwo (jak w III Rzeszy). I znamienne, że Adorno wysokie natężenie „autorytaryzmu" na skali F łączył z uprzedzeniami wobec wszelkich mniejszości wynikającymi – według niego – z konserwatyzmu politycznego oraz religijności.

Teoria „osobowości autorytarnej" została przez szkołę frankfurcką użyta jako naukowe uzasadnienie tezy, że podłoże faszyzmu i narodowego socjalizmu jest w istocie psychopatologiczne. Biorąc serio to, co głosił Adorno (skądinąd przenikliwy myśliciel dostrzegający ciemną stronę hołubionego na lewicy dziedzictwa oświecenia), można byłoby naiwnie skonkludować, że wystarczy psychoterapeutyczna dekonstrukcja tradycyjnego modelu rodziny i wprowadzenie między rodzicami a dziećmi w pełni partnerskich stosunków, a prawdopodobieństwo pojawienia się na arenie dziejów jakiegoś strasznego zamordysty zostanie całkowicie zminimalizowane. Takimi właśnie bzdurami – kiedyś bardzo modnymi – faszerują Polaków mainstreamowe media. Uzurpują one sobie pozycję opiniotwórczych ośrodków, które mają wyznaczać standardy nowoczesności i postępu.

A jednak, na szczęście, psycholodzy i psychiatrzy nie stanowią jednolitej pod względem mentalnym grupy zawodowej. Wśród nich znaleźli się tacy, którzy postulując polityczną bezstronność badań naukowych, krytykowali teorię „osobowości autorytarnej" za skrzywienie ideologiczne. I dlatego przetrwała ona głównie jako broń w rękach lewicowych aktywistów politycznych, a nie jako koncepcja naukowa. Pod koniec lat 60. XX w. zwalczanie „autorytaryzmu" stało się bowiem jednym z istotnych wątków rewolucji kulturowej, która przeorała społeczeństwa Zachodu.

Niemniej obecnie psychologów i psychiatrów usłużnie dostarczających lewicy ideologicznych argumentów opakowanych w żargon naukowy nadal nie brakuje. W zsekularyzowanych społeczeństwach krajów zachodnich sprawują oni analogiczną funkcję do tej, którą sprawowali niegdyś kapłani, bo badają przecież dusze, więc zapatrzony w nich i łaknący łatwych rozwiązań swoich problemów lud obdarza ich zaufaniem. Jednocześnie przyjmując paternalistyczne pozy niczym nieomylne wyrocznie, rozprawiają się z „autorytarnymi osobowościami" prawicowych polityków. Dlatego na pozorną naukowość lewicowych narracji ideologicznych nie należy się nabierać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

FOT. ADOBE STOCK

Niepotrzebny dialog

Paweł Chmielewski

Polacy nie interesują się ekumenizmem i dialogiem międzyreligijnym – i wcale ich nie potrzebują. Dlaczego hierarchowie uparcie je promują?

Polska jest krajem katolickim – wierni innych wyznań czy religii stanowią niewielką część społeczeństwa. Wyjątkiem jest tylko prawosławie, zawsze silne na wschodzie kraju, ostatnio wzmocnione jeszcze przez imigrację z Ukrainy. Z prawosławnymi katolicy dogadują się jednak dobrze – Cerkiew ma przecież ważne sakramenty, ma kapłaństwo. Dialog jest w tym wypadku prosty, naturalny, często po prostu sąsiedzki. Zresztą to nie na nim skupiają się wysiłki hierarchii. Ta promuje raczej kontakty z protestantami, muzułmanami i żydami. Problem w tym, że w większości regionów Polski takie osoby po prostu… trudno znaleźć. Na przykład protestanci według danych zebranych przez GUS stanowią 0,3 proc. ludności Polski. Największa z ich wspólnot, tzw. Kościół luterański, liczy sobie zaledwie kilkadziesiąt tysięcy wiernych. Muzułmanie? Nikt nie wie, ilu ich jest – najwyżej kilka tysięcy Tatarów, do tego bliżej nieokreślona liczba imigrantów zarobkowych, przebywających w Polsce często tylko okresowo. Najmniej jest religijnych Żydów. Według spisu powszechnego z 2021 r. do narodowości żydowskiej przyznaje się 17 tys. mieszkańców Polski, ale tylko relatywnie niewielka część z nich praktykuje judaizm. W tej sytuacji potrzeba dialogu praktycznie nie występuje. Najważniejszą grupą poza katolikami są po prostu ludzie bezreligijni, ale to już zupełnie inna historia.

WIELKIE WYDARZENIA

W przypadku dialogu międzyreligijnego rok 2026 jest szczególny. Wielkie wydarzenia tego rodzaju będą nam towarzyszyć w zasadzie przez cały czas. Zaczęło się oczywiście w styczniu od dorocznych ceremonii. 15 stycznia obchodzono Dzień Judaizmu w Kościele katolickim. Później trwał Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan, czyli tak naprawdę Tydzień Ekumeniczny. Wreszcie 26 stycznia – Dzień Islamu w Kościele. Duża część katolików w Polsce kompletnie ignoruje styczniowy maraton dialogowania, ale biskupi uparcie każą nam odkrywać wartości Talmudu, nauk Lutra i Kalwina albo zalety sur Koranu. W jakim celu? Zatrzymam się na chwilę przy Żydach, bo będzie to istotne także w kontekście kolejnych wydarzeń.

W przypadku judaizmu twierdzi się na ogół, że chodzi o lepsze poznanie „korzeni chrześcijaństwa". Katolicy w Polsce mieliby sobie uświadomić, że Kościół nie wziął się znikąd, ale zaczerpnął z wiary narodu wybranego, który oczekiwał Mesjasza. Problem w tym, że Dzień Judaizmu w Kościele nie oznacza wcale zgłębiania tajemnic Pisma Świętego ani mesjańskich zapowiedzi proroków. Gdyby o to chodziło, wystarczyłby przecież Dzień Starego Testamentu – inicjatywa może nawet i potrzebna. W ramach Dnia Judaizmu prowadzi się dialog z Żydami takimi, jakimi są dziś – czyli z Żydami, którzy wyznają judaizm talmudyczny, religię

eprasa.pl 97a3749d10

ukonstytuowaną historycznie w dużej mierze na sprzeciwie wobec chrześcijaństwa. Rozmawiać z ludźmi zawsze można; tego nie kwestionuję. Szkoda tylko, że dorabia się do tego dziwaczną narrację quasiideologiczną.

Dialogowania z żydami będzie w 2026 r. więcej – i to już w czasie Wielkiego Postu. Otóż w piątą niedzielę tego najważniejszego dla katolików okresu pokutnego z ambon kościołów zostanie odczytany list Konferencji Episkopatu Polski poświęcony relacjom z judaizmem. Jaka będzie jego treść, jeszcze nie wiadomo, ale łatwo się tego domyślić, jako że głównym inicjatorem jest metropolita Krakowa, kard. Grzegorz Ryś. Purpurat od lat stawia w sprawie żydów bardzo konkretną tezę. Jego zdaniem Kościół katolicki mylił się przez długie stulecia, nauczając, że to właśnie on, Kościół, jest nowym Izraelem; że „zastąpił" naród wybrany. Dopiero po Soborze Watykańskim II miano według kard. Rysia odkryć prawdę i Kościół jakoby zmienił swoje nauczanie.

W 2015 r. z tym poglądem rozprawił się papież Benedykt XVI. Opublikował wówczas – już z pozycji „emeryta" – obszerny esej na temat relacji katolicko-żydowskich, w Polsce wydany w tomie pt. „Co to jest chrześcijaństwo". Kardynał Ryś zwalczany przez siebie pogląd nazywa „teologią zastępstwa". Papież Benedykt wyjaśnił, że krytyka „teologii zastępstwa" jest w istocie walką z chochołem, bo czegoś takiego nigdy w Kościele w sensie ścisłym nie było. Kościół nauczał, że jest „wypełnieniem" Izraela. Bóg nigdy nie cofnął obietnic, które złożył Żydom. Nie zrezygnował z przymierza. Inaczej: to duża część Żydów po prostu to przymierze zerwała, bo nie poznała Mesjasza. Żydowscy przywódcy oddali Chrystusa na ukrzyżowanie. Dlatego Boże obietnice, nigdy nieodwołane, mają zastosowanie do Kościoła katolickiego. Kościoła, który – o tym trzeba pamiętać – został założony przez żydów. Żydami byli Apostołowie, głosili Zmartwychwstałego wśród żydów, z żydów składała się pierwsza wspólnota chrześcijańska. Dopiero później chrystianizm wyszedł do pogan. Dlatego to, co dotyczyło kiedyś Izraela, dziś dotyczy Kościoła. To logiczne: Bóg objawił się żydom przecież po to, by doprowadzić ich do przyjęcia Chrystusa.

List, który zostanie odczytany w kościołach w piątą niedzielę Wielkiego Postu, to jeszcze nie wszystko. 13 kwietnia tego roku przypada 40. rocznica bezprecedensowego wydarzenia. Tamtego dnia 1986 r. Jan Paweł II odwiedził rzymską synagogę, powitany przez głównego rabina Wiecznego Miasta. Papież Wojtyła powiedział w wygłoszonym wówczas przemówieniu: „Jesteście naszymi umiłowanymi braćmi i w pewien sposób, można by powiedzieć, naszymi starszymi braćmi". Wyrażenie „starsi bracia w wierze" zrobiło później w Polsce oszałamiającą karierę, cytowane zwykle bez żadnych zastrzeżeń – bez „w pewien sposób" czy „można by powiedzieć". Sam Jan Paweł II zresztą też go tak później używał. Z okazji 40. rocznicy tej wizyty na całym świecie mają odbyć się w Kościele wydarzenia dialogowe. Jak ujawnił kard. Grzegorz Ryś podczas konferencji prasowej 9 stycznia w Warszawie, centrum ma być jednak w Polsce. Dzień Judaizmu zostanie zatem w tym roku nie tylko powtórzony, lecz także porządnie „wzmocniony".

EUROPEJSKIE SPOTKANIE MŁODYCH

Dialogiem rok się zaczął, dialogiem się zakończy – teraz już ekumenicznym. W grudniu w Polsce odbędzie się Europejskie Spotkanie Młodych Taizé. We francuskim Taizé od kilkudziesięciu lat funkcjonuje ekumeniczna wspólnota religijna. Założył ją w 1940 r. szwajcarski protestant, Roger Schütz. W Polsce ruch Taizé jest dość popularny, skupia się w dużej mierze na muzyce. Młodzi biorą w nim chętnie udział, bo wydaje się sympatyczny, pobożny i zupełnie niegroźny – a w dodatku każdego roku po świętach Bożego Narodzenia można pojechać na spotkanie gdzieś w Europie.

Problem w tym, że rzecz jest oparta na poważnej manipulacji. Roger Schütz twierdził publicznie, że choć jest protestantem, to jest też wewnętrznie pogodzony z wiarą katolicką. Nie przystąpił jednak nigdy do Kościoła, pozostając świadomie poza jego granicami. Z perspektywy nauki Kościoła to niezwykle poważny akt duchowy, którego nie można usprawiedliwiać żadnymi względami. Dziś Schütza naśladuje wielu protestantów. Za taką decyzją kryje się nierzadko przekonanie o wtórności tego, czy jest się formalnym członkiem Kościoła katolickiego czy też jakiejś wspólnoty protestanckiej. Ten „duch" unosi się nad całym Taizé. Doskonale koresponduje to z istotą bardzo silnie obecnego dziś w Polsce ruchu charyzmatycznego, który łączy katolików i protestantów we wspólnych modlitwach uwielbieniowych czy w kulcie Ducha Świętego. Jeżeli jednak przyjąć, że przynależność do Kościoła jest sprawą drugorzędną, to trzeba zanegować nauczanie tego samego Kościoła o tym, że jedność z biskupem Rzymu jest potrzebna do zbawienia. Czyżby zdaniem ekumenistów także w tym przypadku Kościół się mylił i dopiero po Soborze Watykańskim II odkrył, jaka jest „prawda"?

Kiedy przestaje się głosić protestantom, żydom czy muzułmanom prawdę o wyjątkowości zbawczej Kościoła, to z powodu tego zaniechania po prostu się tę prawdę podważa. Skutkiem jest popadnięcie w relatywizm religijny – to logiczna konsekwencja przyjęcia postawy „dialogowania bez nawracania". Nawracania nie trzeba tu rozumieć „agresywnie"; nie chodzi o to, by „bić" niekatolików po głowie Katechizmem. Chodzi o to, by dawać im jasne świadectwo: tylko w Chrystusie jest zbawienie, a Chrystus chciał tylko jednego Kościoła – katolickiego.

Polska jest – albo była, bo to się zmienia właśnie pod wpływem promowania dialogizmu – wyjątkowym krajem w skali całej Europy, a poniekąd i świata. Pomimo sekularyzacji utrzymał się nad Wisłą relatywnie wysoki wskaźnik praktyk religijnych. Nie zapuścił u nas korzeni protestantyzm; chrześcijaństwo Polaków jest ściśle katolickie i wierne wobec Rzymu, nie ma żadnych tendencji buntowniczych. Z Żydami koegzystowaliśmy przez wieki, zarazem jasno wyznaczając granice w religii. Nie ma nad Wisłą silnej wspólnoty muzułmańskiej. Dlaczego rozmywać tę jednorodną tożsamość? Po co uczyć Polaków, że protestantyzm jest bardzo dobrym sposobem wiary w Pana Jezusa? Że wyparcie się Chrystusa przez Żydów to jakaś osobna droga zbawienia; że mahometański kult Allaha ma jakieś rzekome liczne wartości? Polacy mają prawo pozostać katolikami, wierzącymi zgodnie z Tradycją w jedyność zbawczą rzymskiego Kościoła. Nie trzeba im tego odbierać promocją ideologii dialogowania.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 97a3749d10

Z prof. Andrzejem Nowakiem, historykiem, autorem „Dziejów Polski"
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Przyczyny upadku Rzeczypospolitej

KRZYSZTOF MASŁOŃ, TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Najnowszy, siódmy tom pańskich „Dziejów Polski" obejmuje lata 1673–1763, panowanie Jana III Sobieskiego, a następnie Wettynów – Augusta II i Augusta III. Z jednej strony to wtedy odnieśliśmy znamienitą wiktorię wiedeńską, z drugiej jednak coraz wyraźniej chyląca się ku upadkowi Polska stawała się już nie podmiotem, lecz przedmiotem polityki europejskiej. Dowodzą tego fakty nagromadzone w pańskim dziele, a jest ono znakomicie udokumentowane.

PROF. ANDRZEJ NOWAK: Rzeczywiście, to w tamtym czasie Rzeczpospolita przestaje być czynnikiem samodzielnym w polityce, a pod koniec tamtego okresu, przynajmniej od pierwszej dekady wieku XVIII, staje się już igraszką w ręku sił zewnętrznych, coraz bardziej bezsilną. Wynika to przede wszystkim z tego, co wydarzyło się wcześniej, a o czym traktował szósty tom „Dziejów Polski", to znaczy z niewyobrażalnego zniszczenia i wyczerpania sił żywotnych Rzeczypospolitej przez – najpierw – powstanie Chmielnickiego, czyli rebelię kozacką, jak kto woli, a następnie najazd moskiewski, który dokumentnie spustoszył wschodnią połowę, a nawet więcej niż połowę Rzeczypospolitej, powodując nie tylko masową śmierć ludności, lecz także – a to była już wyjątkowość moskiewskich zaborów – wywózkę setek tysięcy mieszkańców tych ziem, w celach gospodarczych. Nie miało to charakteru represyjnego; po prostu Moskwa potrzebowała fachowców, ale i takich, których jedyną fachowością były mięśnie, żeby zasiedlili wciąż jeszcze dość puste olbrzymie carstwo. Kolejny etap zniszczeń to, oczywiście, najazd szwedzki, potem siedmiogrodzki, brandenburski, co razem przyniosło na ziemiach polskich straty większe niż skumulowane straty pierwszej i drugiej wojny światowej. Taki był rezultat tego, co wydarzyło się w latach od 1648 do mniej więcej 1660, ale na tym te nieszczęścia, które przygotowały uprzedmiotowienie Rzeczypospolitej, nie skończyły się, bo przecież od południa uderza na Rzeczpospolitą imperium osmańskie.

To ostatnie należy podkreślić, bo w tomie „Dziejów Polski", o którym rozmawiamy, zagadnieniem przykuwającym uwagę ludzi, którzy na co dzień historią się nie interesują, jest odsiecz wiedeńska i jej konsekwencje. I bywa, że ci zjadacze chleba – co mówię z pełnym szacunkiem i dla zjadaczy, i dla chleba – głośno zastanawiają się, po co było walczyć z Turkami, może lepiej było zostawić samych tych przebrzydłych Habsburgów, którzy 100 lat później rozebrali Rzeczpospolitą z Rosjanami i Prusakami. Otóż problem polega na tym, że naprawdę największe, śmiertelne niebezpieczeństwo groziło nam właśnie ze strony imperium osmańskiego i to ono w latach bezpośrednio poprzedzających okres, o którym mówimy, czyli w latach 1671, 1672, 1673, dokonuje tego, co pamiętamy, a przynajmniej niektórzy z nas pamiętają z „Pana Wołodyjowskiego", trzeciej części „Trylogii" Henryka Sienkiewicza. Chodzi o upadek Kamieńca i oderwanie od Rzeczypospolitej obszaru półtora województwa, a nie były to tak małe województwa jak dzisiaj. Była to boleśnie dająca znać o sobie strata terytorialna, i nie tylko, bo tzw. egzulanci, szlachta, która musiała się stamtąd wynosić, będą w następnych latach na sejmikach upominać się, pytać, kiedy wreszcie odzyskacie naszą ziemię, którą zabrał bisurmanin i jęczy ona teraz pod jarzmem półksiężyca.

Nie potrafiliśmy zrealizować tych żądań. Dlaczego?

Dała o sobie znać pewna strukturalna wada polskiego ustroju i polskiej wojskowości razem wziętych. Polska nie była w stanie odzyskać Kamieńca, tej kluczowej twierdzy, i w ogóle zdobywanie i utrzymywanie twierdz nie było naszą mocną stroną. To np., że w roku 1514 straciliśmy Smoleńsk – to znaczy nasi przodkowie go stracili, bo nie my przecież – sprawiło, że nie na wiele się zdało świetne zwycięstwo odniesione w tymże roku pod Orszą i w końcu rezultat tamtego roku był tragiczny, bo kto zdobywał ważną twierdzę, ten zdobywał panowanie na danym obszarze. A nie umieliśmy obronić Smoleńska w roku 1514, tak jak nie umieliśmy go utrzymać w roku 1654, kiedy Moskwa ponownie go najechała.

eprasa.pl 97a3749d10

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

A czy w ogóle byliśmy zdolni do prowadzenia aktywnej, skutecznej polityki zewnętrznej?

Trzeba mieć do tego środki. Ze smutkiem musimy odczytywać anegdotę Zagłoby, dworującego sobie z Niemców, którym Bóg zagniewany na to, że wybrzydzali na konia, mówiąc na niego „pfe", czyli „Pferd", skazał na chodzenie piechotą, podczas gdy Polacy zostali stworzeni do kawalerii. Tyle że to piechota, oczywiście wraz z artylerią, była potrzebna do obrony twierdz, a przy ich zdobywaniu nie była w stanie zastąpić jej szarża husarii.

Cóż, Rzeczpospolita była krajem szlacheckim, a rycerska służba w polu, na koniu była tego szlachectwa symbolem. Nie jestem krytykiem szlachty, przeciwnie, jestem przeciwnikiem tzw. historii ludowej, ale trzeba zdawać sobie sprawę z konsekwencji tamtego strukturalnego ukształtowania Rzeczypospolitej. Służba w piechocie była rzeczą chłopską, pogardzaną w gruncie rzeczy, a to właśnie ta piechota potrzebna była do zdobywania twierdz i ich obrony. I to jej zabrakło w Kamieńcu, straconym w 1672 r., czego nie odwróciło błyskotliwe zwycięstwo pod Chocimiem w roku następnym, które utorowało Sobieskiemu drogę do tronu po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

Nie potrafiliśmy odbić Kamieńca, a z Turkami mierzyliśmy się w Wiedniu?

Udzielając pomocy Habsburgom, sami sobie ratowaliśmy skórę, żeby wzdłuż całego naszego południa, tam, gdzie są Tatry, nie było granicy z imperium osmańskim. A tak właśnie byłoby, gdybyśmy zaniechali odsieczy wiedeńskiej. A czy w imperium osmańskim panowałaby zgoda co do tego, żeby nie interesować się ziemiami leżącymi na północ od Karpat? Oczywiście, że nie, bo taka jest doktryna islamu, dzielącego świat na Dar al-Harb i Dar al-Islam. Ten pierwszy to jest świat do podbicia. No więc zatrzymanie pochodu ofensywnego islamu było jak najbardziej w interesie Polski, natomiast to, że nie umieliśmy wyciągnąć z tego korzyści, wynikało z faktu, że nie potrafiliśmy odbić Kamieńca. W następnych kampaniach prowadzonych w ramach sojuszu z Austrią to ona zdobywała takie twierdze jak Buda czy później Belgrad i te twierdze wraz z ziemią przechodziły pod panowanie habsburskie. A my, jak długo byliśmy uwięzieni pod Kamieńcem, nic nie mogliśmy zrobić przeciwko Rosji, a co gorsza, Jan III Sobieski zmuszony został przypieczętować zgodę z Rosją, która po prostu oddawała jej Europę Wschodnią: wschodnią Ukrainę, Smoleńszczyznę, Czernihowszczyznę i Siewierszczyznę, de facto, bo nie de iure, z Kijowem. Sobieski zgodził się na to, bo inaczej Rosja nie stałaby się członkiem, bardzo marnym zresztą, koalicji antytureckiej. A od tego Austria uzależniała dalszą pomoc militarną dla Polski.

Z „Dziejów Polski" dowiadujemy się, że jednak były jakieś szanse na zmuszenie do kapitulacji odciętej od sułtańskiego zaplecza tureckiej załogi Kamieńca, ale zaprzepaszczone zostały przez postawę kierującego się prywatą, a może i nie tylko nią, litewskiego hetmana Michała Paca. W ogóle wielkie rody magnackie prowadziły interesy partykularne, ich przedstawiciele byli chciwi i zapatrzeni w siebie, a konsekwencje ich postępowania były dla Polski tragiczne.

To, że bywamy chciwi i zapatrzeni w siebie, nie jest wyłącznie cechą XVII-wiecznych magnatów, polskich czy litewskich, ale z takimi cechami można sobie radzić w ramach pewnych ograniczeń ustrojowych, które nie pozwalają cechom tym rozkwitnąć. Niestety, w Rzeczypospolitej takich ograniczeń nie było. Największym problemem była dożywotność urzędów, w tym najwyższych urzędów wojskowych – hetmańskich. W efekcie od czasów Stefana Batorego i Jana Zamoyskiego, którzy razem popełnili ten straszny błąd ustrojowy, ten, kto zostawał hetmanem, stawał się całkowicie niezależny od króla. August II Mocny pod koniec swojego życia powiedzieć miał: „Gdybym wiedział, jaki macie system, to kandydowałbym nie na króla, lecz na hetmana, bo to dużo lepszy urząd".

Zabiegający o ten urząd do czasu łasili się do króla, zgadzali z jego polityką, kiedy jednak tylko otrzymali buławę

eprasa.pl 97a3749d10

hetmańską, natychmiast zaczynali prowadzić własną politykę mającą na celu umocnienie swego rodu. Tak też czynili i Pacowie, z tym że niektórzy z nich przekraczali granice zdrady narodowej. Jak to wykazała najnowsza historiografia, rosyjska, ale w końcu tam też prowadzi się rzetelne badania naukowe i nie wszystko jest propagandą. Otóż ze źródeł przechowywanych w Rosji ewidentnie wynika agenturalny charakter kontaktów elity litewskiej, a później i koronnej, z carem i posolskim prikazem, czyli moskiewskim ministerstwem spraw zagranicznych. I Pacowie tak właśnie porozumiewali się z carem, a jeszcze chętniej z elektorem brandenburskim.

Przykładem na to była postawa Paców wobec projektu Sobieskiego chwilowego oderwania się od wojny z Turcją i wraz z Francją wzięcia się za Prusy oraz szerszy dostęp do morza. Polskiemu królowi chodziło także o uzyskanie księstwa dla syna, co nie podobało się szlachcie, która generalnie nie chciała mieć w kraju dynastii, ale abstrahując od tego, sama idea była dobra, potrzebna była jednak współpraca ze Szwecją. A żeby Szwedzi mogli zaatakować Prusy, trzeba było udostępnić im dostęp przez Litwę. Pac tymczasem, po zawarciu tajnego układu z elektorem brandenburskim, powiedział: „Nie przepuszczę przez swoje terytorium wojsk szwedzkich, żeby zaatakowały waszą elektorską mość, tylko trzeba mi odpowiedniej ilości talarów, by upewnić mnie w tej słusznej postawie". No to jest przekroczenie granicy zdrady, a na przełomie wieków XVII i XVIII zaczyna dziać się tak coraz częściej. I tak ludzie, którzy mogli w Rzeczypospolitej robić wszystko, dla swojej kariery robili więcej niż wszystko, a mianowicie stawali się agentami obcych wpływów.

Żal Sobieskiego, zapętlonego w sytuacji kraju. Podziwiał Francję Ludwika XIV...

Cała Europa ją podziwiała...

... swoją Marysieńkę kochał, chciał jakoś ustawić swoich potomków, z czym miał niejakie kłopoty, bo najstarszy syn był, delikatnie rzecz ujmując, nieudacznikiem, ale wzdragał się przed stosowaniem w polityce drastycznych środków i – tu cytujemy pana książkę – „absolutyzmu nad Wisłą sobie nie wyobrażał".

Podzielam współczucie dla tej bardzo wybitnej postaci, bo Jan III Sobieski był bardzo utalentowanym człowiekiem i pod wieloma względami, użyłbym takiego ryzykownego uogólnienia, dobrym człowiekiem. Choć wcześnie, jeszcze jako hetman, odegrał niepozytywną rolę, warcholąc i spiskując, by obalić króla. Tak było w czasach Michała Korybuta Wiśniowieckiego. A potem cierpiał dokładnie z tego samego powodu, gdyż hetmani szkodzili mu na każdym kroku. Był jednak do szpiku kości republikaninem sarmackim i w tym sensie doskonałym wybrańcem ludu szlacheckiego, bo szlachta chciała takiego władcy, który będzie szanował wolność wyboru i nie zmieni ustroju na absolutystyczny, a takich zamiarów Jan III ani przez chwilę nie miał. Z późniejszej perspektywy niektórzy historycy i publicyści zaczęli snuć dywagacje, że taki absolutystyczny zamach byłby może pożądany i zbawienny dla Rzeczypospolitej. Pogląd taki reprezentował wybitny, podziwiany przeze mnie historyk – prof. Zbigniew Wójcik w swojej monografii Jana III Sobieskiego. Za książkę tę Jaruzelski przyznał mu nagrodę. Profesor Wójcik jej oczywiście nie przyjął, ale przyznanie nagrody nie było przypadkowe. Cała narracja była pochwałą rządów silnej ręki, którą Jaruzelski odczytał tak: proszę, Sobieski nie wziął narodu za mordę, a ja to zrobiłem. Naturalnie modelem odniesienia dla Zbigniewa Wójcika nie był Jaruzelski, a Piłsudski, którego ulubionym wachmistrzem, strażnikiem bezpieczeństwa Marszałka w Belwederze, był ojciec profesora.

A czy taki zamach jak majowy mógłby się udać 250 lat wcześniej…

Niekoniecznie w maju...

Myślę, że nie, że to jest ahistoryczne rozumowanie, ponieważ jeśli nie cała szlachta, to jej większość stanęłaby wtedy przeciw królowi. Takie postępowanie bowiem nie zgadzało się z ówczesnymi mentalnością i obyczajami. Możemy nad tym ubolewać, pomstować na to, ale taka była rzeczywistość psychologiczna i ustrojowa Rzeczypospolitej.

Krytyczna jest natomiast pana ocena postaci Stanisława Leszczyńskiego, a przecież jego rządy mogły zapobiec saskiej degrengoladzie.

Panowanie Augusta II trwało z przerwami czy z przerwą od 1697 r. do 1733 r. Niezależnie od tego, że okres ten postrzegamy jako ciąg wydarzeń niedobrych dla Polski, był on najzupełniej legalnie wybranym królem. Natomiast Stanisław Leszczyński kojarzy się nam z jego, niedoszłym, drugim panowaniem, po roku 1733, kiedy był rzeczywiście reprezentantem polskiej szlachty. Kiedy jednak zaistniał jako król po raz pierwszy, był w istocie szwedzką marionetką.

Marionetką Karola XII.

Szwecja najechała wtedy na Polskę po fatalnym wplątaniu Rzeczypospolitej w wojnę z nią przez Augusta II, który liczył na to, że bezproblemowo da sobie radę z 16-latkiem na szwedzkim tronie. Nie przewidział, że ten 16-latek będzie najbardziej genialnym wodzem, którego Szwecja miała w swojej historii, a miała paru wybitnych wodzów. Karol XII raz jeszcze spustoszył Rzeczpospolitą, a na Leszczyńskiego wskazał jako na tego, kto miałby być przeciwwagą dla polskiego króla. Wybór jego padł na człowieka bez żadnego zaplecza politycznego i, co gorzej, bez woli. Ten król ze szwedzkiej łaski był najbardziej żałosną postacią w naszej historii.

Aż tak?

Aż tak, tak uważam. Po tym, jak Karol XII przegrał batalię z Moskwą pod Połtawą, ta marionetka nie mogła się w Warszawie utrzymać. Inna była sytuacja Leszczyńskiego po śmierci Augusta II Mocnego, kiedy został wybrany na króla niemal jednogłośnie. Jak niedawno szczegółowo obliczono, na elekcji otrzymał 11 tys. głosów, a kontrkandydat zaledwie 600. Ale Rosja zakwestionowała ten wybór, w tym sensie, że po prostu wysłała wojsko i tak siła zatriumfowała nad prawem. Niemniej Leszczyński znów nie spełnił się w roli obrońcy Rzeczypospolitej, bo czmychnął do Gdańska, zamiast stanąć na czele wojsk, a mieliśmy jeszcze kilkanaście tysięcy żołnierzy, którzy mogli przynajmniej próbować powstrzymać najazd rosyjski. Wolał jednak zajmować się miłostkami z pięknymi gdańskimi mieszczkami, podczas gdy Gdańszczanie bohatersko bronili swego miasta i Rzeczypospolitej przez wiele miesięcy ciężkiego oblężenia. Po kapitulacji Gdańska szczęśliwie udało mu się uciec i odnaleźć w Lotaryngii i to był najładniejszy okres jego biografii. A generalnie jego powrót na wielką scenę dziejową wziął

eprasa.pl 97a3749d10

się z tego, że akurat Ludwik XV wybrał córkę Leszczyńskiego na, przepraszam za określenie, klacz rozrodczą dla dynastii Burbonów. Sprawdziła się Maria Leszczyńska w roli królowej i matki, a raczej babki królów, bo jej syn akurat koronacji nie doczekał, natomiast kilku jej wnuków zostało królami Francji, w trudnych okolicznościach – że tak delikatnie powiem – rewolucji francuskiej. Niektórzy z nich stracą głowę, inni tylko tron.

Smutne, że z ostatniej koronacji w królewskim Krakowie – Augusta III w roku 1733 – bardziej z pewnością cieszono się, hucznie ją obchodząc, w Lipsku czy Dreźnie niż nad Wisłą.

Półżartem powiem, że jest to warszawski punkt widzenia, bo z krakowskiego wygląda to tak, że po tej istotnie ostatniej koronacji na Wawelu król dożył swoich dni, a potem była – już gdzie indziej – następna koronacja. Gdy jednak kolejny król koronował się już nie w Krakowie, a w Warszawie, to następnej koronacji w Polsce już nie było, gdyż król haniebnie oddał tron Rosjance. Proszę nie rozpatrywać tej kwestii w kategoriach odwiecznej wojny krakowsko-warszawskiej, bo sam czując się właśnie krakowsko-warszawski, podzielam pogląd, że warto koronować się w Krakowie.

Siódmy tom „Dziejów Polski" zatytułowany przez pana „Upadanie i powstawanie", ukazując ponurą raczej rzeczywistość chylącej się ku upadkowi Rzeczypospolitej, zawiera także – na szczęście – promyki nadziei. Na przykład ks. Stanisław Konarski akcentuje znaczenie niepodległości, czegoś dotąd nierozumianego i niedocenianego.

Dla mnie jest on największym bohaterem historii XVIII stulecia, który to światełko nadziei zapalił, upowszechniając swoją pracą edukacyjną pojęcie niepodległości i wskazując środki na jej mozolną odbudowę, od podstaw. Potrzebna była do tego edukacja elit, bo bez patriotycznych elit trudno jest odbudować suwerenność państwa. Nad tym właśnie pracował co najmniej od 30. roku życia.

Przy okazji wbijając do szlacheckich głów tę, zdawałoby się, oczywistą prawdę, że „szaleniec ten, kto mniema, że Niemcy i Moskale mocniej pragną dobra Polski niż sami Polacy".

Tymczasem to tamci dokładali wszelkich starań, by uprzedmiotowić Rzeczpospolitą i ostatecznie doprowadzić Polskę do upadku. Bardzo często w naszych rozważaniach o przeszłości, także w naszej historiografii, skupiamy się na winach własnych. Były takie i piszę o nich w „Dziejach Polski", o ustrojowych błędach, błędach monarchów i magnaterii, ale skumulowany wysiłek naszych sąsiadów, by unicestwić polskie państwo, jest tu kluczowym elementem.

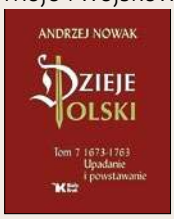

ANDRZEJ NOWAK
„DZIEJE POLSKI", TOM 7: „UPADANIE I POWSTAWANIE"
BIAŁY KRUK 2025

Rozbiór Polski planowany był od dawna. Pionierski plan takiego rozbioru sporządziły Prusy już w 1725 r., oczywiście pod hasłami rozwinięcia w naszym kraju handlu, przemysłu i zapewnienia wolności – naturalnie dla protestantów. Ale też szczerze nienawidził Polski np. senior Kościoła ewangelicko-reformowanego na Litwie, Daniel Ernest Jabłoński. To u niego pierwszy raz pojawia się sugestia, że Polskę zmodernizować można dopiero przez częściowy rozbiór, którego dokonają oświecone i tolerancyjne Prusy z przyzwoleniem Rosji.

A plan ten zakładał utworzenie obozów internowania dla przedstawicieli polskiej elity szlacheckiej. Bardzo to, jak widać, nowoczesne i modernizacyjne.

Panie profesorze, przez całe lata wbijano nam do głów, że to szlacheckie liberum veto leżało u podstaw upadku Rzeczypospolitej. Jak się zdaje, jest pan innego zdania.

Są dwie szkoły historyczne: warszawska i krakowska. Jako że jestem z Krakowa, zdecydowanie bliższa jest mi szkoła warszawska, podkreślająca pierwszoplanowe znaczenie zaborczych planów i ich realizacji przez imperialnych sąsiadów Rzeczypospolitej. Czyli gdyby nie było Rosji imperialnej, nie było Prus marzących, powiedziałbym, od zakonu krzyżackiego o likwidacji Korony Królestwa Polskiego i gdyby nie było imperium Habsburgów, które zdecydowało się pomóc tym dwóm antypolskim ośrodkom, to żadne wady ustrojowe nie zaszkodziłyby Rzeczypospolitej. Po prostu Rzeczpospolita nie była wyspą i nadal nią nie jest, mamy tylko takie, a nie inne położenie geopolityczne, żyjąc w najciekawszym miejscu Europy, tzn. między Rosją i Niemcami, a przez wieki z największą liczbą ludności żydowskiej w środku. I to czyni naszą historię tak ciekawą, a o tym trzecim, żydowskim aspekcie naszych dziejów także piszę w siódmym tomie swej pracy, bo w połowie wieku XVIII dzieją się w społeczności żydowskiej ważne rzeczy. Myślę tu o narodzinach ruchu znanego pod popularnym określeniem chasydyzmu i fenomenie frankizmu. Nie wiążę tego oczywiście z rozbiorami, ale nasza sytuacja jest szczególna nie dlatego, że mamy jakieś złe cechy narodowe, odróżniające nas od reszty mądrych i roztropnych Europejczyków, tylko dlatego, że mamy określone położenie geopolityczne. Abstrahowanie od tego jest, po prostu, niemądre.

Jeden z rozdziałów tomu „Dziejów Polski", o którym rozmawiamy, zatytułował pan „Imposybilizm albo gdzie jest dusza Rzeczypospolitej". Panie profesorze, gdzie jest ta dusza dzisiaj?

Najpierw powiem, że tytuł ten nawiązuje do rozważań Jana III Sobieskiego, który ze swoim lekarzem prowadził dysputy o charakterze naukowo-teologicznym. Ten naprawdę mądry człowiek zastanawiał się m.in., gdzie umiejscowiona jest dusza, a to ważny problem. A gdzie jest dzisiaj dusza Rzeczypospolitej? Myślę, że przynajmniej po części w pamięci. Jeśli damy sobie zabrać pamięć o tym, co zbudowało tę wielką kulturę, której symbolami są Mickiewicz, Chopin, Kochanowski, do którego 500. rocznicy urodzin się zbliżamy i trzeba się do niej dobrze przygotować, bo bez Kochanowskiego nie byłoby czegoś bardzo ważnego, czyli wielkiej polskiej literatury. Otóż stracimy duszę Rzeczypospolitej, jeśli damy sobie zabrać pamięć o tym, skąd się to wzięło i jakiego trudu wymagało utrzymanie tego polskiego domu, żeby rozkwitła cudowna kultura i żebyśmy dzisiaj mogli się cieszyć tym, czym się cieszymy, czyli względnym dobrobytem.

To nie jest tak, że Unia Europejska przyniosła nam wszystko. Nie jest tak oczywiście, że to myśmy – co powtarzamy półżartem – nauczyli jeść Francuzów nożem i widelcem, ale nie jest też prawdą, że Niemcy czy Francuzi nauczyli nas wiązać sznur do snopowiązałki. Rzeczpospolita ma swoje tradycje będące częścią chrześcijańskiej europejskiej tradycji. Częścią tej naszej tradycji jest wyjątkowe umiłowanie wolności jednostki. Tak że w tej pamięci, o którą się upominam i o którą proszę, mieszczą się kultura i wolność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Pogrom nauki

Jak została ukształtowana nauka w Polsce Ludowej? Przez pierwsze lata komuniści korzystali ze starych, przedwojennych kadr, nie mieli bowiem swoich, poza pojedynczymi przypadkami, przywiezionymi ze Związku Sowieckiego. Komunizm jako ideologia i ruch polityczny nie był popularny w kręgach naukowych. Stara kadra była zatem dokładnie obserwowana pod kątem przydatności, a w tym czasie trwała pośpieszna „produkcja" własnych magistrów i doktorów. Natomiast w 1948 r. i ta dziedzina zaczęła być stalinizowana.

Myśląc „pogrom nauki w Polsce", przedstawia się rzekomą tragedię marca 1968 r., gdy walki frakcyjne w PZPR doprowadziły do emigracji części „naukowców" Polski Ludowej. Czy wszyscy spełniali elementarne kryteria, aby można było uznać ich za elitę intelektualną? W niektórych przypadkach tak, ale większość była wytworem „produkcji" dla potrzeb ideologii.

Tymczasem w 1948 r. doszło do prawdziwego pogromu na uczelniach i w instytutach, polegającego na usuwaniu przedwojennej kadry i obsadzaniu opróżnionych stanowisk nuworyszami i wydwiżeńcami. Nagle zrobiły się dla nich miejsca, które pośpiesznie zajmowali, na ogół nie mając elementarnych kwalifikacji. Tylko niektórzy z nich „studiowali" podczas wojny w Związku Sowieckim i tam zdobywali ustrojowe kwalifikacje.

Jak wyglądała „wymiana kadr w nauce", widzimy na podstawie dokumentu, sporządzonego przez towarzysza Stefana Żółkiewskiego w czerwcu 1948 r. Syn Jana Zachariasza ukończył polonistykę na UW, od 1945 r. był zastępcą członka KC PPR. Jego elaboratem były „Propozycje dotyczące planowego przygotowania marksistowskich kadrów [pisownia oryginalna] naukowych w zakresie nauk humanistycznych". Określał on, kto może zostać na stanowiskach naukowych, a kto nie. Na przykład prof. Juliusz Kleiner – „należy go odsunąć od bezpośredniego wpływu na młodzież"; prof. Stanisław Pigoń – „należy go odsunąć"; prof. Kazimierz Wyka – „bliski marksizmu". Ciekawe są propozycje awansowania PPR-owców – Romana Werfla, Żanny Kormanowej, Witolda Kuli, Marii Turlejskiej (nie mogę znaleźć jej magisterium i pracy doktorskiej), Jana Kotta.

Magister Stefan Żółkiewski na stanowisko profesora… zaproponował samego siebie. Propozycjami awansu objęci byli młodzi, waleczni marksiści: Maria Janion, Tadeusz Drewnowski, Renata Szwarc i inni.

Tak wyglądał prawdziwy pogrom nauki polskiej i implementowanie „nowych kadrów" w miejsce osób usuwanych. Czy ktoś kiedyś zbada na poważnie to zjawisko? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zaślubiny z morzem

Chociaż traktat wersalski przyznał Polsce dostęp do Bałtyku, to władze w Warszawie nie wierzyły w pokojowe wprowadzenie w życie jego postanowień. Dlatego w październiku 1919 r. powołano Front Pomorski, którego zadaniem było opanowanie przyznanego Polsce terytorium i utrzymanie tam spokoju.

W skład Frontu weszły głównie oddziały „błękitnej armii" Józefa Hallera, był to zresztą jedyny w Polsce związek operacyjny jednolicie uzbrojony i umundurowany. Do większych incydentów nie doszło, jedynie pod Gniewkowem, Wygodą i Brannem złamano opór niemieckiej straży granicznej. Wkraczające wojska Frontu Pomorskiego entuzjastycznie witała polska ludność, co Haller wykorzystywał do budowania własnej pozycji. Generał miał ambicje polityczne i wiedział, że legenda zdobywcy Pomorza może być jego atutem. Unikał jednak zbędnych prowokacji i przejeżdżając pociągiem przez Gdańsk, nie opuścił wagonu. Podczas postoju na dworcu przyjął jednak od miejscowej Polonii dwa platynowe pierścienie (właściwie obrączki), które miały posłużyć do zaślubin Polski z morzem. Dar wręczył mu dr Józef Wybicki, potomek twórcy polskiego hymnu, co miało symboliczne znaczenie.

Zaślubiny Polski z morzem odbyły się 10 lutego 1920 r. w Pucku. Hallerowi towarzyszyła delegacja rządu i Sejmu RP. Przygotowano maszt, dookoła którego stanęli ze sztandarami przedstawiciele pułków Frontu Pomorskiego oraz oddział ułanów krechowieckich z artylerią. Przemawiał Haller, następnie głos zabrał minister spraw wewnętrznych (późniejszy prezydent), Stanisław Wojciechowski. Duchowni poświęcili banderę morską wciągniętą następnie na maszt przy dźwiękach „Mazurka Dąbrowskiego" i huku salw armatnich. Zanurzono w morzu sztandary, co było jednak nieco utrudnione z powodu lodu w Zatoce Puckiej. Następnie odbyła się Msza polowa.

W czasach II RP popularnym obrazem patriotycznym były „Zaślubiny Polski z morzem" Wojciecha Kossaka. Artysta, malując w 1931 r. obraz, dał się jednak ponieść fantazji, Haller nie wjechał bowiem konno w morze. Ze względu na pogodę stanął tylko nad brzegiem i wrzucił jedną z obrączek do wyrąbanej specjalnie przerębli.

Drugą obrączkę założył na palec i nosił do końca życia. Wprawdzie uroczystość wymagała podobnej obrzędowości, ale zachowanie pierścienia przez Hallera wzbudza pewne zdziwienie. Ostatecznie to Rzeczpospolita, a nie generał, dokonała zaślubin z morzem, a generał występował tylko jako jej przedstawiciel. Haller miał jednak inne zdanie i dopiero po jego śmierci obrączka trafiła do muzeum Fawley Court prowadzonego przez polskich księży marianów. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NASI NAJWIĘKSI HETMANI – AUTORSKI RANKING JACKA KOMUDY

Pięć lwów Lechistanu – Wielcy wodzowie tworzyli legendę dawnej Polski. Byli wybawicielami, obrońcami i lwami warującymi na granicach Lechistanu. Kiedy ich zabrakło, sarmacka republika zaczęła walić się w otchłań

Polacy z NKWD przeciw UPA – Większość moich rozmówców była przekonana o słuszności swojej decyzji o wstąpieniu do Istriebitielnych Batalionów – mówi prof. Damian K. Markowski

Średniowieczne lekarki na ratunek – Kiedy wspomina się słynne kobiety średniowiecza, na myśl przychodzą przede wszystkim królowe i święte. A przecież fascynującym rozdziałem historii są losy ówczesnych lekarek i uzdrowicielek

Wolność na Placu Czerwonym – Maleńki protest pod murami Kremla wywołał całą lawinę zdarzeń

Polska misja Hoovera – Tysiące polskich dzieci maszerowało w Warszawie przed wzruszonym Herbertem Hooverem, przyszłym prezydentem USA, wyrażając wdzięczność za ratunek przed głodem

Szumowiny Kamińskiego – Żołnierze Bronisława Kamińskiego okazali się zgrają degeneratów, których nawet Niemcy mieli dość w swoich szeregach. Pełnię swojego okrucieństwa ci Rosjanie w służbie III Rzeszy pokazali w trakcie powstania warszawskiego

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 97a3749d10

„Ruska Wspólnota" jest wpływową organizacją ultranacjonalistyczną w Rosji
FOT. VK.COM/OBSHINA_RUS

Na prawo od Putina

Maciej Pieczyński

Prowadzą własną krucjatę przeciwko muzułmanom, których w Rosji jest coraz więcej. Kłócą się nawet z wszechwładnymi kadyrowcami. Bojówkarze z „Russkiej Obszczyny" tworzą nową falę nacjonalizmu w państwie Putina. Choć są na pasku FSB, to mogą być groźni nawet dla Kremla

Rosja z pozoru wydaje się monolitem, zarządzanym twardą ręką przez nieznoszącego sprzeciwu dyktatora. W rzeczywistości pod tym dywanem toczy się walka buldogów, zabiegających o dostęp do ucha Putina. Jedna z osi wewnętrznego sporu przebiega między Rosją muzułmańską a Rosją nacjonalistyczną. Oficjalnie górą jest ta pierwsza. Propaganda imperium podkreśla jego wielonarodowy charakter i doniosłą rolę islamu jako jednej z kilku (obok prawosławia, buddyzmu i judaizmu) tradycyjnych religii dla rdzennych mieszkańców terytorium państwa. Jednak coraz bardziej do głosu dochodzą radykalni nacjonaliści, pozycjonujący się „na prawo od Putina" i otwarcie sprzeciwiający się islamizacji Rosji. Ich główną siłą jest, powstała w 2020 r., „Russkaja Obszczina" – „Ruska Wspólnota".

AWANTURA NA BASENIE

Latem 2025 r. na jednym z basenów w Ługańsku pijany Czeczen w niewybredny sposób zaczepiał młode kobiety, próbował je obmacywać. W obronie jednej z nich wystąpił jej mąż. Doszło do szarpaniny. Zainterweniował odpoczywający na tym samym basenie Maksim Diwnicz, zawodnik MMA, skrajnie prawicowy bloger i zarazem bojówkarz „Russkiej Obszczyny". Przybysz z Kaukazu nie chciał się uspokoić, więc rosyjski nacjonalista ostudził jego zapał za pomocą pięści. Czeczen nie dał za wygraną. Krzyczał, że jest żołnierzem czeczeńskiego specnazu „Achmat". Nagranie zajścia opublikował w Internecie sam Diwnicz. Publicznie zażądał wyjaśnień od dowódcy „Achmata", gen. Aptiego Alaudinowa. Rzucił w ten sposób wyzwanie prawej ręce Ramzana Kadyrowa.

Szybko się wyjaśniło, że czeczeński awanturnik nazywa się Alichan Biersajew i jest żołnierzem, ale nie „Achmata", tylko rosyjskiej jednostki karnej „Sztorm-Z", w której znalazł się jako przestępca, skazany za wymuszenie. Diwnicz skorygował swój post na temat incydentu i opublikował na Telegramie sprostowanie. Alaudinow uznał, że to za mało, i zażądał przeprosin. Zaapelował też o pociągnięcie Diwnicza do odpowiedzialności karnej za dyskredytację rosyjskich sił zbrojnych.

Przez kolejne miesiące bloger nacjonalista i dowódca kadyrowców wymieniali się „uprzejmościami". Alaudinow najpierw skrytykował Biersajewa i oświadczył, że awanturnik trafił tam, gdzie jego miejsce, czyli na front. Jednak w grudniu zmienił podejście. Oświadczył, że Biersajew będzie sądzony za samowolne opuszczenie jednostki, ale już nie za bójkę na ługańskim basenie, w której – jak przekonuje współpracownik Kadyrowa – stroną agresywną był Diwnicz. Alaudinow opublikował swoją wypowiedź 24 grudnia, przy okazji deklarował zatem szacunek dla prawosławnych i pojednawczo przypominał, że muzułmanie uważają Chrystusa za swojego proroka. Zamiast się kłócić, rosyjscy wyznawcy islamu i chrześcijaństwa powinni się jednoczyć w walce ze wspólnym wrogiem, czyli z satanistycznym Zachodem.

Dzień wcześniej w Internecie pojawił się apel żołnierzy „Achmata" do Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej, FSB oraz MSW o pociągnięcie Maksima Diwnicza do odpowiedzialności karnej za szerzenie międzyetnicznej i międzywyznaniowej nienawiści. Na nagraniu widać kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby kadyrowców. Apel wygłasza jeden z nich, z dumą przedstawiając „Achmat" jako „najbardziej wielonarodowy pododdział Federacji Rosyjskiej" i wymieniając reprezentowane w jego szeregach narodowości. Przesłanie można streścić następująco: „My, kadyrowcy, walczymy dzielnie na froncie z wrogiem, podczas gdy na tyłach nacjonalista dyskredytuje nasze wysiłki i nie tylko nic nie robi dla państwa, lecz także temu państwu szkodzi". Iwan Filippow, niezależny rosyjski publicysta, zajmujący się Z-blogosferą, skomentował ten ruch kadyrowców jako zagranie va banque. Alaudinow już wcześniej popadał w konflikty z nacjonalistami. Po raz pierwszy jednak, używając swoich podkomendnych, zażądał od organów państwa ukarania znanego Z-aktywisty.

Współpracownik Kadyrowa się przeliczył. Za Diwniczem wstawiła się nie tylko „Russkaja Obszczina", lecz także wielu bezpośrednio z nią niezwiązanych Z-blogerów. W licznych komentarzach bojówkarz nazywany był utalentowanym sportowcem, wierzącym chrześcijaninem i wielkim patriotą. Podkreślano, że Diwnicz (już po „basenowej awanturze", jesienią 2025 r.) zaciągnął się do armii i poszedł walczyć na froncie. Zatem rosyjska Z-blogosfera, mając

eprasa.pl 97a3749d10

do wyboru zawodnika MMA, który dopiero niedawno postanowił wziąć do ręki broń, oraz cały oddział kadyrowców, uczestniczący w „specoperacji" (z różnym powodzeniem – przezwisko Tiktokowe Wojska nie wzięło się znikąd, ale jednak samego udziału w wojnie odmówić im nie można), staje po stronie tego pierwszego. Nagrania z wyrazami solidarności z Diwniczem publikowali zarówno popularni z-blogerzy, tacy jak Rybar czy Jurij Podolaka, jak i żołnierze walczący na froncie.

Ostatecznie to właśnie aktywista „Ruskiej Wspólnoty" wygrał ten wielomiesięczny konflikt. Na początku tego roku Komitet Śledczy poinformował Diwnicza, że sprawa awantury na basenie została zakończona. Nacjonalista nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Natomiast Biersajew sądzony jest za starą sprawę (wymuszenie) oraz za dezercję, w związku z czym stracił szansę, by wyjść na wolność poprzez służbę w batalionie karnym.

CYWILIZACYJNE ZAGROŻENIE

Dlaczego dowódca specnazu, reprezentujący w pewnym sensie całą republikę, przegrał z pojedynczym nacjonalistą? Po pierwsze, spora część Z-patriotów ma dość zarówno wieloletniej wszechwładzy kadyrowców, jak i ukraińskich kpin na ten temat (Kijów często przedstawia Rosjan jako marionetki Kadyrowa, którego rola jest nad Dnieprem często wyolbrzymiana). Po drugie, co związane z pierwszym, rosną popularność nacjonalizmu oraz niechęć do islamu. I tutaj dochodzimy do fenomenu, którym jest „Ruska Wspólnota". Zdaniem Iwana Filippowa ta założona w 2020 r. organizacja znaczy dziś w rosyjskiej polityce więcej niż Apti Alaudinow. Czeczenia jest w odwrocie. O rzekomo umierającym przywódcy republiki zachodnie media rozpisują się dziś niemal tak często, jak kiedyś o „śmiertelnie chorym" Putinie. Jednak w przypadku Ramzana Kadyrowa jest to tylko częściowo myślenie życzeniowe, bo akurat jego stan zdrowia faktycznie jest zły (choć raczej nie tragiczny). Jego ukochany syn, typowany na następcę, Adam Kadyrow przeżył niedawno poważny wypadek drogowy, który sam spowodował. A teraz najważniejszy oficer Czeczenii dostaje po łapach od szeregowego nacjonalisty. To oczywiście nie oznacza wielkich zmian na Kaukazie. Niezależnie od kondycji swoich obecnych przywódców Czeczenia pozostanie islamską enklawą wewnątrz Rosji, ale wobec tejże Rosji lojalną.

Alaudinow nie jest najważniejszym wrogiem dla nacjonalistów. „Ruska Wspólnota" wyrosła na sprzeciwie wobec muzułmanów, ale nie tych rdzennych, od wieków żyjących na terenie imperium, tylko wobec imigrantów ekonomicznych z Azji Środkowej. Na tym polu jej sojusznikiem do pewnego stopnia jest nawet patriarcha Cyryl. Hierarcha niejednokrotnie publicznie przestrzegał przed nadmierną otwartością na przybyszów z krajów islamskich, którzy niekoniecznie szanują kulturę kraju przyjmującego. W czerwcu 2025 r. „Rossijskaja Gazieta" opisała sondaż, z którego wynika, że 43,5 proc. imigrantów ekonomicznych woli żyć w zgodzie z prawem szariatu, niż przestrzegać prawa świeckiego. Badanie dotyczyło gastarbeiterów z Kirgistanu, Uzbekistanu i Tadżykistanu. Świadomość cywilizacyjnego zagrożenia ze strony przybyszów z Azji Środkowej staje się zatem coraz bardziej powszechna.

Niechęć do przyjezdnych muzułmanów wzrosła po zamachu na Crocus City Hall. Wtedy też wzrosła popularność „Ruskiej Wspólnoty". Pod względem ideologicznym organizacja występuje przeciwko muzułmanom, liberałom i LGBT, popiera wojnę z Ukrainą. „Specjalizuje się" jednak w walce z wewnętrznymi wrogami.

W lipcu 2023 r. „Ruska Wspólnota" pochwaliła się, że z jej inicjatywy w podmoskiewskich Kotielnikach funkcjonariusze OMON zaatakowali muzułmański dom modlitwy, szukając tam nielegalnych imigrantów. W styczniu 2024 r. rosgwardziści sterroryzowali kirgiskich robotników na jednej z budów, każąc im chodzić na kolanach. A to wszystko nagrali i opublikowali w Internecie bojówkarze „Ruskiej Wspólnoty". Miesiąc później nacjonaliści donieśli na właściciela kawiarni, który wyprosił z lokalu weterana wojny za złe zachowanie. Przedsiębiorca został ukarany grzywną. W sierpniu 2024 r. bojówkarze zdemolowali prowadzony przez imigrantów warzywniak, po czym zachęcali przechodniów, by kradli sprzedawane tam warzywa i owoce. Obecni przy tym incydencie policjanci nie reagowali.

Z jednej strony, „Ruska Obszczina" irytuje nie tylko Alaudinowa, lecz także wielu innych przedstawicieli obozu władzy. Swego czasu naczelny kremlowski propagandysta Władimir Sołowjow wezwał nacjonalistów, by poszli na front i tam spożytkowali swoją patriotyczną energię. To zaś każe się zastanawiać, czy nie jest to siła wobec Kremla opozycyjna. Gdyby taka była prawda, należałoby uznać, że to właśnie nacjonaliści są prawdziwą opozycją, a nie przebywający na emigracji prozachodni liberałowie. Bo przecież cieszą się nieporównanie większym poparciem w kraju. Można zaryzykować stwierdzenie, że dla Rosjan obrona przed islamizacją jest ważniejsza niż marzenie o porozumieniu z Zachodem. „Ruska Obszczina" odpowiada na emocje wielu swoich rodaków. W tym też weteranów.

Z drugiej jednak strony, postrzeganie nacjonalistów jako prawicowej alternatywy dla Putina byłoby naiwnością. Gdyby byli oni podziemiem, nie współpracowaliby tak otwarcie z funkcjonariuszami służb. Według doniesień niezależnego portalu Meduza „Ruska Obszczina" jest projektem FSB, mającym na celu zagospodarowanie energii radykałów. Inne źródła wskazują na szefa Komitetu Śledczego Aleksandra Bastrykina jako na „ojca chrzestnego" bojówek. Bastrykin reprezentuje „islamofobiczną" basztę Kremla. Tak czy siak, nacjonaliści są wygodni dla resortów siłowych – często wykonują za nie brudną robotę, w zarodku dusząc potencjalną islamizację. Putin, stojąc na czele wielonarodowego imperium, musi mieć do dyspozycji zarówno lojalnych muzułmanów, podkreślających, jak wspaniale się czują w takim tolerancyjnym, antyfaszystowskim kraju, jak i radykalnych nacjonalistów, gotowych wyrżnąć wszystkich „czarnych" (jak pogardliwie mówi się w Rosji o mieszkańcach Kaukazu czy Azji Środkowej). Kremlowska propaganda raz sławi „wielonarodowy lud", raz podkreśla „wiodącą rolę narodu rosyjskiego". Oba obozy popierają wojnę. Oba zabiegają o względy władzy i proszą Putina o wstawiennictwo. Oba też są zbyt słabe, by zmienić „mistrza gry", rozdającego uczestnikom konkretne role. Dopóki Czeczenia nie łączy się z Tatarstanem i Baszkirią, aby tworzyć kalifat i wyrzynać prawosławnych, dopóty jedność Rosji jest zapewniona. Dopóki nacjonaliści napadają na migrantów, ale nie ruszają z krucjatą na Grozny czy Kazań, dopóty jedność Rosji jest zapewniona. I tak tą całą polityczną mozaiką rządzi jeden człowiek i jego otoczenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Owocna katastrofa Delta Force

Piotr Włoczyk

Porwanie Nicolása Maduro przejdzie do historii misji specjalnych. Osiągnięcie takiej sprawności kosztowało jednak Delta Force sporo krwi. Kluczowym momentem w historii tej jednostki była katastrofa w Iranie, nazywana niekiedy najbardziej udaną klęską w historii sił zbrojnych USA; w jej wyniku doszło do wielu bardzo istotnych zmian

Na zdjęciach z Mar-a-Lago, florydzkiej rezydencji Donalda Trumpa, widzieliśmy najważniejszych amerykańskich decydentów zgromadzonych wokół prezydenta USA, wpatrujących się w napięciu w monitory.

Po fakcie Waszyngton mógł ogłosić wielki sukces, ale przecież wtedy jeszcze nic nie było pewne. Ostatecznie tylko jeden ze śmigłowców transportujących operatorów Delta Force został poszatkowany przez pociski, ale mogło być dużo gorzej. Tak jak w 1980 r. w Iranie, gdy Delta Force miała uwolnić amerykańskich zakładników przetrzymywanych w ambasadzie USA w Teheranie. Zamiast spodziewanego triumfu Amerykanie musieli wtedy wycofać się „z podkulonym ogonem", zostawiając na pustyni zwęglone zwłoki swoich żołnierzy i spalone wraki maszyn. Z tamtego spektakularnego fiaska Amerykanie wyciągnęli jednak naukę i sprawili, że Delta Force wspięła się na absolutny szczyt profesjonalizmu. Donald Trump na pewno świetnie też pamięta, jak tamto fiasko odbiło się na notowaniach Jimmy'ego Cartera.

BYĆ JAK SAS

Wszystko zaczęło się od uporu jednego człowieka, płk. Charlesa Beckwitha, który w czasie wojny w Wietnamie służył w Zielonych Beretach. Beckwith odpowiadał za organizowanie misji specjalnych i szkolenie południowowietnamskich komandosów. Mimo że podlegli mu ludzie należeli do elity US Army, pułkownik uważał, że Amerykanie powinni mieć do dyspozycji jeszcze lepszych specjalistów. Beckwithowi chodziło przede wszystkim o zdolność do eliminowania świetnie chronionych celów, a także do odbijania zakładników. W latach 70. terroryzm stawał się coraz większą plagą, a USA nie posiadały jednostki, która byłaby szkolona do wykonywania takich zadań. Amerykanów wyprzedzali pod tym względem choćby Brytyjczycy i Beckwith z zazdrością patrzył na tam-

eprasa.pl 97a3749d10

FOT. ADOBE STOCK

tejszy SAS (Special Air Service), elitarną jednostkę wojsk lądowych Zjednoczonego Królestwa.

„Nie da się wziąć kilku ludzi z jednej jednostki, połączyć ich z innymi, dać im sprzęt kogoś jeszcze innego i mieć nadzieję, że uda się w ten sposób stworzyć elitarną grupę bojową" – mówił Beckwith, starając się w latach 70. przekonać decydentów z Pentagonu, że czas powołać amerykański SAS. W końcu jednak dopiął swego i Departament Obrony zlecił mu stworzenie takiej jednostki.

Rozmawiałem na ten temat z mjr. Loganem Fitchem, emerytowanym oficerem Delta Force, który pomagał płk. Beckwithowi tworzyć tę jednostkę, a w 1980 r. brał udział w słynnej nieudanej operacji na irańskiej pustyni.

– Oficjalnie zostaliśmy powołani do życia w 1977 r., ale dostaliśmy jeszcze dwa lata, żeby znaleźć, wyszkolić i wyekwipować naszych żołnierzy – mówił w rozmowie ze mną mjr Logan Fitch. – Zgodnie z planem mieliśmy być gotowi do akcji w październiku 1979 r. Przejrzeliśmy przez ten czas 10–15 tys. teczek osobowych najlepszych żołnierzy w naszych siłach zbrojnych. W październiku 1979 r. mieliśmy ok. 90 w pełni wyszkolonych ludzi.

Delta Force zyskała zdolność bojową w idealnym momencie, bo już miesiąc później tłum Irańczyków popierających rewolucję islamską zaatakował amerykańską ambasadę w Teheranie. 4 listopada 1979 r. świat obiegły zdjęcia dyplomatów USA przetrzymywanych przez uzbrojonych „studentów". Był to ogromny cios w wizerunek globalnego supermocarstwa. O tym, jak doszło do ataku na ambasadę, i dlaczego Waszyngton ignorował niepokojące sygnały, opowiadał mi Mark Lijek, emerytowany amerykański dyplomata, który pracował wtedy w Iranie.

– Teren amerykańskiej misji w Teheranie był potężny – 26 akrów, ponad mila muru. My jednak mieliśmy tylko tuzin marines i kilku irańskich strażników na cały ten obszar! Byłem w Teheranie już od czterech miesięcy i przyzwyczaiłem się do protestów. Kiedy zaczął się atak, myśleliśmy, że nie będzie tak źle: demonstranci zorganizują konferencję, a potem opuszczą teren ambasady – mówił mi Lijek.

Gdy sytuacja robiła się coraz groźniejsza, amerykańscy dyplomaci zakładali, że tymczasowe irańskie władze wyślą wojsko i przywrócą porządek, by nie rozdrażnić USA. Jednak okazało się, że były to płonne nadzieje.

– Przedstawiciele rządu przyznawali wprost w mediach, że tracą wpływy. Islamiści przechwytywali właśnie władzę. Już wcześniej przekazywaliśmy do Waszyngtonu wiele sygnałów, że Irańczycy nie za bardzo nas chronią, a my sami mamy zbyt małe siły, żeby odeprzeć atak. Ale nasi decydenci nie chcieli nas słuchać – tłumaczył Lijek. I dodawał: – Islamiści stanęli przeciw politykom świeckim, zorientowanym prozachodnio. Przejęcie ambasady, które bardzo zaogniło sytuację w kraju, było ostatecznym ciosem zadanym tej ostatniej grupie. Atak na naszą ambasadę wcale nie był spontanicznym zdarzeniem, ta akcja miała dobrze przemyślany cel. Waszyngton niewłaściwie oceniał sytuację w Iranie. Nasi politycy żywili nawet nadzieje na poprawę stosunków z nowym rządem! CIA nie miała tam żadnej swobody ruchu, jej działania były w zasadzie sparaliżowane. O ile mi wiadomo, CIA miała tam... trzech oficerów.

Krach operacji Delta Force w Iranie sprawił, że prezydent Jimmy Carter pół roku później poniósł tak dotkliwą klęskę w wyborczym starciu z Ronaldem Reaganem

Lijek był jednym z sześciu Amerykanów, którym udało się wymknąć tamtego dnia z kompleksu ambasady. Nie musiał czekać na odsiecz komandosów, bo 28 stycznia 1980 r. został wywieziony z Iranu (wraz z pozostałą piątką) w tajnej operacji CIA, na której bazie powstała hollywoodzka superprodukcja „Operacja Argo".

„DESERT ONE"

Zdjęcia poniewieranych przez Irańczyków dyplomatów USA były kompromitujące dla Waszyngtonu. W końcu, gdy negocjacje nie przynosiły efektów, Jimmy Carter stwierdził, że trzeba użyć najnowszego narzędzia w arsenale Pentagonu i uwolnić siłą 52 przetrzymywanych Amerykanów. Misja ta przeszła do historii jako „Orli Szpon" (ang. „Eagle Claw").

– Gdy powierzono nam wykonanie tej misji, powiedziałem sobie w myślach: „OK, teraz po prostu to zróbmy!" – wspominał mjr Fitch. – Wiedziałem, że mamy najlepszych ludzi na świecie i jeżeli nie będziemy w stanie przeprowadzić tego pomyślnie, to oznaczałoby to, że jest to fizycznie niewykonalne. Przeczuwałem, że poniesiemy straty i że niektórzy zakładnicy zginą w trakcie tej operacji. Byłem jednak prawie stuprocentowo przekonany, że uda się nam doprowadzić ją szczęśliwie do końca.

Komandosi płk. Beckwitha ćwiczyli akcję w specjalnie zbudowanym do tego celu kompleksie budynków, który stanowił wierną kopię terenu ambasady w Teheranie. Major Fitch opowiadał, że każdy w oddziale wiedział jedno: ta

eprasa.pl 97a3749d10

misja musi zostać wykonana perfekcyjnie, bo na szali leży prestiż USA.

Plan przewidywał lądowanie na irańskiej pustyni w miejscu nazwanym „Desert One", oddalonym od Teheranu o kilkaset kilometrów. Delta Force miała się tam dostać na pokładzie Herkulesów. W „Desert One" żołnierze mieli się przesiąść do śmigłowców, polecieć do Teheranu, uwolnić zakładników i dostarczyć ich następnie na pokład Herkulesów, które miały zabrać ich w bezpieczne miejsce.

Amerykanie mogli sobie pozwolić na utratę dwóch śmigłowców, oceniano, że sześć maszyn to absolutne minimum, by myśleć o skutecznym wykonaniu misji. Traf chciał, że dwie maszyny z ośmiu, które wystartowały z lotniskowca USS „Nimitz" w kierunku Iranu, musiały zawrócić z powodu awarii. Ale w „Desert One", gdy operatorzy Delty czekali na transport w kierunku Teheranu, okazało się, że kolejny śmigłowiec ma problem. Major Fitch powiedział mi, że – jego zdaniem – ta maszyna mogła lecieć dalej, ale podpułkownik, który odpowiadał za śmigłowce (nie był z Delta Force), skorzystał z pretekstu. – Nie wszyscy uczestnicy tej misji mieli kwalifikacje do brania udziału w zadaniach specjalnych. Szczerze powiedziawszy, niektórzy z nich nie chcieli tam nawet być! – złościł się mjr Fitch. – Według mnie, gdy wyczuli, że pojawiła się okazja, by przerwać tę misję, znaleźli pretekst, aby wszystko odwołać. „Specjalsi" z kolei, gdy pojawiają się problemy, robią wszystko, żeby je rozwiązać.

DWA WYBUCHY

24 kwietnia 1980 r. warunki na pustyni nie były łatwe. Panowały egipskie ciemności, a widoczność ograniczał dodatkowo pył. Gdy misja została odwołana i żołnierze ładowali się do maszyn, doszło do ostatecznego ciosu. Jeden ze startujących śmigłowców uderzył w samolot transportowy.

– Gdy siedzieliśmy w Herkulesie i czekaliśmy na start, czuliśmy się totalnie rozbici decyzją o przerwaniu misji. Mieliśmy jednak jeszcze nadzieję, że uda nam się wrócić na „Desert One" kolejnej nocy – opowiadał mi mjr Fitch. – Usłyszałem dwa wybuchy. Byłem przekonany, że zostaliśmy zaatakowani. Momentalnie chwyciłem za broń i rzuciłem się do pomocy przy otwieraniu tylnych lewych drzwi samolotu. Na zewnątrz szalało już piekło. Potem staraliśmy się opuścić rampę, ale ona też stała już w płomieniach. W końcu udało nam się otworzyć tylne prawe drzwi i zaczęliśmy wyskakiwać jeden po drugim. Gdy wydostałem się z samolotu, odbiegłem od niego na odległość ok. 50 metrów. Wciąż myślałem, że zostaliśmy zaatakowani. I wtedy zobaczyłem helikopter wbity w nasz samolot... To był koniec misji odbicia zakładników.

W Białym Domu zapanował grobowy nastrój, a tymczasem nowy irański reżim triumfował. Inni wrogowie USA też nie ukrywali radości z tej spektakularnej klęski. Świat obiegły zdjęcia wypalonych wraków amerykańskich maszyn i zwęglonych ciał żołnierzy. To był również cios w kampanię prezydencką Jimmy'ego Cartera. Większość Amerykanów widziała w nim słabego lidera i w znacznej mierze to właśnie fiasko na irańskiej pustyni sprawiło, że Carter pół roku później poniósł tak dotkliwą klęskę w wyborczym starciu z Ronaldem Reaganem (kandydat republikanów wygrał w Kolegium Elektorów stosunkiem głosów 489 do 49).

Dlaczego doszło do tej klęski? Wbrew założeniom samego płk. Beckwitha „Orli Szpon" był zbieraniną różnych sił. – Być może nie powinienem tego mówić, ale powiem panu, jak było w rzeczywistości: Kolegium Połączonych Szefów Sztabów postanowiło, że wszystkie gałęzie sił zbrojnych powinny wziąć udział w „Orlim Szponie". Uważano, że po odniesieniu sukcesu wszystkich będzie można obdzielić chwałą – mówił mjr Fitch. – Helikoptery były własnością marynarki wojennej, ale pilotowali je marines. To z pewnością byli bardzo dobrzy ludzie, jednak zwyczajnie nie nadawali się do tego konkretnego zadania. Można to porównać do sytuacji, gdy ktoś całe życie jest kierowcą autobusu. Przejechał już milion kilometrów i nie miał po drodze ani jednego wypadku. Nagle jednak ktoś każe mu wziąć udział w wyścigu Indianapolis 500. Nietrudno się domyślić, że efekty nie będą zbyt dobre.

Nie brak głosów, że „Orli Szpon" był najbardziej udaną klęską w historii sił zbrojnych USA. W jej wyniku doszło do wielu głębokich zmian, które miały nie dopuścić do ponownej kompromitacji o takiej skali. Poza tym, że do takich misji przestano już urządzać „łapanki" po różnych gałęziach sił zbrojnych, Pentagon powołał też Dowództwo Operacji Specjalnych, które miało lepiej koordynować takie operacje. Trudno też przecenić wyposażenia Delta Force w jej własne lotnictwo. Po „Orlim Szponie" operatorzy tej jednostki transportowani są na miejsce akcji śmigłowcami pilotowanymi przez specjalistów najwyższej klasy, gotowymi do wykonywania misji w trudnych warunkach. I dlatego w śmigłowcach, które niczym cienie przecinały 3 stycznia nocne niebo nad Caracas, siedzieli nie tylko najlepsi specjaliści do spraw zabijania, lecz także najlepsi eksperci do spraw pilotażu.

Podczas misji Delta Force w Iraku 24 kwietnia 1980 r. jeden ze startujących śmigłowców uderzył w samolot transportowy FOT. AP/EAST NEWS

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

FOT. LUC AUFFRET/ANADOLU/GETTY IMAGES

WALKA O ZAROST

Ponad 600 strażaków starło się z policją podczas demonstracji w Lille. Protest dotyczył braku 200 etatów w departamencie Nord oraz kontrowersyjnego zakazu noszenia zarostu. Doszło do blokowania dróg, podpalania pojemników na śmieci i opon oraz atakowania policjantów wodą z węży strażackich i hydrantów. Ostatecznie rozruchy zakończyły się ustępstwami ze strony władz. Ogłoszono rekrutację 50 dodatkowych strażaków i zniesienie zakazu noszenia brody.

DO SĄDU Z GAZEM PIEPRZOWYM

W berlińskich sądach obowiązują kontrole bezpieczeństwa. Ich wynik za ubiegły rok okazał się zatrważający. Zarekwirowano ponad 28,5 tys. zakazanych przedmiotów, w tym 5 tys. noży. Wśród znalezionych rzeczy były też m.in. nożyczki, gaz pieprzowy, kubotany (broń wywodząca się z Japonii, gdzie została wprowadzona do użytku w jednej ze szkół karate). Kontrole w sądach porównywalne są z tymi na lotnisku.

JAK KWIATY

Centralny Bank Kenii (CBK) zaapelował do obywateli tego państwa, żeby przestali używać banknotów do robienia bukietów i dekoracji przypominających kwiaty, co stało się modnym trendem przed walentynkami. Chodzi o zwijanie banknotów o różnych kolorach i nominałach, a następnie spinanie ich w sposób przypominający bukiet kwiatów. Według CBK szpeci to kenijską walutę. Przyłapanie na tym grozi karą siedmiu lat więzienia.

TRANS-KALIFORNIA

Prokurator generalny stanu Kalifornia wystąpił z pozwem przeciw jednemu ze szpitali w San Diego. Chodzi o wstrzymanie w tej placówce zabiegów tranzycji płci u osób nieletnich, czego domagał się od niej rząd federalny. Waszyngton zagroził, że jeśli szpital będzie kontynuował praktykę okaleczania młodych ludzi, to zostanie pozbawiony funduszy i zamknięty. Ale Kalifornią władają na szczeblu stanowym demokraci. Uważają oni, że tranzycja płci osób poniżej 18. roku życia to ich leczenie.

WIDMO ALA CAPONE?

Właściciel gorzelni Thornton Distilling Company, wciąż najstarszego działającego browaru w stanie Illinois, dokonał odkrycia, które go zszokowało. Na terenie jego zakładu znaleziono Colt 1908 wyprodukowany w roku 1921. Pikanterii dodaje fakt, że broń była naładowana. Według źródeł historycznych w czasach prohibicji budynek browaru kontrolowała m.in. rodzina Ala Capone. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Głupota biodegradowalna

Sroga zima nawet największego ekooszołoma może skłonić do refleksji nad rzeczywistym tempem „ocieplania klimatu". Być może dlatego aktywiści nie blokują ulic przy minus 20 stopniach... Być może nie chcą już kłamać. Mogli też wyjechać na ferie albo dostać rachunek za ogrzewanie, który zmusił ich do pójścia do prawdziwej pracy...

Jako publicysta pełen empatii muszę stwierdzić, że ekolodzy nie mają łatwego życia. Niby chcą „ratować płonącą planetę", a gdy już coś przeforsują, to często okazuje się, że to bzdura.

Tak było np., gdy zarówno europejscy, jak i amerykańscy naukowcy zauważyli, że nibyekologiczne papierowe lub bambusowe słomki często zawierają szkodliwe dla człowieka toksyczne substancje poli- i perfluoroalkilowe, które mogą nie tylko negatywnie wpływać na pracę wątroby, tarczycy czy nerek, lecz także przyczyniać się do rozwoju nowotworów... A przy okazji zauważyli, że skoro słomki te zawierają chemiczne substancje, to... mogą nie ulegać biodegradacji.

Słomek można nie używać (albo przejść wyłącznie na metalowe). Czego się nie robi dla planety!

Trudniej dziś zrezygnować z Internetu. Mimo to operator sieci światłowodowej w Londynie znalazł się w tarapatach, gdy zastosował biodegradowalne osłony kabli światłowodowych. Miało być pięknie i ekologicznie. Biodegradowalne kable – powstałe na bazie soi lub kukurydzy – okazały się jednak przysmakiem dla zacofanych londyńskich gryzoni. Firma nie poradziła sobie z kosztami częstego rozkopywania ulic i wymiany kabli. I zadłużona na kilkaset milionów funtów szuka kupca na swą sieć. Na ekoinfrastrukturę poza szczurami chętnych jest niewielu... ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

Jastrząb, gołąb czy marionetka?

Jacek Przybylski

Na tę decyzję od tygodni czekał cały finansowy świat. Prezydent USA Donald Trump na nowego szefa Rezerwy Federalnej nominował 55-letniego Kevina Warsha. Jak jego decyzje mogą wpłynąć na globalną gospodarkę, wartość dolara czy ceny złota i srebra?

Nowy najpotężniejszy bankier świata urzędowanie rozpocznie najpóźniej w maju. Wówczas wygasa kadencja obecnego szefa Rezerwy Federalnej Jerome'a Powella. „Znam Kevina od dawna i nie mam wątpliwości, że przejdzie do historii jako jeden z NAJWIĘKSZYCH Przewodniczących Rezerwy Federalnej, a może i najlepszy" – ogłosił w swoim stylu amerykański prezydent Donald Trump na swojej platformie społecznościowej Truth Social. W ten sposób ostatecznie uciął spekulacje o tym, który z ekonomistów ostatecznie wygra wyścig o to prestiżowe stanowisko. Początkowo na giełdzie nazwisk było kilkanaście osób, następnie pięć, cztery aż zostało dwóch Kevinów: Kevin Hassett, doradca ekonomiczny obecnego prezydenta i dyrektor Narodowej Rady Ekonomicznej, oraz właśnie Kevin Warsh (pisałem o tym w tekście „Sprzedawać Amerykę?", „Do Rzeczy" nr 4/2026). Donald Trump najpierw ogłosił, że potrzebuje Hassetta w Białym Domu. A kilka dni temu oficjalnie nominował Kevina Warsha.

MĄŻ CÓRKI MILIARDERA

Decyzja podjęta przez prezydenta Trumpa spodobała się inwestorom. Pięćdziesięciopięcioletni Warsh, który obecnie

eprasa.pl 97a3749d10

Zanim Kevin Warsh zostanie szefem Rezerwy Federalnej, czeka go trudna przeprawa w Senacie

FOT. TIERNEY L. CROSS/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

pracuje jako doradca wielu publicznych i prywatnych przedsiębiorstw (zasiada m.in. w zarządzie UPS), ekspert konserwatywnego think tanku Hoover Institution oraz wykładowca ekonomii na Uniwersytecie Stanforda, cieszy się bowiem sporym szacunkiem rynków finansowych. Widać to było wyraźnie po ogłoszeniu nominacji, amerykański dolar znalazł wówczas wreszcie pretekst do wyraźnego odbicia, a złoto i srebro do gwałtownej korekty ostatnich rekordowych zwyżek (królewski kruszec zanotował największy jednodniowy spadek notowań we współczesnej historii).

Dlaczego inwestorzy cenią Warsha? Jednym z powodów jest to, iż jest to ekonomista, który ma już w swoim CV stanowisko w Radzie Gubernatorów Rezerwy Federalnej. Objął je w roku 2006 jako najmłodszy gubernator Fedu w amerykańskiej historii (miał wówczas zaledwie 35 lat) i sprawował do roku 2011. Zdobył wówczas cenne doświadczenie. Był to bowiem bardzo trudny okres dla gospodarki USA, która po globalnym kryzysie finansowym w 2008 r. weszła w najgłębszą recesję od czasów drugiej wojny światowej.

Wcześniej Warsh pracował jako sekretarz wykonawczy Narodowej Rady Gospodarczej Białego Domu i doradca ekonomiczny prezydenta George'a W. Busha (dla jego administracji pracował od 2002 r.). Jeszcze wcześniej był odpowiedzialny m.in. za wielkie fuzje i przejęcia w nowojorskim banku Morgan Stanley. Pracę rozpoczął tam po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Harvarda w 1995 r. Wcześniej uzyskał tytuł licencjata na Uniwersytecie Stanforda.

Kevin Warsh na Wall Street i na waszyngtońskich salonach znany jest nie tylko jako utalentowany ekonomista. To również człowiek, który od lat ma wielu znajomych na najwyższych szczeblach władzy. Prywatnie to także mąż Jane Lauder, czyli córki miliardera Ronalda S. Laudera, amerykańskiego przedsiębiorcy, dyplomaty, filantropa, laureata m.in. Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, Nagrody Orła Jana Karskiego, byłego ambasadora USA w Austrii za czasów Ronalda Reagana, a także długoletniego przewodniczącego Światowego Kongresu Żydów. Magazyn „Forbes" wartość majątku teścia Kevina Warsha szacuje na 5 mld dol. Jak jednak zauważył „Social Life Magazine", wartość majątku całej rodziny Lauderów szacowana jest na ok. 33 mld dol.

Żona kandydata na nowego szefa Fedu, Jane Lauder, to wnuczka Estée Lauder, współzałożycielki firmy kosmetycznej, która w ciągu kilku dekad rozrosła się do rozmiarów globalnego biznesowego imperium, w którego skład wchodzi ponad 20 różnych marek. Pięćdziesięciotrzyletnia obecnie Jane Lauder formalnie dołączyła do rodzinnej firmy w 1996 r. – rok po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Stanforda – i pracowała w niej m.in. jako wiceprezes wykonawczy. I chociaż z tej ostatniej funkcji zrezygnowała w roku 2024, to nadal odgrywa w kosmetycznym imperium ważną rolę, m.in. jako członek rady nadzorczej (wartość jej majątku 5 lutego 2026 r. „Forbes" szacował na 2,8 mld dol.).

NIEZALEŻNOŚĆ I WIARYGODNOŚĆ?

Donald Trump już za swojej pierwszej kadencji rozważał powołanie Warsha na stanowisko szefa Fedu. Ostatecznie postawił jednak wówczas na Jerome'a Powella, który – pisząc najoględniej, jak to tylko możliwe – nie cieszy się zbytnim poważaniem obecnego gospodarza Białego Domu. Trump zarzuca Powellowi, że zbyt wolno obniża stopy procentowe. Wielokrotnie publicznie go z tego powodu obrażał, a także groził jego dymisją przed końcem kadencji. Co więcej, Biały Dom – zwiększając presję na szefa Fedu – nasłał na Powella prokuratorów, a rzeczniczka prezydenta zaczęła niczym w jakiejś bananowej republice publicznie rozważać, czy przypadkiem szef banku centralnego nie jest przestępcą.

O co w tym wszystkim chodzi? Jednym z głównych zadań banku centralnego w Stanach Zjednoczonych jest prowadzenie takiej polityki pieniężnej, która stymulowałaby wzrost gospodarczy i zmniejszałaby poziom bezrobocia (a najnowsze dane pokazują, że amerykański rynek pracy złapał wyraźną zadyszkę). Niższe stopy procentowe sprawiają, że pożyczanie pieniędzy przez osoby prywatne i firmy staje się tańsze, co dodatkowo stymuluje gospodarkę i sprawia, że na rynku pracy pojawia się więcej ofert. Założenie Trumpa i jego doradców jest zatem proste: im szybciej stopy spadną, tym szybciej wyborcy odczują np. spadek raty kredytu hipotecznego. Jeśli dodatkowo znajdą pracę lub dostaną awans, to mogą zyskać przekonanie, że za obecnego prezydenta wreszcie żyje im się lepiej. Przed listopadowymi wyborami uzupełniającymi to kluczowe argumenty, które pozwoliłyby Partii Republikańskiej utrzymać większość w Kongresie i Senacie. Według Donalda Trumpa stopy procentowe w USA powinny wynosić zaledwie 1 proc.

Kłopot w tym, że zbyt szybka lub zbyt mocna obniżka stóp może jednak obudzić inflacyjnego potwora. A przecież drugim zadaniem Rezerwy Federalnej jest utrzymanie stabilnego poziomu

eprasa.pl 97a3749d10

cen, tymczasem obecnie inflacja w USA uparcie utrzymuje się powyżej celu banku centralnego (inflacja w grudniu wyniosła 2,7 proc., a cel to 2 proc.). Jednym z powodów drożyzny w USA są cła nakładane na różne kraje przez Donalda Trumpa.

Na razie Powell nie uległ rosnącej presji ze strony Białego Domu. Obecny przewodniczący Fedu, ważąc z jednej strony czynniki sprzyjające wzrostowi gospodarczemu, a z drugiej starając się nie dopuścić do powrotu wysokiego tempa wzrostu cen, pod koniec stycznia obecnego roku ogłosił, że amerykański bank centralny utrzymuje stopy procentowe na niezmienionym poziomie 3,5–3,75 proc.

WPŁYWOWI PRZYJACIELE

Czy Kevin Warsh będzie bardziej posłuszny życzeniom Donalda Trumpa? To jedno z pytań, które prezydencki kandydat usłyszy zapewne podczas przesłuchań w Senacie. Zgodnie z prawem następcę Powella muszą bowiem formalnie zaakceptować jeszcze senatorzy. I chociaż do ostatecznego zwycięstwa wystarczy zwykła większość głosów, to z pewnością nie będzie to łatwa przeprawa. Nie tylko członkowie opozycyjnej Partii Demokratycznej, lecz także niektórzy republikanie zastanawiają się, jak w kwestii polityki monetarnej będzie zachowywał się Kevin Warsh. Czy będzie walczył o niezależność banku centralnego i chronił Amerykanów przed wysoką inflacją czy może stanie się marionetką Donalda Trumpa i niczym chłopiec na posyłki będzie zabiegał o maksymalne poparcie dla polityki radykalnego obniżania stóp procentowych, byle tylko zadowolić obecnego gospodarza Białego Domu? Wiadomo już, że niektórzy senatorzy nie zamierzają zbyt szybko zatwierdzać nominacji na nowego szefa banku centralnego. Republikański senator Thom Tillis zapowiedział wcześniej, że będzie blokował wszelkie nominacje do Fedu dopóty, dopóki Departament Sprawiedliwości nie zakończy „śledztwa" wobec obecnego szefa Rezerwy Federalnej.

Dla wszystkich jest oczywiste, że Warsh nie dostałby nominacji od Trumpa, jeśli byłby zwolennikiem utrzymania stóp procentowych na obecnym poziomie (choć amerykańskie media zauważają, że jego wybór to również wynik skutecznej kampanii lobbingowej prowadzonej w bliskim otoczeniu Donalda Trumpa nie tylko przez jego teścia Ronalda Laudera, lecz także innego miliardera – Stanleya Druckenmillera – który cieszy się opinią jednego z najlepszych traderów na świecie, przez ponad dekadę był szefem Warsha i który publicznie wspierał jego kandydaturę na nowego szefa Fedu).

Rynki finansowe cenią Warsha nie tylko ze względu na jego doświadczenie, lecz także na jastrzębie poglądy

Sam prezydent Donald Trump wyraził już publicznie swoje przekonanie, że wyznaczony przez niego kandydat na nowego szefa Fedu będzie ciął stopy. Obecny gospodarz Białego Domu wzbudził też wiele obaw, deklarując, że chciałby, aby nowy przewodniczący banku centralnego konsultował z nim decyzje dotyczące polityki pieniężnej USA.

Rynki finansowe cenią jednak Warsha nie tylko ze względu na jego doświadczenie w różnych instytucjach finansowych, lecz także ze względu na wielokrotnie publicznie wyrażane przez niego jastrzębie poglądy. Innymi słowy: podkreślał wagę walki ze zbyt wysoką inflacją i skłaniał się raczej ku utrzymywaniu wyższych stóp procentowych niż ku ich obniżaniu. Inwestorzy liczą zatem, że w czasach, gdy w Białym Domu urzęduje prezydent, który jest tak dla rynków finansowych mocno nieprzewidywalny, Kevin Warsh zapewni Rezerwie Federalnej to, co jest kluczowe dla utrzymania wiarygodności tej instytucji: niezależność.

Wiadomo, że Kevin Warsh w ostatnich latach stał się mocno krytyczny wobec polityki pieniężnej prowadzonej przez Fed. Jego zdaniem Rezerwa Federalna obecnie nadmiernie skupia się na retrospektywnych danych ekonomicznych, zamiast przewidywać zmiany. Tymczasem zarówno przedwczesne, jak i spóźnione decyzje Fedu wiążą się z poważnymi konsekwencjami dla gospodarki, przedsiębiorców i konsumentów. W opublikowanym w listopadzie tekście na łamach „Wall Street Journal" Warsh przekonywał także, że „rozdęty bilans" Rezerwy Federalnej przyczynił się do kryzysu gospodarczego odczuwanego obecnie przez miliony Amerykanów, sprawiając, że pożyczanie pieniędzy na Wall Street jest „zbyt łatwe", podczas gdy „kredyt na Main Street jest zbyt ograniczony". Taki pogląd czyniłby z Warsha sojusznika Donalda Trumpa i oznaczałby, że jastrząb zmienił się w gołębia.

Na tę zmianę – poza chęcią objęcia posady najbardziej wpływowego bankiera świata – wpływ mogła mieć jeszcze wiara w to, że deregulacja i wdrażana coraz powszechniej sztuczna inteligencja zdołają utrzymać inflację na niskim poziomie, nawet jeśli Fed zdecyduje się obniżyć stopy procentowe.

POTRZEBA WIĘKSZOŚCI

Jeśli Warsh zostanie zaakceptowany przez Senat, to urzędowanie w siedzibie amerykańskiego banku centralnego zacznie 15 maja. Czy rzeczywiście wkrótce potem stopy procentowe w USA błyskawicznie spadną? Niekoniecznie. Gdy Warsh przejmie już stanowisko od Powella, będzie kierował Rezerwą Federalną, w której opinie poszczególnych gubernatorów Fedu na obecny stan amerykańskiej gospodarki i na kierunki jej rozwoju są podzielone jak nigdy wcześniej w XXI w.

Niezależnie od własnych poglądów przewodniczącego banku centralnego pozostanie wówczas kluczowa kwestia niezbędnej większości do podejmowania decyzji. Szef Fedu w przeciwieństwie do obecnego amerykańskiego prezydenta nie może kształtować polityki pieniężnej za pomocą dekretów i postów w mediach społecznościowych. Warsh do radykalnych obniżek będzie zatem musiał mieć solidne argumenty, aby dla swoich propozycji zebrać odpowiednią liczbę głosów wśród 12 członków Federalnego Komitetu Otwartego Rynku (FOMC). Wydaje się zatem, że dopóki Rezerwie Federalnej nie uda się stłumić inflacji lub nie nastąpi wyraźny wzrost liczby bezrobotnych Amerykanów, dopóty szanse na radykalne obniżki stóp procentowych w USA są stosunkowo niewielkie.

Jednocześnie doświadczenie Kevina Warsha pozwala mieć nadzieję, że jeśli pojawią się twarde dane, sugerujące konieczność zacieśniania polityki pieniężnej, to również dokona właściwego wyboru, niezależnie od marzeń swego mocodawcy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Dziwna logika prezydenta

Prezydent Nawrocki od początku urzędowania nie kryje poważnego zaniepokojenia stanem finansów Polski. Inna sprawa, że dziwnym trafem w kontekście tym niepokoi go tylko to, co do tego stanu doprowadziło za czasów rządów Tuska, a ani trochę – a przynajmniej się z tym nie zdradził – to, co wydarzyło się za rządów Morawieckiego. A to przecież nie Tusk, lecz właśnie Morawiecki uruchomił spiralę rozdawnictwa pieniędzy podatników i gigantycznego zadłużania Polski, która do dziś dobija finanse naszego państwa. Której to spirali Tusk, już jako szef rządu, nie zatrzymał, bo boi się zlikwidować choćby niektóre zasiłki, lekką ręką przyznane przez Morawieckiego – na czele z „800+" bez kryterium dochodowego oraz 13. i 14. emeryturami.

Tak czy owak, Karol Nawrocki już u progu swej prezydentury zorganizował posiedzenie Rady Gabinetowej poświęcone właśnie katastrofalnej sytuacji finansów Polski. Wytknął wtedy rządowi zbyt niskie wpływy z podatków, lecz – co zaskakujące – w ogóle nie zajął się pęczniejącymi wydatkami państwa, głównie socjalnymi, finansowanymi w całości z zaciąganych kolejnych kredytów. I do tego niedawno skierował do Trybunału Konstytucyjnego ustawę budżetową na rok 2026 r., zarzucając rządowi przekroczenie konstytucyjnego limitu zadłużenia w wysokości 60 proc. PKB Polski oraz (stosowane też przez Morawieckiego) niezgodne z konstytucją wyłączanie z limitu zadłużenia państwa funduszy zarządzanych przez Bank Gospodarstwa Krajowego.

Tak czy owak, niepokój prezydenta Nawrockiego o stan finansów publicznych Polski jest czymś, czego nie da się przegapić – jest to troska stała i co jakiś czas silnie manifestowana. I w związku z tym mam duży kłopot ze zrozumieniem, jak można z jednej strony często sygnalizować swój niepokój o stan finansów Polski, a z drugiej strony – równie często podpisywać projekty własnych ustaw, których wiele, gdyby weszły w życie, generowałoby jeszcze większe wydatki budżetu państwa, które z braku odpowiednio wysokich wpływów musiałyby być finansowane z jeszcze szybciej rosnącego długu Polski (czyli długu polskich podatników, którzy muszą go spłacać). Projekty takich aktów, jak choćby podpisane już przez prezydenta i wysłane do Sejmu projekty ustaw – o zerowym PIT dla rodzin z dwojgiem dzieci i więcej, o gwarantowanych, wyższych od obecnych, podwyżkach emerytur czy o nowym świadczeniu „800+" dla każdego gospodarstwa domowego, w związku z utrzymywaniem się cen energii elektrycznej w Polsce na „historycznie wysokim poziomie".

Czy ktoś rozumie stojącą za tą dwoistością dziwaczną logikę prezydenta? A może nie ma w tym żadnej logiki? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Gazda, ceper i KSeF

Pamiętają państwo dowcip, jak to siedzi góral na drzewie na gałęzi i piłuje ją między sobą a pniem? Przechodzi ceper i mówi: „Uważajcie, gazdo, bo jak tak piłować będziecie, to spadniecie". Gazda jednak myśli: „A co tam ceper jakiś będzie mi godoł" – i piłuje dalej. I oczywiście spada wraz z gałęzią. Wstaje, otrzepuje się i mówi do siebie: „Prorok jakowyś, czy co?".

Rząd, forsując twardo wprowadzenie KSeF, był jak ten gazda, a krytycy systemu są jak ów ceper. Miało się rypnąć – i się rypnęło. Na początku działania systemu okazało się, że olbrzymia liczba przedsiębiorców nie może się do niego zalogować, ponieważ obciążenia nie wytrzymał profil zaufany, podstawowy sposób logowania się do KSeF. Przy czym skutki rozciągnęły się daleko poza sam system e-Faktur, jako że profil zaufany jest używany przy wielu innych usługach publicznych. Skoro przestał działać, to przestał działać dla wszystkich. Ministerstwo Finansów sprawy nie skomentowało. Bo i po co? Skoro mimo protestów i ostrzeżeń wybrano drogę ślepo upartego gazdy, to nie można ceprom dawać satysfakcji. Oni przecież nie mogą mieć racji. Dziwne tylko, że o problemy z profilem zaufanym nie oskarżono z automatu Putina.

To jednak dopiero początek. Wszak techniczna niewydolność systemu i z pewnością czekające nas kolejne awarie to jedno. Ale jest też bardzo ważny aspekt prywatności oraz ingerencji w tajemnicę przedsiębiorców. Tutaj o pojedynczych wyciekach informacji możemy nie wiedzieć przez długi czas – oberwą tylko bezpośrednio zainteresowani. Chyba że dojdzie do dużego włamania.

Przypomnieć trzeba przy tym, że KSeF jest dziełem całego politycznego mainstreamu: wymyślony za Morawieckiego, wprowadzony do systemu podatkowego przez PiS z podpisem prezydenta Dudy, implementowany obowiązkowo przez KO z podpisem prezydenta Nawrockiego. Cóż za budująca zgodność! ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

Andrej Babiš po czterech latach przerwy powrócił na stanowisko prezesa Rady Ministrów

FOT. YOAN VALAT/AP/EAST NEWS

Iskra buntu z Czech

Jakub Wozinski

Nowy rząd Andreja Babiša nie wyprowadzi Czech z Unii Europejskiej, ale może dać sygnał do zbiorowego oporu przeciwko najbardziej szkodliwej polityce Brukseli

Nazywany niekiedy „czeskim Trumpem" lider partii ANO (Akcja Niezadowolonych Obywateli) po czterech latach przerwy powrócił na stanowisko prezesa Rady Ministrów. Jak można było przewidzieć, wydarzenie to spotkało się z lawiną negatywnych komentarzy ze strony liberalnych mediów, które wygłosiły swoje rytualne przestrogi przed wzbierającą falą populizmu.

W polityce uprawianej przez Andreja Babiša z pewnością znaleźć można wiele elementów populizmu (m.in. liczne transfery socjalne czy obniżkę wieku emerytalnego), ale w języku stosowanym przez samozwańcze brukselskie elity za populistę uznaje się tradycyjnie tego, kto podważa jedyny słuszny kierunek wyznaczany przez Komisję Europejską.

POPULISTA WEDŁUG BRUKSELSKICH KRYTERIÓW

Rządząca od niedawna Czechami koalicja ANO, Wolności i Demokracji Bezpośredniej (SPD) Tomia Okamury oraz Partii Kierowców z pewnością spełnia wszystkie kryteria populizmu, ponieważ otwarcie sprzeciwia się unijnym dogmatom ekologizmu, polityki otwartych granic oraz bezgranicznemu wsparciu dla Ukrainy. Wszystkie trzy partie szły do wyborów, odważnie kwestionując przede wszystkim implementację unijnego systemu EU ETS2 oraz paktu migracyjnego, a gdy odniosły zwycięstwo, zgodnie zadeklarowały, że już na pierwszym posiedzeniu gabinetu zadecydują o odrzuceniu unijnych aktów.

W Polsce zwykło się uważać, że za podjęcie tego rodzaju decyzji grożą znaczne kary finansowe. Zdaniem Andreja Babiša Bruksela po prostu blefuje i nie będzie w stanie nałożyć kar na zbuntowany kraj. Jeden z liderów ANO, Karel Havlíček, przekonuje zaś, że Bruksela stosuje zwykły szantaż, któremu nie należy ulegać. Praga może po prostu odmówić wypłaty należnych kwot, a unijne instytucje nie mają przecież do dyspozycji niczego w rodzaju zajęcia komorniczego na czeskim skarbie państwa.

Już wkrótce nowy czeski rząd będzie miał okazję do tego, aby na własnej skórze przekonać się, jak bardzo poważnie Unia Europejska traktuje swoje groźby. Na uwagę zasługuje jednak fakt, że pewnego rodzaju natchnieniem mogły być dla niego spory UE z Polską przed TSUE, w których polska strona odmawiała zapłacenia naliczonych kar. W przypadku odmowy wdrożenia paktu migracyjnego i EU ETS2 będą one z pewnością wyższe niż w przypadku sporu o elektrownię Turów, lecz dla nowego czeskiego rządu bardzo wymowny jest także przykład Węgier, którym z powodu niezapłaconych kar już zamrożono niemal 20 mld euro, co nie spowodowało żadnego kataklizmu.

TWARDO PRZY EURO

Rząd Andreja Babiša popełnia znacznie więcej populistycznych „grzechów". Nowy premier nie tylko sprzeciwia się przyjęciu wspólnej waluty, lecz także zgłosił inicjatywę wpisania utrzymania czeskiej korony do konstytucji. Jego zdaniem własna waluta to klucz do gospodarczej suwerenności, a euro sprzyja wyłącznie Niemcom i Francuzom. Babiš zamierza także walczyć o anulowanie unijnego zakazu sprzedaży aut spalinowych do 2035 r., który mocno zagraża czeskiemu przemysłowi motoryzacyjnemu generującemu nawet do 10 proc. rodzimego PKB.

Czechy miały dotąd opinię kraju, który nie stwarza na unijnej arenie tego rodzaju kłopotów co Polska czy Węgry, i w większości przypadków uginały się pod presją

eprasa.pl 97a3749d10

Niemiec. Jeszcze w 2021 r. Babiš, tak jak Mateusz Morawiecki, wyraził zgodę na mechanizm warunkowości przy pozyskiwaniu środków z Funduszu Odbudowy, ale obecnie skutecznie wykorzystuje polityczną koniunkturę na sprzeciw wobec Brukseli. W tym celu chce silniej niż do tej pory wykorzystać współpracę w ramach Grupy Wyszehradzkiej, w szczególności ze Słowacją i z Węgrami.

Bratysława i Budapeszt stoją twardo na stanowisku, że nie wdrożą zarówno paktu migracyjnego, jak i EU ETS2. Dodatkowo obie te stolice łączy obecnie z Pragą niechęć do dalszego finansowania Ukrainy. Pod rządami Petra Fiali Czechy znajdowały się w awangardzie państw obsypujących Ukrainę różnego rodzaju pomocą. Politykę tę popierał nawet sam Andrej Babiš. Z czasem jednak masowy napływ uchodźców ze wschodu sprawił, że nastroje społeczne – oraz zapatrywania polityków – wyraźnie się zmieniły. Lider SPD Tomio Okamura wyraził nawet obawę, że Praga nie może się stać drugim Lwowem. Tego rodzaju stwierdzenie mogłoby się na pozór wydawać przesadzone, lecz należy pamiętać, że Czechy przyjęły największą liczbę ukraińskich uchodźców per capita spośród wszystkich europejskich państw.

Objęcie rządów przez nową centroprawicową koalicję oznacza tym samym, że w Unii Europejskiej pojawił się nowy kraj sprzeciwiający się akcesji Ukrainy. Niewykluczone, że na mocy przygotowywanego porozumienia pokojowego kwestia rozszerzenia wspólnoty o Kijów zostanie rozstrzygnięta z pominięciem woli państw członkowskich, ale grono państw niepatrzących na Ukrainę przez różowe okulary z pewnością zyskało ważnego gracza. Nawet gdyby rząd Babiša miał się okazać efemerydą, opinia publiczna w Czechach zmieniła się wyraźnie na niekorzyść Ukrainy, mimo iż pierwsze miesiące wojny doprowadziły do wydawałoby się historycznych zmian w tym zakresie.

BUNTOWNIK Z PRZYPADKU

Pomimo tego, że Andrej Babiš wyrósł w ostatnim czasie na nowego lidera dążącego do konfrontacji z Brukselą na wzór Viktora Orbána, trudno w nim upatrywać konsekwentnego i długodystansowego buntownika. Od lat zwraca się uwagę na to, że jego rodzina, a także on sam, zdobyła pozycję dzięki współpracy z systemem komunistycznym (w związku czym pojawiły się nawet zarzuty o agenturalnej przeszłości premiera). Babiš nie jest na pewno oligarchą w stylu ukraińskim, ale – jak pokazał pierwszy okres jego rządów (lata 2017–2021) – umiejętnie wykorzystuje sprawowaną funkcję publiczną do rozwoju osobistego biznesu. Od lat był właścicielem koncernu Agrofert, lecz został w końcu zmuszony do oddania go w zarząd powierniczy, aby oddalić od siebie zarzuty o konflikt interesów. W dalszym ciągu pozostaje jednak siódmym najbogatszym mieszkańcem Republiki Czeskiej.

Andrej Babiš być może rządziłby nieprzerwanie od ponad ośmiu lat, gdyby nie pandemia. Początkowo jego rządy cieszyły się pewną popularnością, lecz wprowadzanie licznych obostrzeń i lockdownów oraz nagły wzrost zadłużenia państwa i inflacji doprowadziły do pewnego kryzysu zaufania. Sytuację tę wykorzystała opozycja, która doprowadziła do demontażu kontrowersyjnego programu elektronicznej ewidencji sprzedaży (EET), który wcześniej pomógł Babišowi uszczelnić system podatkowy i pozyskać środki na cele socjalne (m.in. na wprowadzony przez niego jeszcze w 2018 r. dodatek w wysokości 500 koron na każde dziecko).

Oparty na obowiązku posiadania kas fiskalnych on-line nawet dla mikroprzedsiębiorców system EET początkowo był względnie akceptowany. Z czasem zaczęto go jednak postrzegać jako uciążliwy i kosztowny, aż wreszcie kłopoty finansowe związane z pandemicznym zamykaniem gospodarki przelały czarę goryczy. Po upadku rządu Babiša system uproszczono, lecz powracający do władzy premier chce ponownie rozszerzyć jego obowiązywanie, choć z wyłączeniem najmniejszych firm.

BIZNESMEN U WŁADZY

Porównywanie Andreja Babiša do Donalda Trumpa jest jak najbardziej uprawnione, ponieważ polityk ten przejawia równie biznesowe podejście do rządów, oparte na unikaniu wszelkich ideologii. Czeski premier chce stawiać na rozwój energetyki atomowej, obniżać ceny energii i ograniczyć deficyt budżetowy. Ale żeby państwo mogło ten program zrealizować, musi uwolnić się od unijnych ograniczeń związanych z polityką klimatyczną i przestać marnować środki na zbędne programy.

Babiš, tak jak Trump, dał się wcześniej poznać jako sprzymierzeniec Beniamina Netanjahu. W czasie swojej pierwszej kadencji otwierał nawet biuro dyplomatyczne w Jerozolimie i podobnie jak polscy politycy zapalał wraz z przedstawicielami Chabad Lubawicz świece chanukowe. Pod wpływem wydarzeń w Gazie zmienił jednak nieco swoje nastawienie i zaczął krytykować bliskowschodnie państwo. Obecnie brak jest sygnałów, aby Babiš miał się stać regularnym buntownikiem także w obszarze stosunków z Izraelem, ale cała sytuacja pokazuje, że jako polityk potrafi dobrze wyczuć zmieniające się społeczne nastroje i dostosować swój program do oczekiwań większości.

Z polskiego punktu widzenia zmiany polityczne w Czechach mogą przynieść pewne wymierne korzyści

Czeski bunt zarządzany przez Andreja Babiša ma charakter doraźny, o czym najlepiej świadczy fakt, że świeżo mianowany premier wyraźnie zadeklarował, iż nie zorganizuje referendum w sprawie wyjścia z Unii Europejskiej ani tym bardziej z NATO. Politycy rządzącej koalicji nie będą także dążyli do całkowitego odrzucenia unijnego Zielonego Ładu. Ich obecna postawa, której symbolami jest sprzeciw wobec systemu EU ETS2 czy też paktu migracyjnego, wynika w sporej części z dobrego odczytania nastrojów ulicy.

Z polskiego punktu widzenia zmiany polityczne w Czechach mogą przynieść pewne wymierne korzyści. Wprawdzie Andrej Babiš potrafił w przeszłości zachowywać się względem Polski dość ambiwalentnie, lecz jego sprzeciw wobec imigracyjno-klimatycznemu szaleństwu promowanemu przez Brukselę może pomóc osłabić działanie najbardziej niekorzystnych trendów w unijnej polityce. W czasach, gdy polscy decydenci przejawiają zatrważającą i kompletnie irracjonalną ukrainofilię, dobrze także, że przynajmniej szef czeskiego rządu otwarcie mówi „nie" dla Ukrainy w Unii Europejskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

Inteligencja wełny

Joanna Bojańczyk

Ma konkretne właściwości fizyczne i użytkowe. Właściwości, których syntetyki mimo całej technologii wciąż nie potrafią skopiować: wełna grzeje, kiedy jest zimno, i chłodzi, kiedy jest ciepło

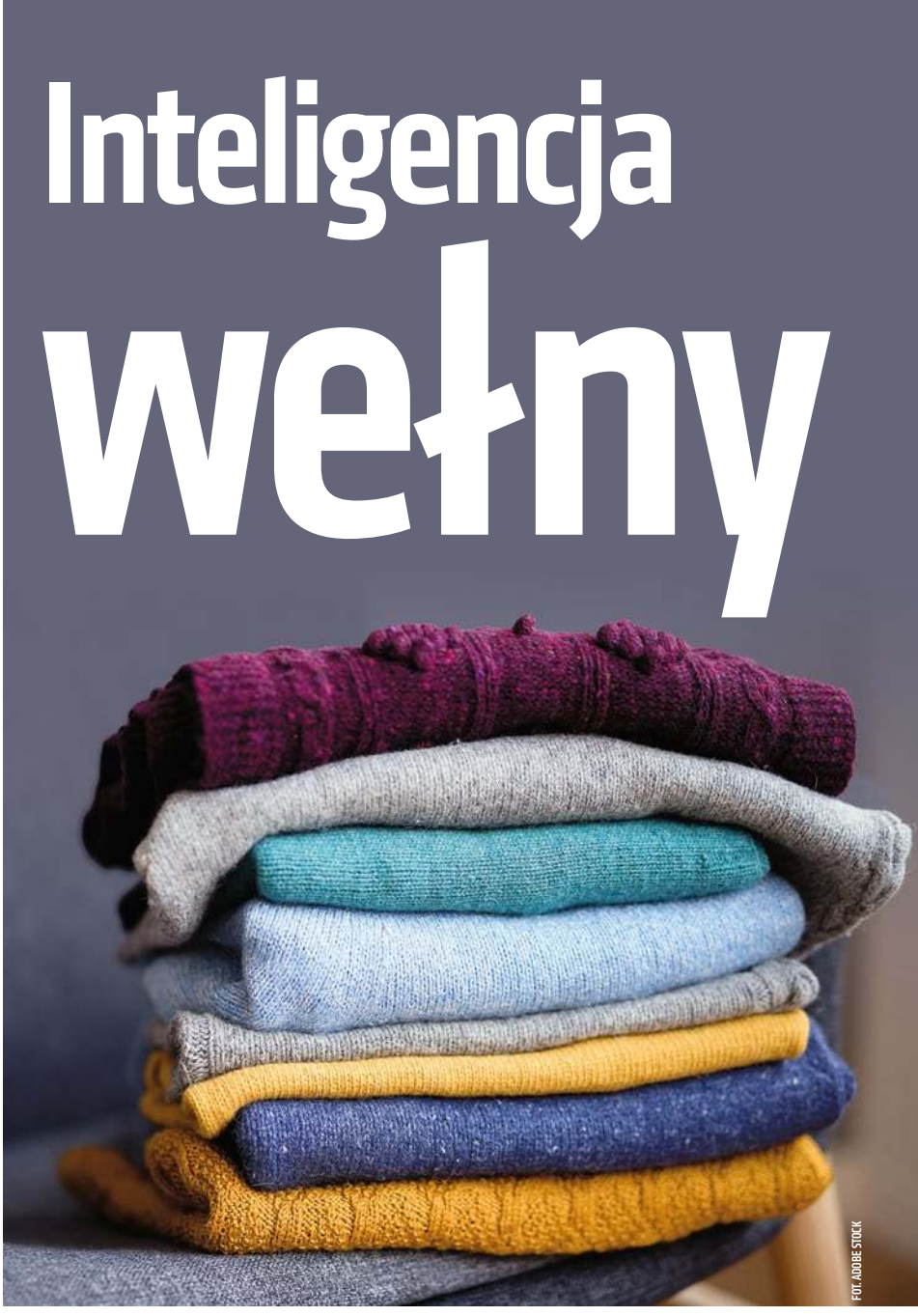

FOT. ADOBE STOCK

Oglądałem niedawno album poświęcony zdobywcom Mount Everestu. Zauważyłem, że pierwsi himalaiści wchodzili na szczyt, mając na sobie tweedowe marynarki i krawaty – powiedział angielski projektant Paul Smith.

Nie chciałabym dzisiaj ubierać wspinaczy w wełniane garnitury, ale jest coś na rzeczy. Po latach bezwzględnego dyktatu syntetyków wełna upomniała się o swoje prawa. To musiało nastąpić, powodów jest więcej. W powszechnym apelu o ekologię we wszystkich dziedzinach życia rynek mody musiał zauważyć zalety wełny. Jest to surowiec naturalny, obdarzony niezastąpionymi zaletami użytkowymi i całkowicie odnawialny.

Inny powód: wełna ma coś, czego syntetyki mimo całej technologii wciąż nie potrafią skopiować: naturalną inteligencję materiału. Nie chodzi o sentyment do „natury", tylko o konkretne właściwości fizyczne i użytkowe.

Po pierwsze termoregulacja, której nie da się oszukać. Wełna grzeje, kiedy jest zimno, i chłodzi, kiedy jest ciepło. Dzieje się tak dlatego, że jej włókna są pofalowane i tworzą miliony mikrokieszonek powietrza, jednocześnie wchłaniając parę wodną, ale nie dając uczucia wilgoci. Popularne jeszcze w latach 60., dziś dostępne tylko w sklepach z najwyższej półki letnie męskie garnitury z „tropiku" były po prostu uszyte z cienkiej wełny, materiału lekkiego i oddychającego.

Syntetyki albo grzeją, jak polar, albo „oddychają". Jednak rzadko jedno i drugie dzieje się jednocześnie.

Wełna nawet na mokro może wchłonąć do 30 proc. swojej masy w wilgoci i nadal pozostaje ciepła. Poliester czy nylon, gdy są mokre, robią się zimne, ponieważ nie wiążą pary wodnej – woda siedzi na powierzchni i odbiera ciepło ciału.

Wełna ma także mniej znaną zaletę: naturalnie hamuje rozwój bakterii. To sprawia, że noszona kilka dni koszulka nie śmierdzi. Syntetyki łapią zapach, bo bakterie uwielbiają gładkie plastikowe włókna i tłuszcze, które się do nich przyklejają.

Ostatecznym argumentem wszystkich wrażliwców jest: „Nie mogę tego nosić: gryzie!!!". Trudno polemizować z indywidualnym odczuciem, ale trzeba stwierdzić, że nowoczesna wełna z merynosów „nie gryzie". Jest sprężysta, nie elektryzuje się, nie klei do skóry i nie daje nieprzyjemnego plastikowego uczucia.

SWETRY ZNIKAJĄ

Jednak wciąż wełna musi staczać ciężką walkę z polarem i ze wszystkimi innymi sztucznymi włóknami. Te chwalą się podobieństwem do niej, ale żadna jej nie dorównuje. Jednak nie sposób nie widzieć faktu: z pejzażu ubraniowego swetry znikają, zastąpione przez bluzy dresowe i wszelkie polary.

O ile syntetyki po jednym sezonie lub dwóch wyglądają na „zmęczone": zmecha-

eprasa.pl 97a3749d10

cone, spłaszczone, zatrzymujące zapach, o tyle wełna trzyma formę. Do tego jest całkowicie odnawialna, nie tylko dlatego, że owca ją produkuje co roku, ale dlatego, że daje możliwość recyklingu. Mało tego: przybliżony czas rozkładu materiału, w zależności od warunków środowiskowych, wynosi od roku do setek lat. Poliester potrzebuje na to od 200 do 500 lat... Wełna – od roku do pięciu lat, w zależności od warunków wilgotności.

Trudna w utrzymaniu? Skąd! Każda pralka ma dziś program prania wełny. Krótkie i w niskiej temperaturze 30 st. C pranie i płukanie. Od dawna piorę swetry w pralce, nigdy nie oddaję ich do pralni chemicznej.

Jednak wiem, że dla młodszego pokolenia, zwłaszcza dla dzieci, wizja grubego wełnianego swetra jest równie przerażająca jak perspektywa włożenia średniowiecznej zbroi. Kurtka puchowa stała się uniwersalnym zimowym okryciem w krajach umiarkowanego klimatu. I nie spodziewam się zobaczyć dzieci w wełnianych płaszczykach na podpince, jak było za mojego dzieciństwa.

PRZECHODZI PRZEZ OBRĄCZKĘ

Jeszcze 10 lat temu słowo „kaszmir" wymawiało się nabożnie, jako coś należącego do świata, do którego my jeszcze nie zdążyliśmy się nawet zbliżyć – świata luksusu. Od tamtego czasu luksus trochę zbliżył się do nas, my trochę zwiększyliśmy zasoby i nagle kaszmirowy sweter, czapkę można kupić w sieciówce albo przez Internet. Ceny są różne. Na ogół niestety działa prawo rynku: im drożej, tym jakość lepsza.

Ale czym właściwie jest kaszmir?

Od setek lat w Tybecie wyrabia się najdelikatniejsze szale z wełny kóz rasy Capra Aegagrus Hircus, żyjącej w surowych górskich warunkach. Delikatne runo, którego najwięcej rozwija się w zimie, koza zostawia na krzakach. Zbiera się je raz do roku, wiosną. Z jednej kozy można zebrać nie więcej niż od 150 do 300 g bezcennych kłaczków. Tybetańskie kaszmiry najczęściej są w naturalnych kolorach beżowych, brązowawych, écru. Chemiczne farbowanie je uszkadza, im ciemniejszy kolor, tym bardziej inwazyjny. Przędzenie w kraju pochodzenia zawsze było ręczne. Szal kaszmirski musiał być delikatny jak obłok i przejść przez obrączkę.

W połowie lat 90. wybuchła wielka moda na szale i nagle słowo „szal" zostało zastąpione nowym – paszmina. „Pashm" po persku znaczy wełna, ale nazwa „paszmina" rozpowszechniła się nie na Wschodzie, ale na Zachodzie. Siła marketingu! Miała oznaczać mieszankę kaszmiru z jedwabiem, w proporcji pół na pół. Ten skład i proporcje pozostały tylko teorią, nazwa oderwała się od pierwowzoru i zaczęła żyć własnym życiem. To, co możemy kupić na ulicy, z paszminą nie ma wiele wspólnego, chociaż nosi dumną nazwę. W najlepszym wypadku supermarketowy produkt jest wiskozą, a najczęściej zwykłym poliestrem.

Gdy moda na szale przygasła, świat dostał nowej manii. Wszyscy pragną odrobiny luksusu, jak mówił kiedyś slogan. Luksus jest synonimem sukcesu, a nowym synonimem luksusu ogłoszono kaszmir.

Wełna grzeje, kiedy jest zimno, i chłodzi, kiedy jest ciepło. Syntetyki albo grzeją, jak polar, albo „oddychają". Jednak rzadko jedno i drugie dzieje się jednocześnie

– Nigdy nie sprzedawaliśmy tyle kaszmiru, co teraz – powiedział w grudniu tygodnikowi „Madame Figaro" Éric Bompard, dyrektor firmy sprowadzającej przędzę.

– Rynek zalały tanie marki. Ale jest kaszmir i kaszmir. Trzeba zawsze sprawdzać dokładnie napis na metce.

Oczywiście nie można narzekać, że kaszmir stał się bardziej dostępny. To powinno cieszyć. Jednak puryści twierdzą, że prawdziwy kaszmir nie może być tani. Małgorzata Zawadzka, właścicielka sklepu EM Cashemire, który jako jeden z pierwszych w Polsce sprzedawał i sprzedaje do dziś wysokiej jakości dzianiny wełniane, wątpi w jakość tańszych swetrów. – Miesza się kaszmir z wiskozą albo z bawełną – twierdzi. Wyczuje to tylko fachowiec, a składy na metkach nie zawsze mówią prawdę. Dzisiejszy poliester jest tak miękki i jedwabisty, że trudno czasem odróżnić go od wełny.

Młodsze roczniki nie pamiętają, że nie zawsze paroma kliknięciami w Internecie można było kupić dowolną rzecz w dowolnym punkcie świata. Na przykład sweter.

JAK TO ZE LNEM BYŁO

Na dowód, że entuzjastką wełny jestem nie od wczoraj, mam osobistą historię. W późnych latach 70. kupiłam worek wełny ze świeżo wystrzyżonych owiec z gospodarstwa na Warmii.

Gratka w czasach niedoborów! Ale i wyzwanie: Co z tą pierwotną materią dalej zrobić? Jak przejść proces technologiczny, który z szaroburych kłaków doprowadzi do swetra?

Zawartość worka była ciężka, lepka i tłusta – to lanolina, składnik wełny. Myjąc kłaki w wannie, zatkaliśmy cały pion. Rury w bloku nie przewidywały, że powstanie w nim fabryka tekstylna.

Rozłożone wszędzie w mieszkaniu i na balkonie kłaki schły przez kilka dni. Znajomy technolog jako pierwszy etap obróbki zalecił grępłowanie. Gdzieś na peryferiach znalazłam zakładzik, grępłarnię, coś zdawałoby się niemającego racji bytu w cywilizacji przemysłowej. Tam miał dokonać się proces rozdzielania zlepionych włókien, tak żeby nadawały się do przędzenia. Okazało się, że w Warszawie w czasach późnego Gierka działa także przędzalnia, manufaktura, znana mi do tej pory z filmu „Ziemia obiecana". Z przędzalni odebrałam trzy duże motki wełny w kolorze buroszarym, naturalnym. Było tego na trzy swetry, mnie potrzebny był jeden.

Roboty podjęła się emerytowana nauczycielka, która dorabiała, robiąc swetry. Po paru tygodniach odebrałam wspaniały sweter, prawie płaszcz. Wielki i ciężki. Ale kto by się tym przejmował?

Były wakacje, pojechaliśmy z dziećmi do Juraty. Pogoda była fatalna, więc mogłam obnosić po kurorcie wspaniały sweter, wspólne dzieło natury i rąk ludzkich. Obiady jadaliśmy w sąsiednim domu wczasowym Funduszu Wczasów Pracowniczych. Siadając do stołu, powiesiłam na wieszaku mój piękny sweter i kiedy poszłam go zdjąć, już go nie było.

Ten smutny koniec nie zniechęcił mnie do wełny. Nie pokalałam się swetrem z poliestru. To chyba nazywa się fanatyzm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 97a3749d10

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Trzy miasta „Czerkasów”

JACEK KOMUDA

W dawnej Polsce istniały trzy miasta, w których powstawały pierwsze oddziały kozaków zwanych później zaporoskimi. Działali w nich bowiem starostowie, którzy organizowali zarówno obronę kresów, jak i własne wyprawy na posiadłości Chanatu, wykorzystując stepowych rozbójników. Nierzadko prowadzili własną politykę, nie zawsze zgodną z wolą stanów Królestwa Polskiego.

Pierwszym z nich był Chmielnik, położony w pobliżu tatarskiego szlaku Czarnego, miasteczko pierwszy raz wzmiankowane w 1362 r. 23 października 1520 r. wykupił je za zgodą króla Przecław Lanckoroński, sławny rotmistrz i żołnierz, który jednocześnie otrzymał polecenie organizowania obrony Podola przed najazdami Tatarów.

RYS. OBA

Lanckoroński jako starosta chmielnicki zaangażował się jednak nie tylko w obronę Podola i Rusi, lecz także w działalność wymierzoną przeciwko Tatarom. Zawiadywał tzw. strażą białogrodzką, czyli placówkami polskimi na Dzikich Polach, nad granicą z Mołdawią i dalej, w stronę Białogrodu. Żołnierze stojący na stanicach rozbijali drobne oddziałki Tatarów, a w razie potrzeby zawiadamiali starostów i hetmanów o grożącym najeździe. Często urządzał własne chadzki na Dzikie Pola i do Chanatu, w których poza sługami starosty brały udział pierwsze organizowane przez niego oddziały kozaków.

Największa z takich wypraw miała miejsce w 1528 r. Urządzili ją wspólnie Przecław Lanckoroński i Eustachy Daszkiewicz, starosta kaniowski i czerkaski. Obydwaj zgromadzili ok. 1,2 tys. ludzi – głównie pospolitego ruszenia szlachty ruskiej i kozaków, a potem ruszyli na Białogród i Oczaków. Wyprawa przyniosła wielki sukces. Lanckoroński i Daszkiewicz zdobyli 30 tys. sztuk bydła i 500 koni. Stoczono także trzy bitwy, w czasie których rozgromiono siły tatarskie. Ponoć dowodził wówczas Daszkiewicz, który wciągnął ordyńców w zasadzkę i zaatakował od tyłu – a więc zastosował tatarskie sposoby walki.

Kolejnymi miastami, w których starosta tworzył pierwsze oddziały kozaków, były Kaniów i Czerkasy nad Dnieprem. W 1514 r. król Zygmunt Stary nadał starostwo kaniowskie, a później czerkaskie wspomnianemu Eustachemu Daszkiewiczowi, szlachcicowi i awanturnikowi, wsławionemu w wojnach z Moskwą. Postanowił on wykorzystać oba ośrodki do tworzenia oddziałów stepowych zawadiaków. Można zaryzykować stwierdzenie, że od Daszkiewicza na Ukrainie modne stało się „kozakowanie”, czyli wyprawianie się na tatarskie szlaki i ułusy. Pierwsi kozacy byli zatem po prostu rozbójnikami i jednocześnie sługami przygranicznych starostów lub rabusiami, którzy im się opłacali. Wbrew temu, co można by sądzić, ich wyprawy odbywały się równie często, co najazdy Ordy. „Częściej nasi chodzili w kozactwo niż Tatarowie do nas” – pisze kronikarz Andrzej Lubieniecki.

Ciekawe, że w dokumentach wspomina się nie o kozakach, ale właśnie o zawadiackich „Czerkasach”, ponieważ najwięcej mieszkało ich właśnie w Czerkasach, gdzie starostą był Daszkiewicz. Wyprawiał się zarówno przeciwko Tatarom, jak i… służył im za przewodnika. W roku 1518 pobił na Wołyniu czambuł ordyńców, a w roku 1521 z kolei z polecenia królewskiego wziął udział w wielkiej wyprawie Tatarów na Moskwę. Daszkiewicz pomagał wówczas chanowi Mehmedowi Gerejowi i okazał się świetnym przewodnikiem. W roku 1522 starosta kaniowski wziął udział w poselstwie do tatarskiego chana, gdzie został wzięty do niewoli przez Tatarów. Uciekł jednak z Krymu i się zemścił. Zwołał kozaków i urządził dwie wyprawy odwetowe na Oczaków i Perekop, spustoszył włości tatarskie i zdobył wiele koni i bydła. W odwet za to Tatarzy spustoszyli Ruś aż po Rohatyń.

Eustachy Daszkiewicz był żywą legendą Czerkasów, czyli późniejszych kozaków. Jak pisze Szymon Starowolski: „Utworzył oddział wojska, do którego wcielił wszystkich kozaków, to znaczy lekkozbrojnych nieznających lęku wobec śmierci”. Daszkiewicz zaprowadził wśród mołojców żelazną dyscyplinę, ale jednocześnie pozwalał im palić i rabować. „Na niektóre wykroczenia patrzył przez palce – pisze Szymon Starowolski – i nie ścigał ich nadmiernie. Karał tylko opuszczenie szeregów i bunt”.

Daszkiewicz jednak okrutnie obchodził się z poddanymi starostwa. Nakładał na nich daniny i obciążał różnymi świadczeniami na rzecz zamku. Gdy któryś z mieszczan „zwierza sobie złowił, albo gdzie jadąc rybę wydobędzie i bobra ubije, on z tego wszystkiego brał sobie połowę” – pisano w protestacjach. W Czerkasach i w Kaniowie dochodziło do konfliktów pomiędzy mieszczanami a kozakami. Czerkasi zajmowali najlepsze kawałki ziemi, polowali i łowili ryby, a bywało, że napadali na kupców lub wymuszali od mieszczan daniny.

Lanckoroński zmarł bezpotomnie w Krakowie w 1531 r. Cztery lata po nim, również bez potomstwa, odszedł Daszkiewicz. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

NISSAN QASHQAI E-POWER

FOT. JAP

Japończykom udało się udoskonalić najważniejszy model Nissana na Starym Kontynencie i jednocześnie jeden z najpopularniejszych kompaktowych SUV-ów w Polsce. Qashqai po najnowszym liftingu nie ma co prawda jeszcze zielonych tablic, ale dzięki ulepszonemu układowi hybrydowemu e-Power stał się jeszcze bardziej oszczędny.

Podstawowym źródłem energii mierzącego 442,5 cm Qashqaia z napędem e-Power jest silnik elektryczny o mocy 190 KM. Pod maską znajduje się również trzycylindrowy silnik spalinowy o pojemności 1,5 l, pełni on jednak głównie funkcję generatora prądu, dzięki któremu Qashqai jeździ cicho i żwawo niczym elektryk, ale nadal można go błyskawicznie zatankować na każdej stacji. Hybryda szeregowa ma też oczywiście swój akumulator. W najnowszej generacji ma on pojemność 2,1 kWh. Efekt? Przyspieszenie od zera do 100 km/h wynosi 7,9 s, a apetyt na paliwo jest rzeczywiście niewielki. Podczas testu w lutowe mrozy średnia z jazdy po Warszawie, na trasie i na 50-kilometrowym odcinku na autostradzie A2 różniła się od marketingowych zapowiedzi (5,3–5,4 l/100 km), ale nieznacznie (podczas testu wynosiła ok. 6,3 l/100 km). Najniższa średnia podczas jazdy na drodze krajowej, którą udało mi się wykręcić, to 4,5 l/100 km. Tak oszczędny napęd sprawia, że na jednym tankowaniu Nissan Qashqai potrafi przejechać ponad 850 km.

Nowa generacja wydaje się też cichsza. Silnik spalinowy słychać w zasadzie jedynie podczas dynamicznego przyspieszania na autostradzie, ale i w tym przypadku nie ma mowy o jakimś wściekłym wyciu, jak w dawnym hybrydach konkurencyjnego producenta z Japonii.

Qashqai – model, którego światowa premiera odbyła się w Paryżu 20 lat temu – ma też przyjemniejsze wnętrze od poprzednich generacji. Kabina jest oczywiście nadal wykończona w charakterystyczny dla Nissana sposób, ale zastosowane materiały sprawiają, że zrobiło się wyjątkowo miło i przytulnie. Oczywiście zdarzają się też twarde plastiki, ale w najważniejszych miejscach użyto miękkiej w dotyku zamszopodobnej alcantary, a dla lepszego efektu dodano staranne przeszycia i ozdobne listwy.

Co ważne, poza ekranami na pokładzie są też tradycyjne fizyczne przyciski oraz pokrętła: do obsługi klimatyzacji, do włączania ogrzewania kierownicy etc. W tym aucie wiele rzeczy zaprojektowano bardzo intuicyjnie, ergonomicznie, a co za tym idzie – też bezpiecznie (tu nie potrzeba czterech kliknięć, aby włączyć lub wyłączyć podgrzewanie przednich foteli). Minus: dość mały kufer, który ma zaledwie 436 l pojemności.

Podsumowując, Japończykom udało się poprawić i tak dobrego kompaktowego SUV-a. Niestety, dobrze o tym wiedzą. Największą wadą tego samochodu jest zatem jego cena. Qashqai z napędem e-Power (na jedną oś) kosztuje w promocji 154,2 tys. zł, w najtańszej wersji wyposażenia (poza promocją 169,2 tys. zł). Zakup wszystkomającej wersji Tekna+ wiąże się już z wydatkiem 187,2 tys. zł (poza promocją 204,2 tys. zł). Na szczęście za niebieski lakier nie trzeba dopłacać...

EZVIZ HB90 DUAL

Dwa obrotowe obiektywy 2K+, potężna bateria, panel słoneczny w zestawie, sprawne wykrywanie zagrożeń, możliwość prowadzenia obserwacji w kolorze nawet w nocy – to największe zalety bezprzewodowej kamery do monitoringu marki Ezviz.

Biała, plastikowa kamera kryje w sobie trzy silniczki i dwa obiektywy. Dolny obiektyw można obracać zdalnie w aplikacji o 324 stopnie w poziomie, a w pionie o 90 stopni. Górny obiektyw zdalnie można obracać w poziomie (zakres ruchu to 324 stopnie), w pionie regulować można go ręcznie o maksymalnie 10 stopni.

Testowany model może zatem w praktyce zastąpić dwie kamerki kierunkowe, patrzące w różnych kierunkach. Można też ustawić oba obiektywy na jeden cel – np. drzwi tarasowe lub furtkę do domu – i jeden będzie pokazywał obraz szerokokątny, a drugi obraz przybliżony. Oba obiektywy mogą ze sobą współpracować – np. gdy górny obiektyw wykryje niechcianego gościa, to śledzić go może jednocześnie dolny obiektyw. Nie ma zatem ryzyka, że podejrzany nagle zniknie z pola widzenia. W razie potrzeby można też łatwo przybliżyć obraz (do dyspozycji jest ośmiokrotny zoom).

Zaletą HB90 Dual jest również technologia AOV 2.0, która umożliwia rejestrowanie zdarzeń przez całą dobę bez ryzyka szybkiego wyczerpania baterii. Dodatkowo testowany model wyposażony jest w pojemny akumulator (10 400 mAh), a w zestawie znajduje się spory panel słoneczny (8 W).

W przypadku kamer marki Ezviz aplikacja jest darmowa. Nie trzeba też kupować abonamentu na monitoring. Aplikacja może wyświetlać alerty o wykryciu pojazdów oraz osób. Wykrywanie z włączonym AOV działa na odległość do 25 m. W aplikacji można też obejrzeć filmik poklatkowy, ukazujący zarejestrowane zdarzenia z ostatniej doby. Nagrania można przechowywać na własnej karcie microSD (o pojemności do 512 GB) albo w chmurze (po okresie próbnym usługa ta jest jednak dodatkowo płatna).

Podczas dwutygodniowego testu wykrywanie pojazdów działało bezbłędnie i błyskawicznie. Uwadze kamery nie umknęła też chyba żadna osoba. Minusem jest jednak to, że algorytmy sztucznej inteligencji wielokrotnie podnosiły alarm, ostrzegając o wykryciu osoby, gdy tylko dostrzegły... gęstą „czuprynę" jednego z moich psów. Inne minusy? Światełka mające odstraszać intruzów mogłyby być mocniejsze, a syrena alarmowa głośniejsza. Cena: 772 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 97a3749d10

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Ostatki

Karnawał ma to do siebie, że zawsze mija zbyt szybko. Tegoroczny, skuty mrozem styczeń dodatkowo nie ułatwiał wesołych biesiad, zabaw i ucztowania.

Dlatego bardzo namawiamy, aby ostatni tydzień karnawału, a zwłaszcza najbliższą sobotę, która wypada 14 lutego, czyli w walentynki, uczcić tak, jak to drzewiej bywało.

Barbara Ogrodowska w książce pt. „Tradycje polskiego stołu", cytując innego autora, pisze: „Zaleca się gospodarzowi [...], gdy chce przyjaciół do swego domu zaprosić", by przedtem się ze swoją małżonką rozmówił, a ponadto z komorą, szkatułą i piwnicą. Powinien też pchły wygnać, ścierki białe i wody nagotować oraz „psy z ogonami kosmatymi z izby wygnać".

Widać zatem, że dawni Polacy dbali nie tylko o hojne, lecz także o higieniczne podjęcie gości.

Na dawne uczty, nawet w bogatych dworach, należało przyjść z własną łyżką i widelcem – dopiero w czasach saskich w nielicznych domach magnackich podawano sztućce.

Co jedzono? Każda biesiada to obfitość mięsa – dziczyzna, ptactwo: gęsi, kapłony, mięso wieprzowe, baranie, czyli skopowe, zrazy, bigosiki, ryby, kawior, raki. Bywało, że serwowano nawet 60 potraw!

Większość dań była mocno przyprawiona korzeniami i słodkościami, np. sokiem wiśniowym. Szczególnie lubiono sosy, a wśród nich królował sos chrzanowy. Popularny był też sos żółty – szafranowy, który był bardzo kosztowny, czarny – z powidłami i sokiem wiśniowym, szary – z czosnkiem i tartą cebulą. Obowiązkowa była prynuka – pisze Ogrodowska – czyli przymuszanie gości do jedzenia i picia. Nie można się było od tego wymówić bez obrazy pana domu.

Z czasem te gargantuiczne obżarstwa ustąpiły miejsca eleganckim i wysmakowanym przyjęciom domowym.

Podajemy tu przepis na polędwicę z sosem maderowym z truflami z książki kulinarnej Marii Disslowej pt. „Jak gotować". Przepis ten cytowany jest też w „Tradycjach polskiego stołu" jako propozycja na takie eleganckie spotkanie.

Polędwica z sosem maderowym

• 1,5 kg polędwicy • 1/2 cytryny, • 1 łyżeczka soli • 6 dag masła • 6 dag słoniny • 1 trufla

Ładną polędwicę nasolić, naszpikować słoniną i jedną truflą, polać sokiem z cytryny, zostawić na 20 min. Rozgrzać masło i na ostrym ogniu zrumienić polędwicę z obydwu stron. Podlać dwiema–trzema łyżkami wody, wstawić do pieca i wolno przez godzinę opiekać. Pokroić w cienkie plastry, ułożyć na półmisku, przybrać jarzynami i krokietami z ziemniaków.

Sos maderowy: • 1/16 litra madery • 3 dag masła • 2 dag mąki • 1/2 cytryny • 1/2 łyżeczki cukru i karmelu • kilka pieczarek • 1/4 litra rosołu • 1 trufla

Zaprażkę z masła i mąki rozprowadzić rosołem, włożyć czysto obraną, utłuczoną na masę truflę, gotować, aż sos zgęstnieje. Dodać cytrynowego soku, cukier, wino, 1/2 łyżeczki karmelu i przetrzeć przez gęste sito. Sos powinien być płynny. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mierz wysoko!

Facet w czerwonej koszulce stoi na iglicy stupiętrowego wieżowca, macha ręką wiwatującemu tłumowi na dole, wyciera buty z resztek tynku. Jakby nigdy nic.

To działo się naprawdę. W styczniu 2026 r. 40-letni Alex Honnold wszedł na „101" – 101-piętrowy wieżowiec w Tajpej. Bez lin, bez uprzęży, bez spadochronu, bez asekuracji. Była to największa w historii wspinaczka na wieżowiec.

Cały wyczyn można obejrzeć od początku do końca w Netflixie. Transmitowano go na żywo, film „Skyscraper Live" zapewne zdobędzie setki tysięcy odsłon.

Honnold, silny, pogodny mężczyzna, ojciec dwóch córek, nie jest wariatem. Jest pasjonatem gotowym podjąć nie tylko śmiertelne ryzyko, lecz także wielomiesięczne katorżnicze ćwiczenia przygotowawcze.

Dlaczego to robi? Jeden fałszywy krok, jedno małe poślizgnięcie, obsunięcie ręki trzymającej gzyms – oznaczają śmierć. Tu stawką jest życie. I wszystko jedno, czy spada się z 9. piętra czy z 89.

Czy się nie boi? „Strach to nieodłączna część wspinaczki, ale gdy opanuje się oddychanie, zachowa spokój i racjonalne myślenie, to pragnienie zrobienia czegoś, czego nikt nie dokonał, okazuje się wystarczającą motywacją" – mówi Alex Honnold.

Nie jest pierwszy i zapewne nie ostatni, gdyż wspinanie się na wieżowce – chociaż nielegalne, a może właśnie dlatego – stało się ostatnio modnym sportem. Oczywiste ryzyko sprawia, że rzadko zdarza się, aby ktoś uzyskał pozwolenie na wspinaczkę na wysoki budynek. „Nigdy nie chciałem dać się aresztować" – powiedział 40-latek w podcaście nagranym przed wspinaczką na „101".

Słynną ścianę El Capitan w Parku Narodowym Yosemite, która „wystąpiła" w wielu filmach, Honnold zdobył w 2017 r. Ale w Yosemite można się wspinać w ciszy i wśród przyrody. Wspinacze na wieżowce stawiają czoła miejskiemu hałasowi, tłumom i – od czasu do czasu – policjantom zdeterminowanym, by ich aresztować.

Według Dana Goodwina, który w 1986 r. wspiął się na CN Tower w Toronto – wówczas najwyższą konstrukcję na świecie – wspinaczka na wieżowce sprowadza się głównie do powtarzalności. Na ścianie budynku dłonie powtarzają te same ruchy setki razy, pokonując dziesiątki pięter, okien, stalowych prętów, betonowych szczelin.

„Możesz podciągnąć się i myśleć, że to nic takiego, ale spróbuj zrobić 20, 50, 100 powtórzeń" – powiedział Goodwin. I dodał: „Wykonywanie tego samego ruchu w kółko może naprawdę nadwyrężyć mięśnie i palce".

Żeby tylko nadwyrężone palce były problemem. Każdy krok to walka o życie. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

PIOTR KOWALCZUK

PIECZEŃ RZYMSKA

O boskiej i anielskiej Meloni

W sercu Rzymu w Bazylice św. Wawrzyńca w kaplicy krucyfiksu pojawił się fresk, na którym jeden z dwóch cherubinów ma twarz zamyślonej Giorgii Meloni. Dzięki tej atrakcji świątynię odwiedzają teraz nieprzebrane tłumy.

Jak do tego doszło? W 1983 r. zmarł ostatni król Włoch Humbert II. Rządził zaledwie 33 dni, do czasu, gdy 2 czerwca 1946 r. Włosi w referendum zagłosowali za zniesieniem monarchii. W 1985 r. proboszcz bazyliki Pietro Pintus, zdecydowany monarchista, ustawił przy prawej ścianie kaplicy popiersie zmarłego króla z białego marmuru, a pod nim tablicę pamiątkową, ufundowaną przez jego syna i następcę nieistniejącego tronu Wiktora Emanuela. Piętnaście lat później zakrystianin, malarz amator Bruno Valentinetti, nad popiersiem namalował fresk: jeden z cherubinów trzyma w rękach koronę Sabaudów, a drugi rozwinięty zwój z mapą Włoch, by w ten sposób oddać hołd roli Sabaudów w zjednoczeniu Italii i powstaniu państwa włoskiego.

Trzy lata temu fresk trzeba było odrestaurować, bo do kaplicy wdarła się woda, niszcząc polichromię. Kościelny Valentinetti, przypuszczalnie zwolennik Giorgii Meloni, przystąpił do dzieła. Jak wynika z niewyraźnej, starej fotografii oryginału, właśnie wtedy, w trakcie renowacji, twarz cherubina z mapą nabrała rysów zatroskanej pani premier. Co niepomiernie dziwi, przez niemal trzy lata nikt tej zmiany nie dostrzegł. Wreszcie pod koniec stycznia tego roku lewicowa „La Repubblica", nie kryjąc oburzenia, opublikowała spore zdjęcie fresku z anielską Giorgią Meloni. Jednak część ikonografów wysnuła teorię, że skrzydlata Meloni nie jest żadnym cherubinem. Ich zdaniem kościelny upozował ją na grecką boginię zwycięstwa Nike. Wszak kilka miesięcy wcześniej zdecydowanie wygrała wybory i została pierwszą kobietą premierem w historii Włoch.

Tak czy inaczej, rozpętało się piekło. Prominenci obozu postępu wrzeszczeli, że w Bazylice św. Wawrzyńca doszło do politycznej prowokacji. Podkreślali, że świątynia nie może być miejscem partyjnej agitki. Mało tego – podnieśli larum, że w Italii rozpoczął się właśnie haniebny i niebezpieczny kult jednostki. Padło nawet żądanie, by Meloni złożyła wyjaśnienia w sprawie skandalu w obu izbach parlamentu. Ostro zareagował wikariusz generalny Rzymu kard. Baldassare Reina: „Nie można mieszać sacrum z profanum!".

Kościelny z kpiącym uśmieszkiem zapewnił, że może przemalować twarz drugiego cherubina, nadając jej rysy szefowej lewicowej Partii Demokratycznej Elly Schlein. W końcu, zgodnie z wolą Watykanu, 4 lutego, zamazał twarz cherubina Meloni. Pozostała plama. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Robimy, nie gadamy

Coraz częściej to słyszę: „robimy, nie gadamy". Taki refrenik (za 8 mln zł) powtarza coraz to ktoś z rządu, widać, że na jakichś warsztatach pomysł powstał i teraz coraz częściej pojawia się ta klamra zamykająca zdawanie sprawy z jakiegoś rządowego sukcesu. Nawet wiem, kiedy to się zaczęło. Pamiętacie narzekania ludu na to, że rząd nic nie robi? Te zarzuty zostały po jakimś roku stuporu koalicji odbite PR-owsko przez polityków, którzy coraz częściej zaczęli utrzymywać, że osiągnięcia rządu są wielkie, tylko ten nie umie o tym opowiadać. Dostało się zatem polityce informacyjnej rządu, że ten się tu nie stara, choć sukcesy są przemożne.

Wtedy ktoś przekorny z tego zarzutu zrobił… cnotę i tak powstało hasło „robimy, nie gadamy". Oznacza ono deklarowaną powściągliwość w chwaleniu się sukcesami, zamierzoną, co miało stać się nową strategią komunikacyjną rządu – skromnością w propagandzie sukcesu. Ma z tego wynikać, że jest o wiele lepiej, niż widać, bo rząd nie przesadza w środkach wyrazu, czego przykładem jest lapsusowy rzecznik rządu Szłapka. Przy takiej figurze narracyjnej nikt już nie zarzuci, że się rząd leni, nie podejmuje żadnych inicjatyw, bo jest na odwrót – pod medialnym szumem codzienności trwa mrówcza i niespektakularna praca państwowców.

W demokracji ciężko kogoś złapać na zaniechaniu, łatwiej na tym, że coś zepsuł swym działaniem. Mamy zatem sytuację patowego stuporu państwa, bo wychodzi na to, że lepiej nie podejmować żadnych działań, gdyż ciężko na czymś takim kogoś przyłapać, zwłaszcza na efektach czegoś, co się nie przydarzyło w wyniku niedziałania. Trudno wtedy złożyć z tego jakiś związek przyczynowo-skutkowy, gdyż wyniki zaniedbań nie łączą się prostą logiką z ich źródłami. I tak tu dryfujemy, tyle że tym bardziej o tym „nie gadamy".

Jest dokładnie odwrotnie. Ta formacja polityczna do tej pory właściwie żywiła się jedynie PR. Właśnie, było: gadamy, nic nie robimy. Uśmiechnięci akolici byli zachwyceni, ale dziś takich ubywa – grupki popieraczy maleją w tempie odwrotnie proporcjonalnym do ich hałaśliwości. Platforma jakby przestała umieć w komunikację. Nie zmieniło się tylko powszechne nieróbstwo (ale może to i lepiej, bo czasami efekty szaleńczych decyzji są gorsze od zaniechań). Jednak kiedy wyraźnie zabrakło do tego narracji, to już jest bardzo sucho w komunikacji do społeczeństwa. Pozostało więc de facto tylko: „nie robimy i nie gadamy". Ale tak to jest, kiedy rządzi nami formacja, której lider jedyne, co umie, to zdobyć władzę, z którą później nie wie, co począć. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Nikt nie prosi o bis

Zdumiewających wywiadów udziela ostatnio były prezydent Andrzej Duda. Cieszący się odpoczynkiem polityk nie radzi sobie zapewne z nadmiarem wolnego czasu. Jest to dla pracoholików niemały problem – lekarze ostrzegają, że przejście na emeryturę wiązać się może z problemami zdrowotnymi, wynikającymi ze spowodowanego bezczynnością stresu. Andrzej Duda zdołał na szczęście uniknąć dolegliwości fizycznych, jednak jego stan umysłu daje powody do niepokoju.

Pytany przez Bogdana Rymanowskiego, dlaczego podpisał ustawę nakazująca pracodawcom pisanie „neutralnych płciowo" ogłoszeń o pracę, prezydent odpowiedział. „Uważałem, że i tak dużo rzeczy blokuję, i nie wszystko blokowałem". Jest ze swej decyzji nadal zadowolony. Komentując, przy innej okazji, skandaliczną wypowiedź ministra Waldemara Żurka o przywożeniu polskich opozycjonistów z Budapesztu w bagażniku, Andrzej Duda błysnął dowcipem: „Państwo miałoby problem z przewiezieniem ministra Żurka w bagażniku. Za gruby jest".

W podobnym tonie utrzymany był wywiad, którego były prezydent udzielił dla „Faktu". Zastał on prezydenckie garderoby „pozostające poza duchem czasów", a zostawił wyremontowane. Liczy, że jego dziedzictwo kontynuował będzie następca: „Myśmy zresztą też, otwarcie mówię, wyremontowaliśmy łazienki, które kiedyś przeznaczone były dla dzieci państwa Wałęsów. Dawno temu, kiedy Pałac Prezydencki był pierwszy raz modernizowany, remontowany, od tamtego czasu nie było chyba w nich remontu, myśmy zrobili ten remont, ale w głównej łazience, tej prezydenckiej, nie robiliśmy remontu. Przypuszczam więc, że para prezydencka [nowa – przyp. red.] także i tutaj zrobiła remont, bo jednak, po trzydziestu latach, to każdy remontuje łazienkę, po trzydziestu latach co najmniej, jak nie częściej, z reguły częściej. Chyba więc wszyscy to rozumieją, że zarówno tę garderobę prezydenta, która zresztą jest garderobą stosunkowo niewielką, męską, jak i tę łazienkę, myślę, że trzeba było wyremontować, i sądzę, że została wyremontowana" – dywagował prezydent.

Charakterystyczną cechą polskiej sceny politycznej jest pojawianie się na niej ludzi, którzy przybywają pozornie znikąd

W kwestiach bardziej złożonych prezydent Andrzej Duda wypowiada się nie mniej klarownie. Swoją drogę do prezydentury przedstawia z filozoficznym dystansem: „Każdy, kto ma jakieś doświadczenie i zdrowy rozsądek, wie o tym, że różnie bywa i różne są sytuacje. Natomiast proszę pamiętać, że Prawo i Sprawiedliwość wystawiło mnie jako swojego kandydata i wspierało mnie, dzięki czemu ja wygrałem wybory prezydenckie. I to Prawo i Sprawiedliwość oraz Zjednoczona Prawica wygrała wybory prezydenckie. Ja bym nie wygrał, gdyby ich nie było. I oni by nie wygrali, gdyby mnie nie było. Więc proszę być spokojnym".

Charakterystyczną cechą polskiej sceny politycznej jest pojawianie się na niej ludzi, którzy przybywają pozornie znikąd. Po odegraniu swej roli znikają oni w niebycie lub na pensyjkach zagranicznych think tanków. Polityczna publiczność z rzadka miewa okazję poznania prawdziwego potencjału umysłowego narzuconych sobie wybrańców. Przypomina to sytuację XIX-wiecznych teatrów europejskich, omotanych przez zorganizowane przedsiębiorstwa, zatrudniające setki zawodowych klakierów. „Nasza klaka działa jak orkiestra, precyzyjnie, w rytmie muzyki i dramatu" – polecały się one w ogłoszeniach prasowych. Za opłatą oferowano „zorganizowane oklaski przy wejściu aktora", „okrzyki uznania", „wymuszanie bisu na żądanie", „entuzjazm rosnący w trakcie spektaklu", „wzruszenie i łzy podczas scen patetycznych – z udziałem specjalnie przeszkolonych dam", a nawet „wybuchy dzikiego entuzjazmu" – z „ceną do negocjacji". Zachowanie prezydenta Andrzeja Dudy przypomina niemiłą sytuację, gdy klakierom pozwolono się rozejść, nie uprzedzając zawczasu aktora. Kto sprawił mu taką przykrość? Warto może pamiętać o specyfice warszawskich teatrów, w których, w analogicznym czasie, zachowaniem teatralnej publiczności zarządzał nie zawsze obyty towarzysko urzędnik policmajster. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Epstein i oczy szeroko zamknięte

KRYSTIAN KRATIUK

Zawsze jest tak samo. Wszystkie te informacje na początku brzmią tak niewiarygodnie, że muszą zostać obśmiane, natychmiast muszą pojawić się „fact-checkerzy" ochotnie je dementujący, a osoby ośmielające się podnosić każdy nowy temat z miejsca trafiają na listy oszołomów i szaleńców.

Tak jest z tym, co lubimy nazywać teoriami spiskowymi. Pamiętają państwo, jak rzucono się na „antyszczepionkowców" sugerujących, że szczepienia promowane lub wręcz wymuszane w czasie pandemii mogą okazać się dla niektórych groźne? Cisza, groźni oszołomi! Wyszło, jak wyszło, ostatecznie do dziś według różnych rachunków zgłoszono prawie 3 mln przypadków powikłań.

Pamiętają państwo – z zamierzchłych już dosyć czasów – jak jeden z polityków mówił o talibach przetrzymywanych gdzieś w Polsce? Polityka już nie ma, popełnił lub popełniono mu samobójstwo, a premier z tamtych lat przyznał, że w Starych Kiejkutach Amerykanie przesłuchiwali podejrzanych o terroryzm Arabów.

To cofnijmy się jeszcze dalej. Niedawno furorę zrobił serial „Heweliusz", o niewyjaśnionej katastrofie polskiego promu. Ważną rolę w narracji reżysera odgrywają służby specjalne. Sądzą państwo, że ktoś „poważny" mógł publicznie stawiać tezy o współudziale „wojskówki" w tej tragedii w latach 90.? No właśnie.

To oczywiście nie jest polska specyfika. Przez lata twierdzenia nielicznych Amerykanów, według których rząd USA potajemnie testował LSD i techniki kontroli umysłu na nieświadomych ludziach, uznawano za paranoję. Potem okazało się jednak, że prowadzony przez CIA program MKUltra istniał.

A sugestie mówiące, że tamtejszy rząd umyślnie pozwalał Murzynom umierać na kiłę? Gdy ktoś podnosił ten temat, wyśmiewano go. A setek czarnoskórych celowo nie leczono, nawet gdy penicylina była już dostępna. „Obserwowano rozwój choroby".

Jeszcze w latach dwutysięcznych mówienie, że amerykańskie służby nielegalnie zbierają dane obywateli, było traktowane jak to, co nazywa się „foliarstwem". W 2013 r. Edward Snowden ujawnił, co ujawnił, a dziś już wszyscy wiemy, że jesteśmy stale podsłuchiwani.

Ale rzecz tyczy się nie tylko rządów – do teorii spiskowych zaliczano też takie sformułowania jak: „koncerny tytoniowe wiedzą, że papierosy powodują raka, ale to ukrywają". Zachowując wszelkie proporcje, to trochę jak z niedawnym przyznaniem przez „Temple of Satan" w USA, że aborcja stanowi dla nich „sakrament", więc jej kryminalizację uznają za zamach na wolność wyznania…

Dlatego też w żaden sposób nie dziwią mnie akta Epsteina. Ani to, że służby różnych państw używają „kompromatów", jak tych z jego wyspy, na polityków, ani udział gwiazd popkultury w jego „zabawach".

Wiele lat temu w sieci można było znaleźć cytat przypisywany Melowi Gibsonowi, brzmiący w tłumaczeniu na polski mniej więcej: „Hollywood jest zalane krwią niewinnych dzieci. Konsumpcja krwi dzieci jest tak popularna, że w zasadzie działa jak oddzielna waluta. Każde studio w Hollywood jest sprzedane i opłacone krwią dzieci. Kluczowi gracze w przemyśle filmowym wykonują rytuały tak chore i sprzeczne z moralnymi normami…".

Przypadkowo jakiś czas później Mel Gibson zaczął mieć poważne problemy, a jego otoczenie (choć nie on sam) zaprzeczało, jakoby to on był autorem tych słów.

Gdy dowiadujemy się coraz częściej o pedofilskich praktykach „elit" USA, niektórzy zwracają uwagę nie tylko na chore seksualne upodobania, lecz także na tamte słowa o dziecięcej krwi. Co mogły oznaczać? Tego też pewnie się kiedyś dowiemy.

Na razie wyznawcy teorii spiskowych mogą sobie – oczywiście w cieniu kpin i wytykania palcami – jedynie sugerować, że wszelkie satanistyczne rytuały pokazywane w niektórych hollywoodzkich filmach (jak choćby w „Oczy szeroko zamknięte" Kubricka, zmarłego nagle po zakończeniu montażu, a jeszcze przed premierą) nie muszą być z gruntu wyłącznie wymysłem wyobraźni reżyserów. A taka aborcja na przykład, masowo promowana przez filmowych gwiazdorów, może być dla nich czymś znacznie więcej niż wyłącznie zabiegiem medycznym. ©℗

W żaden sposób nie dziwią mnie akta Epsteina.
Ani to, że służby różnych państw używają „kompromatów" na polityków, ani udział gwiazd popkultury w jego „zabawach"

eprasa.pl 97a3749d10

KRZESŁO

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

O sprawie Epsteina powiem tyle: jeżeli Donald Trump brał udział w tym przestępstwie, to powinien trafić na krzesło elektryczne razem z całą resztą przestępców. Lubię Trumpa. Podoba mi się jego styl działania. No ale JEŻELI… to należy się KRZESŁO. Mogę kogoś cenić i podziwiać, ale gdy zrobi coś, za co należy się krzesło elektryczne, to ma dostać krzesło. Elon Musk powiedział tak: prawdziwym testem dla wymiaru sprawiedliwości będzie nie to, czy ujawnią wszystkie dokumenty Epsteina, ale to, czy ktokolwiek zostanie skazany.

***

Normalnemu człowiekowi nie chce się zmieścić w głowie, że wszyscy, którzy nami rządzą, to ludzie źli. Ponadto normalni ludzie w Ameryce nie są już w stanie przyjąć więcej informacji w sprawie Epsteina. Ameryka przekroczyła punkt nasycenia tym tematem: jak gąbka pełna wody – więcej nie wchłonie, każda nowa kropla wylewa się bokiem i nic nie zmienia. Taki jest, jak sądzę, powód, dla którego rządzący światem zdecydowali się na ten ogromny spust dokumentów. Trzy miliony kwitów, potem kolejne i końca nie widać. Więcej i więcej, a my już mamy dość i przestało nas interesować co dalej. Tak się skończy ten temat i nikt nie pójdzie na krzesło elektryczne, bo światem rządzą ludzie źli, którzy chronią siebie nawzajem.

***

Lista Epsteina zawiera także nazwiska z Polski. Czy jakiś prokurator się tym zainteresował? Prokurator ma prawo analizować dane ujawnione przez Amerykanów. Jeśli zatem polski polityk robił z Epsteinem coś karalnego, to jemu też należy się krzesło. Ale… Śledztwa nie będzie, bo rządzą nami ludzie źli. Źli na dwa sposoby: albo zły człowiek (zły moralnie, zepsuty), albo zły fachowiec. Wśród polityków ogromną rzeszę stanowią nieudacznicy, którzy w swoim życiu zawodowym są za słabi na sukces lub za głupi i dlatego szukają sukcesu w polityce. Proszę ocenić samodzielnie, przewijając listę nazwisk. Pierwszy test to mogłyby być nazwiska premierów i prezydentów całego świata.

Czy Putin jest dobry? A Ursula von? A Tusk, Kaczyński, Zełenski, Netanjahu? Czy to są ludzie dobrzy? A Emmanuel Macron? A ten weterynarz, szef WHO? Ktoś powie, że dobrałem akurat samych złych – proszę w takim razie zbudować własną listę. Znajdą państwo wyjątki, ale reguła jest taka, że rządzą nami ludzie źli moralnie lub patałachy, które poza polityką nie były w stanie niczym zabłysnąć. Postaci wyjątkowych jest w polityce niewiele.

***

A teraz podniosę stawkę: zastanówmy się, czy polityka – rządzenie krajem lub światem – przyciąga ludzi dobrych? Moim zdaniem odpycha. Mamy system zwany demokracją, który miał przyciągać i wybierać na stanowiska ludzi najlepszych. Ale przecież gdy głosują wszyscy, to wynikiem takiego głosowania musi być średnia. Czyli w demokracji wybory wygra najczęściej ktoś średni, a bardzo rzadko ktoś wybitny. Jeżeli prawo głosu mają wszyscy, czyli także głupki, to głupki będą głosować na głupków, a mędrcy na mędrców.

Czemu w takim razie w USA wygrał wybitny Trump, a nie średniaczek Joe Biden lub jeszcze gorsza miernota Kamala? Jednostki wybitne (te złe i te dobre) wygrywają wybory, gdy potrafią mówić językiem klasy średniej. Klasa średnia głosowała na Trumpa, bo ten potrafi się dogadywać z robociarzami na swojej budowie, opowiada dowcipy zrozumiałe na dołach społecznych, a nie tylko na salonach i jada takie same hamburgery jak śmieciarz czy stróż parkingowy. A czemu wygrał Obama? Obama wygrał, bo był złotousty. Był zły, kłamał, ale kłamał pięknie.

Demokracja jest systemem, który powoduje, że światem rządzą ludzie źli oraz banda nieudaczników. Regułą miało być, że w demokracji wybierani będą najlepsi z nas. No ale regułą jest, że w demokracji ludzie średni wybierają ludzi średnich, a ludzie najlepsi wybierani są bardzo rzadko.

***

Zastanówmy się: Czy to możliwe, aby dobry prawnik poszedł do Sejmu? Ja uważam, że niemożliwe. Każdy prawnik, który wylądował w Sejmie, jest albo złym prawnikiem, albo dobrym prawnikiem, ale złym człowiekiem. Każdy lekarz, który poszedł do polityki, jest albo złym lekarzem, albo złym człowiekiem.

Po co dobry prawnik miałby iść na posła? Jako poseł zarobi mniej niż, gdyby sobie spokojnie prowadził kancelarię adwokacką. Po co dobry fachowiec, dobry prawnik lub lekarz miałby iść do Sejmu? I w jaki sposób wytłumaczy to swojej żonie? „Kochanie, przez najbliższe cztery lata będziemy mieli dużo mniej pieniędzy i dużo więcej kłopotów, bo ja idę do Sejmu. Kochanie, połowa znajomych przestanie nas lubić, bo ja się muszę zapisać do jednej z partii. Zaczną na ciebie krzywo patrzeć w pracy. Na nasze dzieci zaczną krzywo patrzeć w szkole. Stracimy prywatność. Będziemy musieli wypełniać oświadczenia majątkowe, a ty, Kochanie, będziesz musiała się zwolnić z pracy, bo żonie posła nie wolno…". Kto gotów jest pójść na taki układ?

Giertych poszedł, a przecież prawnikiem jest dobrym i ma kancelarię adwokacką dla klientów bardzo bogatych lub wpływowych. Mój wniosek jest taki, że dobry prawnik z dobrą kancelarią idzie do Sejmu po immunitet, a prawnik, który dobrej kancelarii nie ma, bo jest prawnikiem słabym, idzie do polityki, bo sobie słabo radzi w dotychczasowej pracy. Czyli jeżeli mamy w Sejmie prawnika, to to jest zły prawnik. Jeżeli lekarza, to to jest zły lekarz. Jeżeli fachowca dowolnej branży, to to jest zły fachowiec. Ergo: rządzą nami ludzie źli.

Rządzą nami ludzie źli. A ta kategoria dzieli się na dwa rodzaje: „zły człowiek" (któremu potrzebna władza lub immunitet) oraz „zły fachowiec" (który w polityce zarobi więcej, niż gdyby musiał działać w swoim dotychczasowym zawodzie). Współczesna demokracja to rządy ludzi złych. Czy są wyjątki? Są. Czy to coś zmienia? Nie. Rządzą nami ludzie źli lub rządzą nami ludzie nieudolni, czyli też źli.

Ktoś zapyta: Panie WC, to dlaczego pan nie pójdzie do polityki? Odpowiem: Nie pójdę, bo jestem dobry. ©℗

eprasa.pl 97a3749d10

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ: „MIEJ SZCZĘŚLIWE DNI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 300 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 97a3749d10

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

eprasa.pl 97a3749d10